

MARIA KRUGER  
Odpowiednia dziewczyna

Iskry -Warszawa • 1988

Opracowanie graficzne Anna Bauer

Rozdział pierwszy

UW

FILIA nr 1 tel.: 271-48-11

Wydanie I

ISBN 83-207-1090-1

© Copyright by Maria Kriiger, Warszawa 1988

"

Czy dziewczyna, która jedzie w tej chwili pociągiem osobowym do Łodzi, jest odpowiednią dziewczyną? A jeśli tak, to do czego? Lub dla kogo?

Może jest. Zachowuje się również zupełnie odpowiednio. Kładzie na półce walizkę, na kolanach torbę na pasku, z torby wyjmuje mały notes, z którego sterczą luźne kartki. Siada teraz wygodniej, spogląda w okno, za którym nie widać nic ciekawego, bo miasto już się skończyło, a wieś jeszcze nie zaczęła, dzień już przygasa, a wieczór nie rozbłysnął światłami. Dziewczyna siedzi chwilę bez ruchu, zamyka oczy i myśli. Może zmieniła właśnie zdanie i ta podróż wydaje jej się zupełnie niepotrzebna? Może jeszcze ściągnie z półki swoją byle jaką walizkę i wysiadzie na najbliższej stacji, aby pierwszym pociągiem wrócić do Warszawy?

Ale nie. Wzdycha, otwiera oczy, wyciąga jedną z kartek sterczących z notesu, notes chowa do kieszeni dzinsowej kurtki, a kartkę czyta tak, jakby jej treści chciała nauczyć się na pamięć.

– Bilety do kontroli...

Pękata blondyna wciska się do przedziału i wyciąga rękę po bilety. Stłoczeni pasażerowie wyciągają bilety z kieszeni, z torebek, mylą się, podają zużyte, co świadczy, że tę drogę odbywają wielokrotnie. Dziewczyna ma bilet w kieszeni, podaje go szybko i wtedy dopiero zauważa, że przedział jest zatłoczony. Po wyjściu kontrolerki klimat lekko T,e\zv\, wszyscy poczuli się trochę znajomi, złączeni wspólnym losem dwugodzinnej podróży w ciasnym pudełku.

– Karteczka pani wypadła... – szepnęła konfidencjonalnie sąsiadka dziewczyny, życzliwa, ale zbyt godna, aby kartkę podnieść.

– Ojej! Dziękuję pani bardzo! – przestraszyła się dziewczyna, podnosząc karteczkę i troskliwie otrzepując ją z kurzu.

5

Na kartce napisany był adres: Celina Łabędzka, Zarzevska 58 m. 6. A pod tym podkreślone grubą kreską imię i nazwisko: Marzena Krep - i w nawiasie: pamiętaj!

Dziewczyna złożyła kartkę i schowała ją z powrotem do notesu, po czym unikając wyraźnej zachęty do zawarcia bliższej znajomości ze strony życzliwej sąsiadki zapatrzyła się w okno. Padał teraz deszcz i po szybie ściekały ukosem grube krople, w których tańczyły iskierki światła, kiedy pociąg mijał zapalone już latarnie na małych stacyjkach.

Dworzec „Łódź Fabryczna” opustoszał tak szybko, jakby fala deszczu zmyła wysiadających podróżnych. A teraz w którą stronę? Dziewczyna miała blade pojęcie o Łodzi. Była tu tylko raz - od pociągu do pociągu, w pośpiechu i rozterce.

Duży, pusty plac, a na nim długi ogonek do nieobecnych taksówek. To ci z walizkami, co też pewnie nie znają miasta. Mały tłumek bez bagażu - to niewątpliwie tuziemcy, wracający z krótkich wypraw. Jeśli idą spieszenie aleją między drzewami, to ta aleja prowadzi na pewno do miasta, do tramwaju czy autobusu. Było to rozumowanie ścisłe, logiczne i krępujące - po takim wniosku pozostawało tylko ruszyć przed siebie poddając się niejako przeznaczeniu. Długa aleja szumiała mokrymi liśćmi ciemnych drzew, pobłyskiwała lusterkami kałuż pod

nogami.

Po co ja się tam pcham? – pomyślała dziewczyna. Ale za drzewami alei zazgrzytał tramwaj, i to obudziło w niej poczucie obowiązku.

Celina Łabędzka kładła trudny pasjans, myląc się od czasu do czasu.

Po co mi ten cały kram? – rozmyślała strapiona. – Trzeba naprawdę mieć źle w głowie, żeby mnie w to wszystko ubierać. Pomoc! Opieka! Idiotyzm. Mnie jest potrzebny spokój i to wszystko.

Westchnęła ciężko i podreptała do kuchni, żeby zapalić gaz. Miała ochotę na gorącą herbatę i zastanawiała się, czy potraktować ją jako wcześniejszą kolację, czy jako małą przyjemność, połączoną z przeczytaniem paru stron książki, która musi wystarczyć na długo.

Dozorczyńni przynosi jej co dzień małe zakupy, ale niestety nie można jej posłać do czytelnicy. Ileż by sobie wtedy policzyła za taką stratę czasu! Dodając jeszcze do tego wysiłek umysłowy. A poza tym – chyba nie chciałaby nawet za dodatkową opłatą. Zresztą są przecież w domu i stare, wyczytane książki, do których można wracać wiele razy.

Nie jest tak źle – pomyślała Celina – daję sobie doskonale radę. Po prostu doskonale!

To stwierdzenie umocniło ją jeszcze w niechętnym przekonaniu, że pomysł Adama był idiotyczny. Nalała sobie mocnej herbaty, wyjęła z pudełka dwa herbatniki i postawiła to wszystko na stoliku przy tapczanie. Mała lampka oświetlała ten kąt, podczas gdy reszta pokoju tonęła w mroku, który wydawał się ciepły dzięki złotawym ścianom i firankom. To wrażenie ciepła i zacisznosci było tym bardziej miłe, że z zewnątrz słyszało się wiatr i monotonne kapanie deszczu. Celina ułożyła się na tapczanie i otuliła kraciatym kocem, pochylając twarz nad filiżanką herbaty, skąd biło przyjemne ciepło i zapach.

Wyciągnęła leniwie rękę i poprawiła ramkę z fotografią tak, aby móc widzieć Adasia twarzą w twarz.

Marzena! – pomyślała z ironią, szczęśliwie czując się mądrzejsza i bardziej doświadczona, a jednocześnie skłonna do wyrozumiałości. – Czyś ty zwariował, Adasiu?

Było dobrze. Czuło się ciepło, nic nie bolało, herbata była w miarę słodka, lekko cierpka i czerwonawa, jak stary bursztyn, na kartkach książki snuła się powoli pogodna opowieść o dziejach rodziny, która żyła dawno i nic nie wiedziała o dzisiejszych kłopotach. Rodzina ta, składająca się z wielu osób, piła właśnie herbatę w ogrodzie. Dokoła zielonej polanki rosły wysokie drzewa, które szumiały głośno, słońce świeciło i jakieś białe ubrane dziecko jeździło dokoła szybko na rowerze, dzwoniąc bez przerwy.

– Dlaczego ono tak dzwoni? – zapytała Celina, ale dokoła wszyscy rozmawiali i nikt jej nie odpowiadał. – Nie można tak dzwonić! – zawołała i obudziła się. Herbata stała na stoliku, ale zniknęło słońce, zielen i białe ubrane osoby – tylko dzwonek odzywał się raz po raz, chociaż wcale nie było roweru.

To do drzwi. Oczywiście dozorczyńni z pytaniami o jutrzejsze zakupy. No, trudno. Trzeba się wygrzebać z miłego legowiska...

## Rozdział drugi

Dzwonić jeszcze raz? – zastanawia się dziewczyna z pociągu.

klatce schodowej jest ciemnowo, a drzwi parterowego mieszkania wyglądają niegościnnie. Dziewczyna jest przemoczona, jej zimno i znów dochodzi do wniosku, że jest to głupia sprawa. Odejść?

A jeżeli starowina tak źle się czuje, że nie może otwo-ż? Zadzwoić do sąsiadów? Zrobić polski kryminał z wyważali drzwi? Ogarnia ją zimna wściekłość na kochanego Adasia, uważają jednak ludzkie uczucia i jeszcze raz wyciąga rękę do onka. I wtedy nagle drzwi się otwierają.

Celina patrzy nieufnie na mokre stworzenie w sieni. To chyba nie to... – myśli – Marzena! To przecież powinna dyskotekowa pięknotka, dziewczyna szał! Przecież nie taki ałosz!

To chyba nie to! – myśli dziewczyna – to powinna być schowana staruszka! A może to jakaś dobroczynna kuzynka? Dob-, to po co tu ja?

No, trzeba to wyjaśnić!

- Dobry wieczór. Czy mogłabym się widzieć z panią Celiną >ędzką?  
Ja... przyjechałam z Warszawy...

Zdumiona Celina szybko zbiera się w sobie. - Jestem. To LŚnie ja  
jestem Łabędzka. Ale czy mogę wiedzieć?...

- Nazywam się Marzena. Marzena Krepianka. Adam prosił ie...

No. Tak. Wszystko jasne. Ta uroda?... W każdym razie jest npatyczna i  
inteligentna - myśli Celina, z wyraźnym brakiem ifania do gustu  
Adasia.

Proszę, niech pani pozwoli... Pani strasznie przemokła!

- Parasolkę mam w walizce. Nie spodziewałam się takiego deszczu.  
Oczywiście - nie spodziewała się, że w Łodzi może padać deszcz! Ale  
bystra! W sam raz coś dla Adasia, księżycowego Adasia, za którego  
trzeba o wszystkim pamiętać. No, nie można powiedzieć - znalazł  
sobie!

O dziwo jednak, Marzena rozwiesiła płaszcz i szybko zdjęła mokre  
pantofle, a rzuciwszy bystrym okiem na nieskalaną podłogę, zręcznie  
stanęła na leżących w kącie suknach. To już było lepiej.  
Może chociaż nie flejtuch - pomyślała Celina z ulgą, ale zatroskała  
się znowu.

- Gdzie ja pani ulokuję? Chyba w pokoju Adasia. Ale najpierw  
oczywiście napije się pani goracej herbaty.

Nie byłam tu oczekiwana... - pomyślała Marzena. - Starsza pani  
sądziła, że może jej się jakoś upiecze... Widocznie Adaś miewa od  
czasu do czasu genialne pomysły, których nie realizuje. No, ale  
jestem i trzeba robić dobrą minę do złej gry.

- Ale przecież to ja zrobię herbatę! - zaprotestowała, widząc, że  
Celina dość niemrawo kieruje się w stronę kuchni. - Ja wszystko sama  
zrobię - dodała stanowczo. - Po to tu przecież jestem! - i chcąc  
poderwać się do tych energicznych działań, omal nie wywróciła się na  
miękkich suknach. To trochę poprawiło nastrój, bo obie uważały za  
stosowne grzecznie się roześmiać.

Kiedy Marzena, już przebrana, w miękkich pantoflach i nawet fartuszk  
gospodarowała w kuchni, Celina wróciła na tapczan i rozmyślała  
frasobliwie o sytuacji.

Adaś chciał jak najlepiej, dziewczyna jest skromna i stara się. Ale  
dlaczego jest taka jakaś niepokaźna i wystraszona? Czy to jest  
odpowiednia dziewczyna dla Adasia? Widać, że ma dobre chęci i jest  
chyba życzliwa, ale czy ja mogę korzystać z jej pomocy, jeśli nie  
jestem wcale pewna, czy Adaś jednak nie oprzytomnieje i nie rozmyśli  
się? Bo przecież to zwykle zaślepienie, jeśli on mi pisze, że przy  
jej urodzie można darować jej dziecinne usposobienie. No, nie jest  
brzydka, ale żeby to była uroda, która ma wywoływać taki zawrót  
głowy! No, no... A jeżeli do tego ma być takie rozkoszne dzieciątko,  
to już Adaś ubrał mnie, że nie daj Boże. Co ja tu

1

nią będę robić? Już się gorzej czuję, a co będzie za parę dni?

Marzena weszła właśnie z taca, na której stały filiżanki, czaj-dczek  
i dzbanuszek, oraz talerzyki i duży talerz, na którym złościło ię  
pięknie wyrośnięte ciasto.

- Proszę! Czy można zabrać tę filiżankę? Herbata przecież yystygła,  
więc nalałam świeżej. A to - mówi z zażenowaniem - o jest ciasto  
mojego pieczenia. Na szczęście nie pogmiotło się, bo włożyłam je do  
walizki w takim małym koszyczku...

- Czerwony Kapturek! - mówi Celina i zaczyna się śmiać  
depowstrzymanie, patrząc na strapioną minę Marzeny. - Prze-iraszam  
panią - jąka się - ale tak mi się jakoś skojarzyło to irzyjście pani  
w deszczu z koszyczkiem ciasta do chorej babci -lie może powstrzymać  
resztek chichotu, chociaż zdaje sobie sprawę, że wygląda to dość  
głupio, ale czuje się słaba, zmęczona i wy-rażona z rytmu swojej  
spokojnej samotności. - To nic - szepcze dyszana. - To tylko nerwy.  
Widzi pani, nie jestem jeszcze zupeł-de zdrowa...

- Wiem. Dlatego przecież Adam... Ale nie rozmawiajmy te-az. Herbatę  
trzeba wypić goraca! I chyba pani spróbuje tego cia-ta! Ja tylko na

minutkę zajrzę do kuchni, czy zgasiłam gaz.

— Oczywiście — zgadza się potulnie Celina — ciasto na pewno świetne, znakomite... — przyświadcza grzecznie, kiedy Marzena już wybiega do kuchni.

Co, u licha, tak jej nie dogadza? — rozmyśla Marzena, szurając garnkami, aby stworzyć pełną fonię zajęć kuchennych. — Zrzecież powinnam zrobić całkiem dobre wrażenie! Skromna dziewczyna, pełna dobrych chęci... Chyba nic nie podejrzewa? Nie. ^Jie wygląda na to. Po prostu rzeczywiście jest jeszcze chora. \. może histeryczka? Może co dzień będę miała taki teatr? No nic. VTuszę się trzymać! Coś za coś.

Więc wraca do pokoju mile uśmiechnięta, chwali Celinę, że ;ak grzecznie zjadła kawałek ciasta, żartuje z siebie, że chyba jed-lak naprawdę wędrowała przez ciemne ulice jak Czerwony Kap-;urek, papple, wypytuje o ranne zakupy, wypija dwie filiżanki herbaty i w końcu ogarnia ją nieprzeparta senność. Walcząc z tą sen-łością robi jeszcze wiele rzeczy, które uważa za odpowiednie w tej sytuacji — aż uładziwszy wszystko według najlepszej wiedzy i wo-i, a ku cichemu zdumieniu Celiny, która nie stawiała jednak naj-  
?L%L !

JB I-

|i:

f

•r

mniejszego oporu, ocknęła się wreszcie z tego pracowitego półsnu na bardzo niskim tapczanie, obok którego świeciła stojąca na podłodze lampka.

— Jakoś to będzie — mruknęła, żeby dodać sobie otuchy i zasnęła kamiennym snem.

nie może być pięknych naczyń na światło? Lampa, proszę państwa, powinna być tak piękna, jak piękne jest światło, bez którego, proszę państwa, nie mogłoby być w ogóle nic pięknego, więc dlatego... — tu straciła wątek i usnęła zupełnie z siebie zadowolona.

Była już późna noc, kiedy Celina obudziła się z pierwszej drzemki. Czowała, że jest ciepło, miękko i wygodnie. Tapczan pierwszy raz od wielu dni posłany wygodnie, nie przypominał skopanego wyra, a w dodatku włożona pod prześcieradło kołdra Adasia dawała rajskie uczucie wygody. To był pomysł!

Ale czy jej tam wystarczy koc? Jeszcze się zaziębi i będzie mi tu kwękać, a kto się nią zajmie? Trzeba wstać i zobaczyć, jak tam jest w pokoju Adasia. Wstać? — majaczyła Celina.

— Czy Adas wziął chociaż dwa koce?... i usnęła znowu.

Twardy sen Marzeny nie trwał długo. Obudził ją pomarańczowy blask nocnej lampki, którą zapomniała zgasić i niepokojące uczucie, że nie wie, gdzie się znajduje. Spojrzała na sufit, podparty wysokim regałem, upchany książkami i wszystko stało się jasne. Opieka nad matką staruszką i własny ciepły ką. Ba, nie tylko ciepły, ale i miękki! Przeciagnęła się rozkosznie — ale ten Adam ma życie!

Teraz myślmymy poważnie, Marzeno moja droga! Trzeba uczciwie odpracować te rozkosze. Przypomnij sobie te poprzednie przyjazdy do Łodzi, te godziny przestane w wagonie i przesiedziane na dworcu. Ten egzamin z rysunku, na który dopadłaś w ostatniej sekundzie, bo pociąg się spóźnił!

Dobry Boże — pomyślała chowając nos w poduszkę, bo nagle zachciało jej się śmiać. — Jak ja w ogóle zdałam ten egzamin? Mokra, wściekła i głodna! Jak w złej powieści o życiu artysty! A może — zamajaczyła już w półśnie — może jednak przekonała ich moja teka... Może podobało im się, że na moich kartonach znaleźli coś, co może chcieliby zobaczyć u siebie w domu? Przecież jeżeli chce się mieć piękne naczynia na kwiaty, na wino — dlaczego

### Rozdział trzeci

Marzena wychodząc z domu cieszyła się na myśl, że ma teraz przed sobą dłuższą chwilę na spokojne rozmyślanie, a poza tym, że rozejrzy się trochę po nie znanym mieście. W tej chwili była pełna optymizmu i żywiła głębokie przekonanie, że Celina śpi spokojnie i będzie spała jeszcze dość długo, aby można się było nie spieszyć. O tej wczesnej godzinie powietrze było przyjemnie świeże. Skręciła w małą uliczkę, zabudowaną parterowymi domkami z drewna i jednopiętrowymi kamieniczkami. Uliczka była cienista, zielona, a przez szerokie bramy płotów otaczających domki widać było podwórka, gdzie pod bujnymi krzakami grzebały w piasku kury. W głębi widniały jakieś resztki drewnianych zabudowań, jakieś warsztaty czy nawet obórki, bo na jednym z podwórek szarpała się na sznurku duża, biała koza. Od drewnianego balkoniku przeciągnięto sznur, na którym suszyły się jasne, kolorowe sukienki.

Marzena przystanąła, zachwycona tą zielenią, kolorami, plamami słońca, tym wszystkim, czego nie widywała na co dzień w betonowoszarej dzielnicy Warszawy. Na zielonych listkach krzaka błyszcząły nie wyschnięte jeszcze krople wczorajszego deszczu.

- Pani uważa? - zapytał nagle skrzypiący głosik. Z okna wysokiego parteru, tuż nad jej głową, wychylała się żółta twarzyczka staruszki, otoczona kasztanowatymi loczkami peruki. Marzena uśmiechnęła się dość głupio, chcąc przekupić

nieżyczliwą, papuziastą zjawę.

- Tak sobie patrzę - wyjaśniła chyba niewystarczająco, bo papuzia główka przekrzywiła się na ramię i błyszczące oczka patrzyły na nią niedowierzająco.

- A co by pani sobie życzyła? Ja widzę, że pani c ó ś szuka!

Marzena rozejrzała się bezradnie i wtedy zobaczyła, że na o-

\\

brzeżu bramy widniały liczne tabliczki, zachęcające do zrobienia sobie manicure, zmaglowania bielizny, okrętkowania nie wiadomo czego, a na szybce lufcika przyklejona była mała tabliczka, z napisem - „Położna”. Zawahała się przez chwilę, bo nie miała odwagi po prostu odejść bez słowa.

- Szukam stolarza! - powiedziała w natchnieniu.

- Stolarza? Jest stolarz, ale to tam dalej, za rogiem. Tylko, że on robi trumny...

- Trumny? - rozpromieniła się Marzena. - To doskonale. Mówi pani, że tam, za rogiem?

Ale lufcik zatrzasnął się gwałtownie i papuzia twarzyczka rozplynęła się w ciemnej głębi pokoju.

Chyba się wygłupiłam - pomyślała ze skrucą Marzena, rozważając, że nawet w tak śmiesznej sytuacji nie potrafi zachować się z godnością.

- Co to jest, dlaczego nie mogę zdobyć się na swobodę i pewność siebie, kiedy ktoś się do mnie odezwie, tylko robię z siebie wariatkę. Czy dlatego, że śmieszy mnie tyle rzeczy, które nikomu jakoś nie wydają się śmieszne?

A przecież szczególnie pewność siebie i swoboda były właśnie teraz jej niezbędnie potrzebne. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku pracownicy, po której ze zgrzytem przejeżdżał tramwaj, obmyślając pracownicy, czy potrafi konsekwentnie i gładko osiągnąć swój trudny i niepewny cel. Oczywiście, Celina...

Celina obudziła się wcześniej, niż Marzena mogła przypuszczać, gdyż w ramę okna uderzyła piłka, na szczęście nie dotykając szyby.

No, tak! Właśnie to jest parter, pomyślała Celina odruchowo, który to odruch umacniał się w niej od lat dziesięciu, odkąd zamieszkała w tym parterowym mieszkaniu. Zawsze uważała, że jest to mieszkanie, do którego wszelkiego rodzaju złoczyńcy mogą wlaźć oknami, kiedy im się tylko spodoba. Jeśli nie wlaźli, to byli widać chwilowo zajęci gdzie indziej.

Przez chwilę pławiła się jeszcze w cichym rozgoryczeniu, czując niemniej miły spokój i wygodę, które to uczucia chciałyby przedłużyć

jeszcze trochę. Dzieciaki na podwórku, piłka, mniejsza o to.

15

Nagle jej spokojne, leniwe myśli /iui|ri) (> jnkít'6 przypomnienie. Coś dolegliwego, niepokojącego. Ach, nic, nic broniła się przed czymś. Zamknęła oczy i wtuliła twarz w poduszkę, sądząc, że może śniło się jej coś złego i że to z tego snu jakieś wspomnienie. Ale nie, nie udało się oszukiwanie samej siebie. Z rozpaczą otworzyła oczy i westchnęła. Zaraz, zaraz, o co chodzi. Jakiś kłopot, jakaś przykrość, jakaś trudność...

Wzrok jej padł na stojącą na stoliczku fotografię Adama. No wiadomo, Adaś i jego dziewczyna. Więc jednak problem... Bo ja wiem... - była zaniepokojona tym zakłóceniem, trochę rozżalona, że Adam przysyła kogoś tak lekkomyślnie... Ale po chwili opanowała się.

- Nie, tak nie można - zgromiła sama siebie. - Adam chciał jak najlepiej - stwierdziła surowo. - Nie jego wina, że mi to w tej chwili nie dogadza. Jest młody i nie ma pojęcia, jak mnie niektóre rzeczy drażnią i męczą. Trzeba tej małej okazać trochę życzliwości. Zresztą - przekonywała sama siebie - dlaczego miałabym jej nie lubić? W końcu nie uniknę tego, że zaistnieje taka czy inna dziewczyna, którą powinnam zaakceptować. To nie jest wina tej Marzeny, czy jak jej tam, że mnie teraz czyjaś obecność męczy. Muszę przecież przyznać, że naprawdę zadbała o mnie. Pomysł z kołdrą był pierwszorzędnym. Ciasto jest doskonałe, jeśli to ona naturalnie je piekła. Zresztą ciasto, nie ciasto, mniejsza. Gorzej, jeśli w kuchni została chlew. One to lubią, te dziewczyny. Niełma rady, trzeba wstać, zanim ona wstanie, a potem zajrzeć do kuchni, może nastawić wodę? Na szczęście jeszcze wcześniej. Ona na pewno jeszcze śpi, niech więc sobie pośpi.

W ten sposób, wśród mieszanych uczuć, Celina rozgrzeszyła i niejako pobłogosławiła swego nieproszonego gościa, po czym, mrużąc i stękając wylazła spod kołdry i w byle jak narzuconym szlafroku poczłapała do łazienki. Przechodząc przez przedpokój zauważyła, że drzwi do pokoju Marzeny są lekko uchylone, więc z wielką uwagą, ażeby nie skrzypnęły, zamknęła je starannie i cichutko. Teraz poczuła się swobodniej i rozpoczęła wielkie ablucje w łazience. Kiedy czesząc się spojrzała w lustro i zobaczyła mizerna, chuda twarz o papierowej cerze, ogarnęła ją pokusa, aby jednak poprawić trochę ten żalony widok.

- Wyglądasz po prostu jak biedna babina - mruknęła, krytykując swój wygląd.

Wyszczotkowała więc porządnie włosy, na szczęście bujne i tylko lekko siwiejące i związała je czarną aksamitką. Wklepała trochę kremu w suchą skórę i z wahaniem i wyrzutami sumienia, że być może ośmiesza się, dotknęła różem mizernych policzków. Efekt wydał się jej nadzwyczajny. Zdecydowała też, że kosmetyczne zabiegi wykonała właściwie dla szczęścia Adasia. „Niech ta Marzena wie, że w naszej rodzinie kobiety są przystojne i zadbane

Kuchnia była wysprzątana lepiej, niż zwykła robić to pani do-zorczyńi i uczucia Celinę ociepliły się znowu. Zapaliła gaz pod czajnikiem i zdecydowała, że zrobi sobie herbatę. A Marzena niech pośpi i jak wstanie, to zjemy razem śniadanie.

Wróciwszy do pokoju zdecydowała, że teraz można będzie jeszcze trochę poleżeć. Jeszcze wcześniej - dopiero ósma. Celina ziewnęła i przysiadła leniwie na brzegu tapczana.

I wtedy nagle ten przeraźliwy krzyk, brzęk tłuczonej szyby, zgrzyt, gwar wielu głosów.

- Złodziej! Trzymajcie złodzieja! Ucieka przez okno! Łapać go! Celinie serce biło tak mocno, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Ogarnęło ją przerażenie. Krzyk i brzęk szkła dochodził zza drzwi pokoju Marzeny. Czy to możliwe?

Nie, nie myliła się - odgłosy pochodziły z tamtego pokoju. Robiło się jej słabo, ale starała się z całych sił zachować przytomność umysłu w tej strasznej chwili.

To przerażające! To po prostu okropne – myślała. – Co się tam właściwie stało? Czyżby ktoś wdarł się do pokoju? Jakiś złoczyńca? Czy zwykły złodziej? Co się dzieje z Marzeną?

Z trudem podniosła się z tapczana, bo jednocześnie od pewnej chwili do drzwi ktoś się dobijał, bębniąc pięścią. Ale kto się dobijał? Wreszcie poznała głos dozorczyńni.

– Pani Łabędzka – wołała zza drzwi – to ja! Niech się pani nie boi! Niech pani otworzy!

Teraz więc Celina, trzymając się ściany wlecze się do przedpokoju, ze wzrokiem utkwionym w drzwi pokoju Marzeny. Nie ma

17

wreszcie nie ude-Indującej

,p? < olina py-

• trotyni zaraz |jKikojniutko, pa-  
ii u / •

r/.yły jej, u- i.

sitj- (io witali iiu

ta szeptem, Im lirak ji«j trh

– Zaraz zobaczymy! mntsi , -t. zobaczymy. Tylko niech się pani

nu« pi ni Łabędzka, bo pani nie wolno się (Icihtwuu ,

• Ta pieśczośliwa uwaga wystarczyła, aby Olina doHtala natychmiast bicia serca, podczas gdy dozorczyńni energicznym, kaczym krokiem podchodzi do zamkniętych drzwi, za którymi nie wiadomo, co się dzieje i otwiera je szeroko. Nagły podmuch wiatru zatrzaskuje teraz drzwi od sieni...

– O Boże!

Celina dusi się ze zdenerwowania, czuje bicie pulsu w skroniach. Nogi ma z ołowiu, kiedy wsuwa się do pokoju za dozorczy-nią, która wkroczyła pierwsza. Potem siada bezwładnie na rogu tapczana. Ogarnia ją panika. Co teraz? Co teraz będzie? Powiedzieć dozorczyńni, że ktoś do niej przyjechał? Powiedzieć o wieczornym gościu, który znikł? Wszystko to wygląda jakoś dziwacznie i czy jest możliwe, aby działy się takie historie? A przede wszystkim, jak to się stało, że wpuściła do domu zupełnie obcą osobę? Zwariowałam, czy co? Kto to naprawdę jest?

Celinę ogarnia panika. Jakaś dziewczyna, której nigdy przedtem nie widziała na oczy, dzwoni do mieszkania, a ona – nie sprawdzając, kto to jest, otwiera przed nią drzwi, nieomal rzuca się w ramiona. Powiedziała jakieś nazwisko. Ale czy to aby ta sama Marzena? Czy Adaś naprawdę ją zna?

Szeroko otwartymi oczami patrzy tępo na panią dozorczyńnię, która raźnie krząta się po pokoju, przyjemnie podniecona. Pani dozorczyńni rozgląda się uważnie i najwyraźniej wzięła w swoje ręce sprawę śledztwa i schwytania przestępców.

– A ta walizka – pyta nagle, dotykając pantoflem stojącej na podłodze małej walizki Marzeny. – Skąd się tu wzięła? Bo to przecież nie pani walizka. Znam to mieszkanie i nigdy przedtem jt>j nie widziałam. Przecież to nie pani, co?

– Nie – szepce Celina – nie moja walizka. Tylko wczoraj...

– No to ja wiem – wpada jej w słowo dozorczyńni. – Trzeba ją oddać na milicję!

– Kogo? – wykrztusiła Celina. Jest jeszcze bardziej przerażona i zgnębiona. Jest czytana w kryminałach, więc błyskawicznie rozsnuwa się przed nią dalszy ciąg akcji. – Kogo oddać, pani Sabinko?

– No, tę walizkę. Tam są kradzione rzeczy... To pani nie wie? Jak uciekali, bo było ich dwoje, chłopak i dziewczyna, to oni, proszę pani...

Urywa nagle, bo w tej chwili słyhać w drzwiach wejściowych zgrzyt klucza. Jeden zamek, drugi... Nie, drugi nie daje się otworzyć kluczem, bo już jest otwarty...

– Kto to?

– Ta pani tp do pani? – pyta teraz niepewnym głosem pani Sabinka.

Nie. Celina nie wie już nic. Jakaś wariacka, niezrozumiała historia.

Co się dzieje? Usiłuje więc ze wszystkich sił wmówić sobie, że się to jej śni, i że zaraz się obudzi z tego bezsensownego, męczącego snu. No i czy to nie jest przebudzenie? Przez przedpokój lekkim krokiem przechodzi Marzena, staje na progu pokoju, oczy szeroko otwarte ze zdumienia, mina lekko ogłupiała, a w ręku siatka z zakupami.

– Marzenka! – wyrywa się Celina i ten okrzyk jest samą tkliwością, wdzięcznością za wyzwolenie i triumfem nad panią dozorczynią. Co za szczęście, co za szczęście... A więc ta walizka, ta mała walizka już nie jest opakowaniem łupów chytrej złodziejki, która podstępnie wdarła się do mieszkania, ale solidnym, chociaż skromnym bagażem solidnej i skromnej panienki.

– Jak ja mogłam – robi sobie wymówki Celina – jak ja mogłam wymyślić sobie taką bzdurę! Ale to ta pani Sabinka wpadła na ten pomysł!...

– Co się tu dzieje? – pyta Marzena.

O Boże, jak cudownie brzmi jej głos.

– Czy pani źle się czuje – pyta dalej z niepokojem i troskliwością – czemu pani wstała tak wcześnie?

1 w tej chwili dostrzega wybitą szybę. – Czy coś się stało?

– Marzenko – mówi bez sensu Celina. – Marzenko, jak to

19

dobrze, że pani przyszła. Jak to dobrze! Bo ja już nic nie wiem

– Bo tu się dopiero działo! Złodzieje byli, szybę wybili –przerywa jej dozorczyńni – i w ogóle jakiś napad, czy coś...

– Zaraz, zaraz – Marzena ruchem ręki usiłuje zahamować potok słów pani dozorczyńni. Przede wszystkim nic nie rozumiem. Ale najpierw – zwraca się do Celiny uspokajająco i opiekuńczo najpierw pani wróci do siebie, zje śniadanko... Ja zaraz w»jr.VHtlu> /tobie, przygotuję i przyniosę.

Id (liihr/.e, to ja już pójde do siebie – zgadza się uspokojona, 'k/r i właściwie uszczęśliwiona Celina. Jest to właściwie >>||<!

"inl kryminalnego filmu. Jednak pani dozorczyńni nie ustę-  
pm

A tu Mylni'' A lit wnli/.ku'.' To eo? To milicję wołać, czy co?

Wnli/.kit )«<»t moja, pronzv pani. A kto wybił szybę? Chyba iwinmi wied/icr, nic? Pniu tu mieszka, prawda? A poza tym trzrlm wprawie''. Na razie jednak pani Łabędzka musi spo- zjeść śniadanie.

I'ani dozorczyńni niechętnie zabiera się do odejścia i jeszcze się ociąga.

– To jakby co – to niech pani do mnie zapuka, te drzwi obok. To pani, znaczy, znajoma pani Łabędzkiej?

Teraz z godnością odpowiada Celina: – Ta pani przyjechała do mnie z Warszawy i jest tak uprzejma, że się mną opiekuje. We wszystkich sprawach, pani Sabinko, to już proszę się zwracać do tej pani.

I i. '

piilfin 'i-lin.i piilulnie |:ull:i madanie |

Ul I.

|i /ez ulo-iobne v rzuty iawało, \powa-le.ż może może nie

Tak, tak – Marzena czuła się nieco skrępowana. l'r/.v hh daniu nie była zbyt rozmowna, potem pokręciła się po kuchni. pozmywała filiżanki i oznajmiła, że idzie do dozorczyńni załatwić sprawę wybitej szyby.

Celina przygasła. Zmęczyło ją to wszystko i czuła i , I,  
>

całego świata, który zmuszał ją, przecież jeszcze chori||, < wiedzmy niezupełnie zdrowa, do takich przeżyć. Do tak nych skoków nastroju i uczuciowych komplikacji. – l'i leży mi się trochę spokoju – skarżyła się sama przed >|

Tak więc, kiedy Marzena dość szybko wróciła z k> z dozorczynią, która to konferencja zawierała pewne n głądów na temat, kto ma płacić za wybitą szybę – zastn zupełnie różna od tej, jaka ukazała jej się wczoraj w dr/.w szkania. Teraz istotnie robiła wrażenie schorowanej ^ chociaż drobna śniada twarz, otoczona kosmykami but sów, była raczej



twarzą chorowitej dziewczynki z angioi sunków. Marzena zatrzymała się w pół kroku zaskoczę > biedzonym wyglądem.

Zmartwiła się i przestraszyła. Wzięłam na siebie o moje siły – pomyślała. – Jak mogłam podjąć się tego był, jak się okazuje, nieobliczalny, a przecież to jest ja i wiedzialność.

– Może wolałaby pani się położyć – zapytała z wali przykro mi, że zostawiłam panią samą w domu, ale mys I wróćę, zanim się pani obudzi. Skąd mogłam przypuszcza

– Co ona pani, ta Sabina, powiedziała? – przerwał; odgarniając włosy z czoła i robiąc swobodną minę. Uśni się nawet tak jakoś porozumiewawczo i to trochę pocies rzenę.

– Ach, to był, proszę pani, cały wielki kryminał! K i cudo! Co tu kryć – pani Sabinka była zachwycona. Wprowt mieniowała szczęściem. Nareszcie coś się działo! A ona tu barwnie o tym opowiadać!...

– A co się właściwie działo? – Celinę najwidoczniej / ogarnął lekki niepokój i należało szybko go rozwiąć. Marzena f bi więc zdziwioną minę.

– O co chodzi naprawdę, czy też to, co się działo w <••!«•• przejmującej sadze pani dozorcowej? Bo to mogą być dwie zup'-ł nie różne rzeczy. A tak naprawdę to usiłowano okraść pani sąsiadów z góry.

– Tych państwa Zawadzkich?

– Zdaje się, że tak się nazywają w wersji pani Sabinki.

– Ale dlaczego u nas jest wybita szyba?

– A, to jest cała historia. Więc do tego ich mieszkania dostali się chłopak i dziewczyna...

– Włamali się?

– Nie, nie, mieli skądś klucze, jak się okazało. A może mieli wytrych, nie wiem na pewno. W każdym razie zabrali to i owo – jakieś cenniejsze rzeczy, zapakowali do walizek i już mieli wyjść, kiedy niespodziewanie wrócił ktoś z lokatorów. Dziewczyna była w tym momencie w kuchni i szybko dopadła do drzwi, ale chłopak był jeszcze w pokoju i w popłochu próbował wyskoczyć przez balkon. Wtedy właśnie zbił szybę u pani...

– Ale w jaki sposób?

– Według relacji nieocenionej pani Sabinki dlatego zbił szybę, ponieważ chciał wrzucić do pani przez okno walizkę z biżuterią... To pewnie chodziło o moją biedną walizkę...

– Tak, właśnie ta – oddycha z ulgą Celina. – I tak mnie skołowała...

– Otóż to! Co za głupie babsko! – przerywa Marzena patrząc z litością na mizerną figurkę. – Nie powinienam tak pani zostawić... Celina uśmiecha się blado, myśląc, że dziewczyna przerwała jej w porę. Bo co miałyby jej powiedzieć? Że ona też pomyślała przez ułamek sekundy, że ta walizka, to coś dziwnego... Tak, tak, obydwie czują się wobec siebie trochę winne, więc obie starają się teraz być dla siebie miłe...

– To ja pobiegnę załatwić sprawę szyby. Pani Sabinka zaznaczyła, że nie wie, kiedy będzie się mogła tym zająć, bo ma pranie... Postaram się wrócić jak najszybciej. Widziałam tu niedaleko warsztat szklarza. Może pani tymczasem położy się i spróbuje trochę odespać...

– Nie, nie, wolę poczekać, aż pani wróci. Boję się o to okno. No i dobrze. Marzena pobiegła truchtem do szklarza i ubłagała go, żeby przyszedł natychmiast. Sprawa szyby została więc załatwiona jak po maśle. Chwała Bogu. Marzena przyniosła też Ce-

22

linie gazety, w dalszym ciągu doradzała małą drzemkę i oświad-r/.yła, że właśnie przez ten czas chciałyby się trochę rozpakować.

– Muszę w końcu zajrzeć do tej walizki – zażartowała – ll nuż włamywacz zamienił ją i znajde tam te skradzione klejnoty? Tylko gdzie mogłabym schować te moje bambetle? Nie chciałabym narobić bałaganu...

– Gdzie? – zastanowiła się Celina. – Już wiem! W szafie Adama. Tam jest trochę miejsca. Sadzę, że pani wystarczy. To ta lasna, sosnowa

szafa w jego pokoju. Szuflada w jego stole też jest pusta...  
I zmęczona burzliwymi przejściami poranka Celina wreszcie usnęła, opowiadając jeszcze coś tam o swoich kłopotach z panią S. i hinką. Marzena odczekała chwilę, popatrzyła na śpiącą z troską i współczuciem i westchnawszy na różne tematy, które ją w tej chwili trapiły, przeszła na palcach do drugiego pokoju. Tu, czekali je na przybycie szklarza, otworzyła szafę i zajrzała do jej wnętrza. Miejsca było rzeczywiście sporo. Wieko walizki odskoczyło, nit' zawierała ona jednak klejnotów państwa Zawadzkich, tylko Hkromny dobytek młodej osoby o być może odpowiednich cechach i zaletach. Po chwili zawartość walizki wypełniła dwie puste dołki półki i szufladę w biurku. Po skończonej robocie Marzena uchowała walizkę pod tapczan, rozejrzała się i zamknęła szafę i szufladę na klucz. Zamierzała właśnie poświęcić się rozważaniom nad swoją sytuacją, kiedy do drzwi zapukał zamówiony 11 iv. cz nią szklarz.

Rozdział czwarty

Ten dzień zaczął się niedobrze.

Z samego rana przyszły listy. Marzena przekonała się o tym, wracając z zakupami. Leżały w skrzynce, jeden obok drugiego, w identycznych kopertach i na tym, który leżał na wierzchu, można było przez otworki w skrzynce przeczytać część adresu. I ten właśnie adresowany był do Marzeny. Siatka z zakupami zakoiysa-lu hiv gwałtownie, kiedy Marzena sięgnęła do kieszeni po klucz do I , /v i, l.. i :ili- w I .-j samej chwili uprzytomniła sobie, że przecież to ... t.> ni.' ji-st. jej skrzynka, i że w ogóle nie ma klucza. , ! inlec- klucz? Celina? Jest chora od dłuższego . I. >mu i zapewne ktoś inny otwiera skrzynkę, i/urcowa. Trzeba dostać od niej ten klucz. (tani Sabmki, jej nieletni potomek oznajmił /,<« manta poszła do administracji i nie ka-Or/.ywiiicitl lr/.cba będzie poczekać i w koń-i«'i> klucz. i na coś tr/.i-ba czekać - zdenerwowała się.

i ( clma wypoczęta i wesolutka ucieszyła się,  
, i,i,.i/ii i:iilla do porannej kawy świeże, chrupiące bu-  
i, . , . ,|iomiiuła o ponurych wydarzeniach wczorajszego po-

iimkit. starając się dziś stworzyć „miłą, domową atmosferę”.  
CtitKli' bowiem czuła jakby troszkę wyrzut sumienia wobec tej,  
jak oceniała - życzliwej dziewczyny.

Dopytywała się więc o sklepy, w których załatwiała zakupy, opowiadała, że śniło się jej, że była nad morzem, że zapowiada się ładna pogoda i że będzie, jak się zdaje, ciekawy serial w telewizji. Można się było urwać. Marzena powinna była już wyjść z domu i zatelefonować, a jednocześnie chodziło jej o to, żeby dostać do rąk własnych ten list, który spoczywał w skrzynce. Ale czy potrzebnie się tak denerwuję? - karciała się po chwili. A może ta ca-  
la Celina oprze się jednak pokusie, okaże się osobą kulturalną i nie przeczyta listu, tylko zadowolony listem niewątpliwie adresowanym do niej. Bo nie ulega wątpliwości, że były to dwa listy, które jednocześnie wysłał Adam. Ale co można wiedzieć o samotnej matce syna jedynaka? Tego cudownego, genialnego Adasia, którego szkoda dla byle jakiej dziewczyny? A diabli wiedzą, co tam jest w liście! A jeśli to nie są listy od Adama? Również ci sami diabli wiedzą, kto je pisał. A mogły te listy pisać dwie osoby! Nie wiadomo przy tym, która z tych dwóch możliwości jest gorsza. Nie! - owszem, wiadomo!

Te pełne niepokoju rozważania zakłócił szmer słów Celiny skierowanych do niej. Nie słuchała początku, więc nie wiedziała, o co chodzi. A Celina szemrała dalej z jakby zażenowanym uśmieszkiem - ... oczywiście pytam tylko, kochanie, ale nie nalegam na konkretną odpowiedź. Wiem, że czasem to trudno wyjaśnić...

Co u licha mam wyjaśnić? - myślała Marzena wyrwana ze swoich frasobliwych rozmyślań przez ten cichy, lekko schrypnięty głosik Celiny. Uśmiechnęła się więc dość głupio. - Czasem tak - powiedziała grzecznie - czasem to jest trudno.

- Bo ja wiem - ciągnęła dalej Celina - jak bardzo różne przyczyny skłaniają młodych do wyboru zawodu... Jakie są motywacje, ambicje...

Acha, więc to tak, to o to chodzi – pomyślała Marzena. Ale w tym wypadku – ciągnęła dalej Celina – wydaje mi się to szczególnie interesujące. Adaś uważa, wiem to z jego listu, że po prostu trudno sobie wyobrazić, żeby mogła pani robić coś innego, że jest pani po prostu stworzona do sceny czy filmu... Ale to taka trudna droga... moje dziecko...

Głos Celiny załamał się w tym miejscu, co mogło tylko oznaczać, że ona osobiście sobie tego nie wyobraża. I że chyba nie uważałaby tego za jakąś klęskę. Jest tyle innych zawodów... Ale tego Celina, broń Boże, nie powiedziała. Tylko tak pomyślała.

Marzena odetchnęła głęboko.

- Widzi pani - powiedziała łagodnie - ja wcale nie myślę, że mi się to uda. Poświęcenie się pracy na scenie nie jest łatwe.

1 od aktorki tyle się wymaga...

- I o tym Adaś mi pisał.

25

|i| jaki ten Adam chytry! roześmiała się Marzena. – liniec do niego zaufanie, prawda? Jngól mam - stwierdziła bez zapału Celina. Hidasiu, obyś się nie mylił – pomyślała Marzena, ale te-|»owiedziała głośno. I obie mimo woli spojrzały na foto->ma, stojącą na stoliku. Celina patrzyła z zawsze tym sa-wniem, że ten przystojny, poważny, inteligentny mło-• jej własny syn – a Marzena... Marzena miała...miała-pokazać mu język.

w chwilę później zerknęła na zegar, stwierdziła z żalem,

/ajaca pogawędka zajęła jednak sporo czasu. Na szczęś-

szego ciągu rozmowy obroniła ją konieczność jak naj-

'.^ zajęcia się wieloma sprawami domowymi. Rzuciła się

w 11.-, i n uśnie do zmywania po śniadaniu, porządkowania mie-

szkimi, przygotowywania obiadu i można było kręcić się po

kuchni, nie stwarzając okazji do dalszych rozmów. A jednocześnie

ta krzątająca pozwalała jakoś skrócić czas oczekiwania na listy

uwięzione w skrzynce. W końcu w jakiś sposób otrzyma ten do

niej adresowany.

A listy pojawiały się razem z panią dozorczynią dopiero po obiedzie.

- To do pani Łabędzkiej – powiedziała oddając jedną kopertę, a ten drugi, to nie wiem...

- Chyba do mnie! – wykrzyknęła Marzena, wyciągając rękę, ale pani dozorczyńni nie zwróciła uwagi na ten gest i okrzyk, tylko solennie wręczyła list Celinie.

- Oczywiście, że do pani. Proszę, kochanie. I oba są od Ada-sia.

Pani dozorczyńni patrzyła nieprzychylnie na tę idylle przyjechała

jakaś taka i wygląda na to, że będzie się chciała tu rządzić... – i

pani Sabinka postanowiła od razu jakoś zaznaczyć swoje stanowisko i

dać poznać, co b tym myśli. Spytała więc ponuro: – to czy ja klucz od skrzynki mam oddać tej pani'.'

- Oczywiście - uśmiechnęła się Celina, myśliie niecierpliwie, kiedy wreszcie pani dozorczyńni Hobbie pójdzie i można będzie spokojnie przeczytać wyjątkowo gruby lint od Adimia.

Pani Sabinka nie ruszała niy jwlnnk /. mittjftcn. Niewątpliwie

w jej sercu wrzała burza. – To jak będzie z innymi rzeczami -spytała

kładąc na rogu stołu mały kluczyk. – Zakupy, to widzę, że ta pani

robi sama, a pranie kto będzie robił? A wyrzucić śmiecie! A mycie

okien?

Głos pani Sabinki miał teraz zabarwienie tragiczne, przez które

przebijał się ton dotkniętej ambicji. – Bo jak jestem niepotrzebna,

to też bym chciała inaczej się urządzić. Dużo pań z tego by się

ucieszyło - dodała znacząco i złowieszczo.

Celina spłoszyła się. – Ale skądże, pani Sabinko, kochanie! Jakże ja

bym sobie bez pani dała radę? Oczywiście, że wszystko

zostaje po dawnemu.

- Ale zakupy to już robi ta pani. To jak ma być? Odtrąci mi pani za to?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A jak ta pani wyjedzie, to jak? To znowu mam robić zakupy? Bo to

kosztuje czas...

- Ja wtedy pani dołożę, oczywiście... - mówi pokornie Celina. Wie przecież, co dla niej samotnej i na jakiś czas właściwie unieruchomionej znaczy przychylność dozorczyńni. Rozumie to i Marzena i nie wtrąca się do rozmowy. Ten list od Adama! Przeczytać jak najprędzej ten list! Co on tam znów wymyślił... Wysuwa się więc ostrożnie do kucjini i szybko rozrywa kopertę.

Marzenko - pisze Adam, pięknym, wyraźnym charakterem pisma, gdzie każda litera wygląda jak osobno rozrysowana. - Diabli mnie biorą, kiedy myślę, jak ty się tam męczysz, ty, która nie przepadasz, bo wiem, że nie przepadasz za zajęciami domowymi - otóż męczysz się, kiedy ja tu prawdę mówiąc byczę się na słoneczku. Nie wiem, jak będzie dalej, ale na razie niewiele mam tu do roboty. Kopie się. Trochę skorup, trochę monet (nic nadzwyczajnego). Moi podopieczni... I tak dalej, i tak dalej... można sobie darować - myśli Marzena, ale przebiegając wzrokiem pobieżnie dalsze linijki natrafia na zdanie, które czyta uważnie. Rybeńko - pisze A-dam - cholernie się niepokoje o Twój egzamin i Twoje nerwy, ale co zrobić, że jeszcze więcej niepokoje się o Mamę. No, powiedz, jak to głupio, że nie piszę Ci, żebyś się nie męczyła, żebyś myślała tylko o sobie. Najgorsze, że nawet nie spodziewam się listu od Ciebie, bo trudno mi podać jakiś adres, kiedy przerzucamy się z miejsca na

26

27

1

miejsce. Bardzo się martwię, jak Mama się < cujc, ('iv rzeczywiście przychodzi do siebie? Nigdy w życiu bym nic wyjechał, gdybyś mi nie obiecała, że się nią będziesz opiekować...

Tu urywała się synowska troska i zaczynały się j;ikieś według Marzeny „głupie” wynurzenia, których po prostu nie chciała czytać. Złożyła porządnie list i zamyśliła się.

- Bardzo miły list napisał Adaś do mnie zaczęta dość uroczyście Celina, kiedy po obiedzie siedziały jeszcze w jej pokoju i kończyły picie herbaty. - Martwi się o mnie ten mój Adaś, a przecież nie ma powodu, odkąd pani przyjechała i jest ze mną. Ogromnie żałuję, że nie mogę mu napisać, jak bardzo dobrze się czuję pod pani opieką. Tak, tak jest! - powtórzyła z naciskiem, bo nie uszło jej oku pełne wątpliwości lekkie, odruchowe wzruszenie ramion Marzeny - tak, moje dziecko, właśnie pod pani opieką. Nie przyznawałam się Adasiowi, boby martwił się i szalał, tak jak on to potrafi, że wcale nie czułam się dobrze przed pani przyjazdem. Wprost przeciwnie, czułam się marnie i w ogóle już nie wiedziałam, co ze mną będzie. Wszystko mnie męczyło i denerwowało. Widziała pani przecież naszą drogą Sabinkę. Póki byłam zdrowa, to jeszcze było jako tako. Ale potem. Myślałam nieraz, że zwariuję w jej towarzystwie.

- Oj, można - potwierdziła Marzena.

- Więc właśnie! Ach, moja droga! Co tu mówić! W dodatku o ileż taniej wszystko kosztuje, odkąd pani robi zakupy! Sabinka ma skłonność do kupowania masy rzeczy na nic niepotrzebnych. Lubi kupować. I ma taki, powiedziałaabym, szeroki gest.

- Wiem. - Tu się wszyscy znają i już w tym sklepiku na rogu pytali mnie, czy nie biorę, jak to dawniej kupowała pani Sabinka, pasztetu, kaszanki i piwa. Powiedziałam, że lekarz zmieni! pani dietę, ale może to chwilowe.

Celina roześmiała się: - Jedno muszę sprawiedliwie przyznać, że nigdy nie zmuszała mnie do jed/enin tych rzeczy. Tylko co parę dni mówiła: „No, zrobiłam porza«l«'k w kuchni Wyniosłam te wszystkie rzeczy, co to pani ich hm\* luli I ik In juz jest, że jedni lubieją, a drudzy nie. Ale zit<>v i w kufli | • < |• .ciutko!”

Teraz oi>i<> chichom |>nl>' iw» i i o

ostatecznie

trzeba /.ro/.umn

INT/ii tvn w

ii.il. i <lma uważa, że

,k

powinna wrócić do przerwanej wątku. Czuje, że powinna okazać zainteresowanie i troskę.

- Wiem, moja droga, że pani ma niedługo egzamin do tej szkoły filmowej. Adaś mi pisze, że pani ma straszną tremę. Ach, ja to rozumiem, bo zawsze byłam ogromna tremiara. To znaczy nie byłam artystką, ale grałam niezłe na fortepianie i czasem błagano mnie, abym coś zagrała na takich większych przyjęciach. Adaś pisze mi również, że pani łatwo się peszy i że powinna pani przez ten czas, kiedy jest tutaj, trochę się jeszcze przygotować.

- Naturalnie - zgadza się potulnie Marzena, myśląc przy tym: trema! Ale strzelił! A może on w to wierzy? Inteligentni chłopcy są przeważnie naiwni i w nie takie rzeczy wierzą!

- Więc właśnie Adaś - szemrze głosik Celiny z ukrytym zażenowaniem - zastanawia się, czy nie mogłabym pani w czym pomóc? Bo ja...

- Jak się nazywał wielki reformator teatru angielskiego w XIX wieku? - woła nagle drżącym, podniesionym głosem, wpatrując się przenikliwie w Marzenę, która machinalnie odpowiada: - Edward Gordon Craig.

I dopiero teraz ogarnia ją zdumienie. O co właściwie chodzi?

- No, widzi pani - oddycha głęboko z pełną satysfakcją Celina. - Obie, jak widać, zdałyśmy tym razem. Ale zaskoczyłam panią, co? Jest tak zadowolona z siebie, tak dumna ze swojej wiedzy, że Marzena nie ma serca, żeby nie oddać jej wszelkich honorów.

- Oczywiście takie pytania przez zaskoczenie są najskuteczniejsze, oczywiście proszę pani, to pomaga odświeżyć sobie w pamięci... A to kłops - myśli, ale nie traci nadziei, że chyba sprostą temu egzaminowi. Nie sądzi też, aby starsza pani rozporządzała zbyt wielkim zasobem wiadomości o historii teatru. Zresztą, mój Boże, może to i dobra zabawa dla biedaczki. Nie ma przecież zbyt wesołego i urozmaiconego życia. Jest chora i samotna, bo Adam ciągle wyjeżdża. Więc też kilka następnych dni upływa pod znakiem zaskakujących pytań Celiny. Jednak jest sprytna. Gruby tom encyklopedii zniknął z półki, znajdując widać schowanko gdzieś w zasięgu ręki Celiny. Niewątpliwie też Celina czyta stare roczniki tygodni-

29

ków, wertuje je i robi notatki. Wyciąga z półek dawno nie czytane tomy klasyków. W niektóre miejsca wsuwa zakładki. Zdrowie na szczęście zadziwiająco jej dopisuje. Sypia dobrze, ma apetyt. Lekarz, który przychodzi od czasu do czasu na kontrolne badania, jest zupełnie zadowolony, ale trochę niepokoi go wzmożona ruchliwość pacjentki. Czy aby nie gorączkuje? Zaleca więc regularne mierzenie temperatury.

- Cieszę się, że pani dopisuje humor, że odzyskała pani chęć do życia. To bardzo ważne! Ale z drugiej strony, nie należy przesadzać. Spokój, spokój i jeszcze raz spokój. Więcej spać...

Kiedy ja ostatnio sypiam doskonale, panie doktorze. To znakomicie. Ale proszę również trochę mniej czytać, bo w ni )i'H( obłożona książkami. A to też męczy.

••' i ' mowie Marzena gorliwie przytakuje. Męczy!

l\ Iko że nie mówi lekarzowi, że męczy to  
| | / Wr/ornj o mało co nie zbiła talerza,  
| " i i' obiedzie, zawołała nagle:

/nakakiwać? Czy dopu-

. yaknkiwitłn na człowie-

i <lo bicia Herca? Nawet

wi«\*i\*V <> teatrze. Ale za jaką ce-

nn szczęście dość zwycięsko z tych i tylko w duM/.y przeciwko tej „świętej inkwi-ii.i i. .< badania tego rodzaju wypełniały dość szczerze wolnego czasu, który tak był jej potrzebny dla siebie. A Celina? Celina pomału godziła się z myślą, że Adaś coś | hj dziewczynie widzi.

Piękność to ona nie jest - rozważała leżąc w łóżku przed zaśnięciem - ale czy Adasiowi potrzebna jest niezwykle piękna żona? Jej szczęście,

tej Marzeny, że mu się podoba... – Celina zastanowiła się przez chwilę poważnie. – A może – pomyślała – ja mam spaczony gust? Może Adaś widzi w niej coś więcej? Jakaś trwała urodę. On jednak patrzy jak artysta. W gruncie rzeczy archeolog – to historyk sztuki. Może jej powierzchowność znajduje jakieś odniesienie w sztuce i to go zafascynowało? To jest prawdopodobne...

30

To wszystko absorbowало ją do tego stopnia, że któregoś dnia rano, kiedy tak zagłębiona w rozmyślaniach leżała cichutko i grzecznie, Marzena, która „bezszerowo” sprzątała, zaniepokoiła się jej milczeniem. Czyżby się źle czuła?

– Pani Celino, czy to przerwa międzysemestralna? – zażartowała niepewnie – na niczym mnie pani nie złapie?

Celina ocknęła się z zamyślenia i milcząc skierowała na nią swoje duże, orzechowe oczy. Przyglądała się jej bacznie, rzeczowo, jakby ją widziała po raz pierwszy.

– Coś niedobrze? – zaniepokoiła się Marzena z troskliwością, która ją samą zaskoczyła. Powiedziała to jak do małego, chorego dziecka. – Może dać proszki? Zaraz przyniosę wody do popicia...

– Nie, nie – oświadczyła stanowczo Celina. – Czuję się doskonale. A wie pani? Przyglądałam się pani i tak myślałam – do kogo pani jest podobna.

– Dlaczego muszę być do kogoś podobna? – spieszyła się Marzena, po czym dodała – trochę do mamy, trochę do taty, jak to zwykle bywa. Ale przecież pani ich nie zna.

– Nie znam. Ale chętnie bym poznała. To pani ma rodziców? – zdziwiła się nagle.

Co ten Adam tam jej ponawypisywał? – zirytowała się, ale odpowiedziała z półuśmiechem: – Na ogół każdy ich ma...

– Tak, ale Adaś kiedyś mi pisał, że pani jest taka samotna...

– Ach, to takie tam lirycznie poetyczne głupstwa. Jemu na pewno chodziło o to, że nie mam stada przyjaciółek. Rzeczywiście nie mam.

– To dobrze, to bardzo dobrze, moje dziecko – gorliwie przyświadczyła Celina, myśląc praktycznie. Jeśli nie lubi przyjaciółek, to nie będzie się włóczyć po wizytach ani przesiadywać z nimi w kawiarniach. O, to jest cecha dodatnia. Nie będzie tracić czasu na głupie paplanie. Lepiej niech się zajmuje czymś pożytecznym. I uśmiechnęła się życzliwie. Po czym wyjaśniła: – Ale ja myślałam nie o podobieństwie rodzinnym. Czy nikt pani nie mówił, a przede wszystkim czy nie mówił już tego Adaś, że pani mu przypomina jakiś obraz albo rzeźbę, albo... bo ja wiem... Bo mnie się zdaje, że chyba już widziałam taką twarz, jak pani. Usiłuję sobie w tej chwili skojarzyć...

31

Celina oczywiście – kłmnała w » wuy, Miirwna nikogo jej nie przypominała, .-.I,- po piwwi.. \wi>l\* -prowokować Marzenę do tak chętnie uprawiaiiin<<K<> i - "/! (łzifwr/yny powtórzenia jakichś na ogół prawdziwych i ul. /mylonych komplementów, co zwykle stosuje się w celach , ,k lamowych, » po drugie bardzo chciała doszukać się przyczyny, .Ilu której Adam uważał tę dziewczynę za piękną.

i.

Rozdział piąty  
Marzena robiła codziennie zakupy, gotowała, utrzymywała w porządku całe mieszkanko i prowadziła dyplomatyczne pertraktacje z panią Sabinką, która była niezbyt zadowolona z obecności tej młodej osoby. Po obiedzie, korzystając z popołudniowych godzin drzemki Celiny zamykała się w swoim, a właściwie Adasia, pokoju. Chwila odpoczynku, ale bardzo krótka. Tyle, żeby się przestawić z tego grzecznego szczebiotu ze starszą panią na własne sprawy. Próbowwała więc pracować; jakoś przygotować się do egzaminów, które zbliżały się nieuchronnie, których pomyslnie zdanie było warunkiem takiego życia, o którym marzyła, które jeszcze niedawno wydawało się jej za dobre dla niej. Tak, za dobre! Ale chciała mieć właśnie takie, to upragnione i chciała je zdobyć. Nie miała o sobie zbyt wielkiego mniemania, ale

chciała je mieć. Nie jest to łatwe dla kogoś, kogo trapi coś w rodzaju kompleksu niższości. I dlatego zdarzało się jej robić ważne miny i sztukować dobrze sobie znane braki wielką pewnością siebie. Wychodziło to czasem dość nieudolnie, ale uważała, że są to zagrania, które należy traktować jako niezbędne wprawki.

Z tymi przyjaciółkami, o których mówiła z Celiną - to właściwie mówiła prawdę. Może by i chciała je mieć - ach, gdyby natrafić na taką Anię z Zielonego Wzgórza... Ale to jakoś nie wychodziło. A poza tym w gruncie rzeczy wszystkie dziewczyny uważała za trochę lepsze od siebie. Pod różnymi względami. A może nie tyle lepsze - ile lepiej wyposażone przez los.

Ileż razy spotykając różne dziewczyny myślała, że są od niej lakieś lepsze, jakieś bardziej udane. Zazdrościła pięknych nóg, nie śmiała nawet marzyć, aby mieć tak piękne oczy jak niektóre /<| spotykanych kobiet i martwiła się swą nieśmiałością, którą / takim trudem musiała nieraz pokonywać. Jasne, że gdyby miała te wszystkie urokj, ^talenty, którym^.

„jfiatura i los obdaro-

Odpowiednia dziewczyna

Is,;., „i

33

i

wały inne dziewczyny, jej życie na pewno byłoby bujne, barwne i pełne. A tymczasem... wzdychała w momentach takich rozważań i zniechęcenia - tymczasem jestem miła, pracowita, i można na mnie polegać - | to jest wszystko. Chłopcy...

Wzruszyła ramionami i już wychodząc, w przedpokoju spojrzała w lustro z nieufnością i westchnęła. Wszystko układa się inaczej atrakcyjnej dziewczynie... Albo i nie - pomyślała naraz z nieśmiałą przekorą - bo przecież nigdy nic nie wiadomo... I wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi. Była to godzina poobiednia i Celina drzemała spokojnie, obłożona na wypadek wcześniejszego obudzenia książkami i gazetami. Marzena szła tymczasem szybko w stronę śródmieścia. Padał deszcz, ta drobna, gęsta mżawka, która oddziela człowieka od reszty, zostawiając go na pastwę odosobnienia i melancholii. I znów więc wróciła nieufność i niewiara we własne siły. Marzena z niechęcią wyjęła z kieszeni kalendarzyk, w którym zapisywała adresy. Być może będą przydatne i należało je zbadać po prostu na wszelki wypadek. Zupełnie nie była pewna, czy ten wszelki wypadek zaistnieje i jak mógłby wyglądać, ale o tym wolała nie myśleć. Szła więc przez smutną, szarą ulicę, aby, jak to się mówi, cokolwiek załatwić i mieć już niektóre sprawy z głowy. I nie chciała myśleć o tym, co będzie później ani w ogóle o przyszłości.

Tymczasem Celina obudziła się i zapaliła małą lampkę przy tapczanie. Na dworze było jeszcze widno, ale szyby pokryte wysypką deszczowych kropli wywoływały wrażenie smutku i opuszczenia. Całe szczęście, że istniało to małe światełko lampki i ono stwarzało od razu jakąś zacisznosc i przytulność. Usadowiła się wygodnie, wzięła do ręki książkę, ten polecany przez Marzenę kryminał, ale kiedy spomiędzy kartek wysunął się wtedy cicho i przymilnie list Adama, zatopiła się w rozmyślaniach. Ach, ten Adaś. Wieczna radość i wieczne zmartwienie. Czego więcej? Ach, równo po połowie - Adaś nieposłuszny chadzający własnymi drogami, uparty i co gorsza - Adaś posłuszny, potulny, przytakujący jej pomysłom, które niemal natychmiast uważała za dość głupie; Adaś patrzący na nią z niemym wyrzutem. To było chyba najgorsze.

Ale może - pomyślała z nagłą otuchą - może on się po trosze zgrywa na to zahukane nieboże. Może on robi te miny, te smut

34

CA

•3

N O

c\$ars

<C © <D - u

^J "-„ , ^

```

|N
oS
.r-t
u o

". c

'"Od
OS ^ S-1
Ć
C3 -kJ
iś -s ^ ^-^^^'s ^

P<oJ cd o co S" 'S tóC'u Q>
os a < " | " | " ||
OS'
M o O Ń
.rt .5 'N .5 .S *
a: - -
t: |/. -
s s i,
as-;
l-tisUts •'.|si
"? ® o > ti
o>

-1 -1 s -
i^
Jc rn ^> w 2 O ffi ^ O ri -rH
^5
s o
-1-> •"* ai
cc a; ^
|%
-U OJ
® co C
1
o o
5^ Xl
cn

6 s

5 ? 5 = r

o o ®
s: 3 * =
I

```

ne oczy, żeby dać jej satysfakcją, że jwltnk ona ma nst.it nie słowo, że ma nad nim taką sam;) władzę, juk wtedy, k<Iv miał pięć, dziesięć, dwanaście lat? Ze smutkiem niemili znr/.ynnła podejrzewać, że chłopaczysko nabiera ją. Czy to możliwi'? Czy byłby taki niedobry? I przewrotny.

I znów wyrzuty sumienia... I dlaczego mi' m;t zaufania do niego? Ale jakże trudno naprawdę się porozumieć. -Jak zrozumieć i przeczuć, jakie to myśli krążą w tej kształtnej, c. błopięcej głowie, ukryte za miłą twarzą. Czy on naprawdę sady, iv. chcę całe życie, całe jego życie trzymać go przy sobie?

Celina poruszyła się niespokojnie. Chcę? Czy nie chcę? – pomyślała. Oczywiście, że chcę! – wykrzyknęła w duszy. – Ale tego nie zrobię – dodała rozsądnie. Aż usiadła na tapczanie, ażeby spojrzeć jasno na sytuację, chociaż jej wzrok nie mógł oczywiście spotkać w tym małym pokoju niczego, co mogłoby pomóc ugruntowaniu jej twardej decyzji. Przede wszystkim dziewczyna. Trzeba ją zaakceptować. Nie grymasić. No



owszem. Włosy ma ładne, ciemnobrazowe i oczy niezłe. Podłużne, ładnie wykrojone. Jednak trzeba ją bliżej poznać i oczywiście trochę urobić. Ale każda z nich – to surowy materiał. To jeszcze smarkata, widać bardzo jej na Adamie zależy, jeżeli tak się stara, tak dogadza, taka jest życzliwa. Robi to nawet w miły, nienatrętny sposób. Być może pochodzi z rodziny, gdzie panuje właściwy klimat. Głupia też nie jest. Widać umiała ocenić wartościowego chłopaka. No, Adaś to jest dobra partia. Będzie na pewno kimś. A poza tym jest dobrze wychowany. To ważne – kulturalny człowiek w domu, na co dzień. O tym ona pewnie zresztą nie myśli, bo w tym wieku nie docenia się jeszcze takich rzeczy. No tak – jest o czym pomyśleć... Tylko gorzej z tym teatrem. Celina zamyśliła się. Nie, żeby miała coś przeciwko zawodowi aktorki – ale cóż to za życie, co to za dom! Nie dość, że Adam będzie przecież wyjeżdżał na te swoje wykopki – a ją zaangażują do jakiegoś teatru na zapadłej prowincji i co wtedy? Będą sobie listy pisać. A życie rodzinne? A dzieci? Adaś kocha dzieci, tak jak wszyscy jedynacy... Niedobrze jest.

#### Rozdział szósty

Niedobrze jest – stwierdziła milcząc Marzena, kiedy wracała na Zarzewską. Odkąd jest w Łodzi, nie ma czasu – nie, nie czasu – co gorsza, nie ma ochoty myśleć o egzaminach. Kiedy się dowiedziała, że ją dopuszczono do nich, kiedy zobaczyła na liście swoje nazwisko, sądziła, że czas pobytu w Łodzi będzie mijał w euforii, bo, być może, będzie czuła się wspaniale podczas dojrzewania w niej małego ziarenka niepewnego jeszcze talentu, a może rozkwitnie olśniewająco. A tymczasem co? Nic. Absolutnie nie dojrzewa, absolutnie nie ma zamiaru rozkwitnąć. Niedobrze jest. Czy talent może zniknąć? – pomyślała z niepokojem. Nie, nie trzeba nawet dopuszczać cienia takiej możliwości, bo od tego można zwariować. Trzeba ryzykować i już. Chociaż jest niedobrze.

Celina też się zastanawia. Nurtuje ją ta sprawa tak trudna i ważna. A może nie jest tak znowu źle? – rozważa – przecież nie jest powiedziane, że mają się zaraz pobrać. Adaś ma jeszcze czas, musi się przecież czegoś dobić w tej swojej pracy. A ona? To przecież jeszcze smarkata. Jeszcze jej się może dziesięć razy z tym tea-t rem odmienić. Co daj Boże. amen – zakończyła pobożnie. I już zarysowała się w jej wyobraźni jeszcze niezbyt wyraźna wizja schludnego i miłego mieszkania, a w mieszkaniu skrzętna, miła i niebrzydka pani domu, uwielbiająca małżonka.

Ta optymistyczna możliwość tak podnieciła Celinę, że nawet próbowała coś sobie zanucić, siedząc na brzegu tapczanu i kiwane stopą, z której spadł pantofel.

Ze śpiewu jednak nic nie wyszło. Raz dlatego, że dawno już nie używany do śpiewu głos Celiny okazał się drżący, piskliwy i urwał się szybko, a po drugie, że właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi.

Tym razem nie była to pani dozorczyńni.

36

Najwyżej nie zdam – rozważa Marzena wędrując bez pośpiechu przez ulicę Zarzewską. Jest to ulica, która bez wątpienia doskonale nadaje się do snucia wewnętrznych dialogów. Najwyżej nie zdam i co wtedy? Wtedy nic. Spróbuję wrócić na historię, jeśli mnie oczywiście przyjmą. A jak nie przyjmą? Poczuela, że jej umysłowi grozić zaczyna zamęt i ewentualnie czarna rozpacz, i zdecydowała nie dopuścić do tego. Stop! Trzeba się bronić i nie upadać na duchu. Co będzie robiła? Właściwie – pomyślała z nagłym ożywieniem – mam niewątpliwie chyba jakiś tam talent. Nie ten, to inny. Bo co jak co, ale na przykład gotować, sprzątać, robić zakupy – potrafię na medal. Czy to mało? Przecież to jest dopiero fach na dzisiejsze czasy.

Roześmiała się sama do siebie, pod czarnym parasolem Celiny, o który uderzały krople deszczu. Miał to być śmiech pełen gorczy i autoironii, ale ku jej zdziwieniu zabrzmiał wcale wesoło.

Przypieszyła kroku, ażeby już prędzej znaleźć się w domu. W domu?

Kiedy stanawszy przed szarozielonymi drzwiami na parterze, wyciągnęła

z kieszeni klucz, to miała jednak swoją drogą to miłe uczucie, że wraca do domu. Tylko... Tylko, że nagle usłyszała przez drzwi stłumiony śmiech Celiny, a potem rozprawiający z zapalem niewyraźny męski głos. Rany boskie! Koka z kluczem zawisła w powietrzu: Adachna! - pomyślała w panice. Wejść? Uciec? Jedno i drugie równie głupie. Co robić? Co robić? Co wybrać z dwojga złego? Wejść! - postanowiła w końcu twardo.

I weszła. A pierwsze, cę zobaczyła, to coś okrągłego, połyskującego w szarawym świetle deszczowego dnia, w głębi pokoju. Coś co mogłoby wyglądać jak różowa, łysa czaszka. A loz lak! To była rzeczywiście różowa, łysa czaszka faceta w średnim wieku, który na jej widok zamilkł, nie kończąc zdania.

- Przepraszam - powiedziała. W pokoju były juk ic.ś osoby, patrzące na nią z życzliwym zainteresowaniem.

- Chodź, chodź, Marzenko! - rzekła w tej chwili z nienaturalnym ożywieniem Celina, wyciągając przy tym w jej kierunku rękę, tak jakby prezentowała obecnym nowy mebel nll><> cenny podarek przysłany z zagranicy.

Marzena zrobiła krok naprzód i stwierdziła, że chociaż pokój wydał się jej pełen gości, to naprawdę były w nim oprócz Celiny tylko dwie osoby. Dwie okrągłe, różowe twarze zwróciły się w jej stronę, dwie pary ciemnych oczu błyszczały przychylną ciekawością.

- Pani Malinko - mówiła Celina sztucznym, towarzyskim głosikiem - to właśnie jest Marzenka.

- Dziewczyna Adasia... - westchnęła z aprobatą pani Ma-linka.

Najwidoczniej nie doznała rozczarowania. Chciała jeszcze coś powiedzieć, być może zadać jakieś pytanie, ale Celina, jakby zaniepokojona, przerwała jej może nie dość zręcznie.

- No - czuła się jakby lekko zażenowana - to Adam uprosił panią, żeby się mną zaopiekowała, kiedy on był zmuszony wyjechać...

Tu powinno było paść ze strony gości nieuniknione zapytanie o Adasia, o jego tak interesujące studia. Pytanie tego rodzaju niewątpliwie należało do protokołu przyjętego w tym domu. Ale nie padło. Natomiast łysy osobnik zagrział serdecznie i życzliwie: - Dobry syn! Dobry syn! A pani Marzenka - na medal! Przepraszam, że tak od razu, bezpośrednio... Ale taka jest prawda, co nie? No, to będziemy mieć wesele!

- Ależ, Guciu - zaczęła perswadować pani Malinka. - Adaś jeszcze nie skończył studiów, a pani Marzenka, jak wspominała pani Celina, dopiero je zaczyna. Mają jeszcze czas.

- Co to znaczy: mają czas? - sprzeciwił się kapryśnym tonem Gucio - z dobrym nie należy zwlekać. Mówię to z własnego doświadczenia... Marzena zrobiła teraz mały krok w stronę drzwi, co miało o-znaczać, że tylko idzie zdjąć płaszcz, że zaraz wróci i będzie bawić całe towarzystwo, ale Celina zatrzymała ją.

- Pani Marzenko - powiedziała strapiionym głosikiem, jakby chcąc usprawiedliwić radosną i poufałą odżywkę pana Gucia - państwo doktorostwo Grabowscy, to nasi bardzo dawni przyjaciele. Pan doktor leczył Adasia, kiedy był on jeszcze całkiem mały...

Tak, to chyba oznaczało jakieś tłumaczenie się wobec Marzeny, która szklanym wzrokiem patrzyła na radosnego Gucia. Marzena zrozumiała i uśmiechnęła się do Celiny uspokajająco.

38

39

o

03

CC

a

0

0

! r4

a 0

•N

s

>>  
Xi  
0  
|N Cfl"  
e  
•N 0  
03  
o o  
•3-a  
N C  
. CC  
CO L  
L O  
s  
N O  
11~  
\* 'n cd^  
03 CC  
-w >>  
U S  
CC K-]  
S? cc  
•s-j?  
- cc  
o 2 G co a jg 32  
cc o 3 ^^ &  
> cC O  
0- \$ "o |3 a cc  
co F co  
CO hO G  
i o o  
G \*m CC o  
s  
> a o o  
o  
CO N  
i-\*M  
CC  
o a  
fi.S  
cfl -"  
|c °  
° i  
03 >>  
8 \* .  
o co :  
k N >>  
a .. n  
- 0 O  
3 g S  
L S \*  
|C w 0 ;  
3  
HM  
03  
n cc  
CC N  
"a  
CO 0  
03 -i-t  
-u O  
cfl cfl  
N U  
I bo

```

+3      N
g &
G cfl
G ^
rt      ' G.2
0      o o 3 0
CC
ej
0
a> ci
0sa
0      O
ii N
CO      cC N
^^
0      cfl
CC
2
O G
$2
a cc 2 N n 2
i      S
o      cl
0      T3
•N

O      -N
(h      O
|N      0
3      G
CO bo & O O      N
S-t T3 N
03 S- $5
I
cC G      N
CD •N
L      O .2^
CO      >>
|^ a
G -Z
C      I
E o
cfl G ho
o
L
fl-ef
o      «      u cc &      «
?^      0 T3
s s
.1 $11^.5
L ^ -<.2 ? ^ = ••$1^5
^      -      g      CO      ^j      ,y
f Jii"3-!
S^ ^ & c
O cfl      cfl
s/s
,      ni<
i-
3
a 0
03
O      '
'Si :
3      0

```

1  
^ ^ G CC-^ »  
., 111 E  
o o N 3 o o -« a> og, «  
« & "3 - "»  
0'  
o g ^  
0 --5 O .  
G -u  
03  
3 O  
cfl #  
"o? >>.s \*\* G G  
fc( CO  
O G  
^ cfl 0- G  
cfl 0  
cfl  
s  
3  
a  
0  
S  
co -r>  
-w 0 N 'JL  
co ^G  
II  
0 N N  
N U O  
\*H 0j N  
CC ^ O  
g N Sh  
U G O CO G  
OW > >i |-t > G  
& S N •NO  
"O CO "TJ  
  
CO 0  
fi Cfl  
a 0  
'H 0  
N g  
S 3  
^ G tk.2 ^  
a , ^o^°  
•-< G cfl y  
o . L cfl ~ 4 I I S 1 ó G  
""3 .2 & S a g3  
'o? G 'y cc c a | -  
| 2 T3 N S - O  
N 0 CC fo >j CO > ^ |"" ^ & H, ^  
G  
CO  
|2 L cc.  
O co =D fl N -h o. r-i \*^ ai T3 rQ  
w G .2,  
•8 •« a  
-^ G cc  
a o  
cc G n  
3 8  
0 'G \*  
« o5 2 • 2 W 'y ^P  
CC

```
.af"^
cfl
c c S ^
cfl

-3 a "S g
a> co m G 0j 0
E> -N
lllaiel^
G o -S ^ 3>.« 0 -3 P
cC
0S".ff
0 cO d> cfl
y -r co •" 0 w o
O ^ N ! ^ 5 *
" - & N
0 ?i O O
- | -^ - Hrt
ca
0
a.2^^
o a E
6 «
L "o
HM
OM O
|3 °<
cT's |
co cfl P G
05 CO
ctf
Cfl
CO
2 a
_y w >h bo 0
I'$ &II
a o g cO S 'M cc .2
CO
2 -g 2
-3 G C • S 0- G N 2
ii! cfl a
o
>> a> 0 ^ cc
G C -N >j -jh
0 03
CC O
« 0,
• 2'3 s °
CO ts)
Cfl
> G
> O
1 CC
-u
co
X>
O
co
CD
a
co
N U
a
03
```

```

>>
N O
•g8
5
3
c
t o
Ctf
•rj a |<-! S "» '2 rd -^ "O
CD - uj
.-, o «> cd 5 a>
n 'é? n 'a;-) 'óco
co -W V CD ^
CB 05
o
CO ri2 .,

-o'lf
co •;-> CD CB
CB N
bo
N O OM
t o
Xl
cB
la

11 p, C
>,s o o a > 3
N
!n -o • _- a

co
'ÓJ
-u
co
cB
a
N 05
cB o ^2 cB O q ^
CD 'Ó? L -2 S Lj ^ N c H O (-i > «

0^ * g ^
CD g. CD .2
O cS
CC CD
2^-52
bo •«
- CD
CD CD
CB
a
-2 CD
cB" O |- H
CD CD N
^3 2 CO p,
o> ca S a
a
cB
S^ g
co ca "
cd a ^
G cB -O
O O

```

```
.. ** bj
E! CD' CD
CD

0>.rt
CB
•r-j ' '
|co y O 'JL
cB ^
|X °
.*|« ca
|a 2I 1> ^ s
S ^ N ^D cB i c^ 'r?
'3 S
O -co
a o
g?
T3 CD
bo 'S w
^ cB "If1 ^ fe
t/} CJ (^ CJ Ctf

^ *N S
|g^
•s a

2
a 8-a
Y °
CB CD
o
3
J3 *•L bo ca _|
05 o
CDJ
2 3
2
cd 5? -s
ca ca
O $,
O j-W
ro .Lh a ca
ni-i cB e-3 S CD cB ^
L g.sl
'o -a c I
n - S g o pp S -N
f**1. ^ . ^
- r-^ '^^ f-»»J 'T^
CO
-o cB
cB
GrB
o o 1 a
co i-* CB
^ cB -a T
03
o
.2 N * "f
5 .o

cB bc
u o o
o
s s
```



N  
O  
O O  
N  
bo  
ca pq .s  
o •;  
  
SF-H bo  
cB  
  
ca ca » a  
O  
os  
ca  
|^ z oi a  
g  
l  
a ^ j i  
CD CB TJ CD  
cB'  
O \*  
Xi N  
CD .rt  
H  
a a  
f-i CB  
|S CD  
< N  
>> 03  
N >  
CO L  
0  
CD -^,  
a o  
u  
a  
O >>'  
CD >> -r-,  
•H N CD  
& CO r-H  
0  
mi co  
cc  
<  
s" 11 g|l

- Potem byliśmy razem w sekretariacie. I tam pani powiedziała, jak się nazywa. A ja miałam chiński kapelusz i czarne okulary...  
- Wiem.' - zawołała Marzena - teraz wiem! Jasne! To te okulary mnie zmyliły! Takie duże i oryginalne. Dziewczyna wzruszyła ramionami.  
- Tak, trochę mnie zmieniają. A nas tu w mieście znają, bo nasz chleb najlepszy i z tego sławny. I zaraz chcą takiej protekcyjnej znajomości - żeby bez kolejki. Ale ty zawsze dostaniesz...  
- Dziękuję - mówi z zażenowaniem Marzena.  
- Tata woła na mnie, jak słyszałaś - Kocia! Ale błagam, mów do mnie: Konstancjo - wzdycha dziewczyna. - Rozumiesz, co ja miałam w szkole? Stancja albo Kostusia. Dobrze, co?  
Marzena wzdycha i macha ręką - rozumiem.  
- To są, moja droga, niewinne zabawy naszych rodziców. Wymyślą coś takiego, a potem człowiek cierpi, istna rzeź niewiniątek - mówi ponuro Konstancja. - A jak ty?  
- Ja też nie najlepiej - szeptem konspiracyjnie Marzena -Fela. To po babci. Ale jest dużo możliwości na szczęście. Może być Felinka albo Fila. Ale mów do mnie Marzena - dodała z nagłym zniechęceniem. - Też

okropne, co?

- Głupie imię, ale jak chcesz. Wpadnij do mnie, jak będziesz mogła. Boję się cholernie tego egzaminu, a muszę tu siedzieć jak sowa. Po prostu jak sowa. Bo mama, widzisz...

W tej chwili odsuwa się z szelestem płócienna kurtyna i do sH^pu wjeżdża cudowny, pachnący, gorący chleb f"" -  
)iękniej?

la, ida

ciepio

Przemokła

a

pani sie prze-

46

- Nie, wcale nie zmokłam. Zmienię tylko pantofle. A jak pani się czuje? Wszystko dobrze?

Co ona taka ożywiona? - zastanawiała się Celina - co ona właściwie myśli, jak się tu czuje? Oczywiście teraz pójdzie do kuchni i zacznie się krzątać - naleje herbatę, weźmie się do sprzątania. Ona jest tu właściwie więcej u siebie niż ja. To chyba za szybko!

- Wypakuję torbę - powiedziała więc stanowczo, żeby jakoś zaznaczyć swoją pozycję. - Ach, co za chleb! Gdzie go pani kupiła? - rozkoszowała się jego zapachem - moja kochana i zacna pani dozorczytni nigdy jeszcze nie przyniosła mi czegoś podobnie wspaniałego.

- Kupiłam u mojej przyjaciółki - szepnęła tajemniczo Marzena - dla pani dozorcowej to pewnie za daleko - a więc kupiłam u małej, okrągłej i puszystej sówki. A mówią, że sowa była córką piekarza, co tym razem okazało się prawdą - roześmiała się.

- „Mówią, że sowa była córką piekarza” - to słowa Ofelii.

Przygotowuje pani Ofelię na egzamin?

Teraz Celina odsunęła się o parę kroków i przyjrzała się Marzenie krytycznie. Wysoko mierzy ta mała... Czy tak powinna wyglądać Ofelia? Nie wyjawiała jednak swoich zastrzeżeń, tylko powiedziała: - Może to byłoby ciekawe. Kto wie. Ma pani jakąś własną koncepcję?

- Koncepcję? Jaką koncepcję? - pytanie zaskoczyło Marzenę.

Zrozumiała, że rozmowa wkracza na niebezpieczne tory. Ofelia! Teatr! Po kiego licha wplatała się w tę Ofelię!

Tymczasem pani Celina ciągnęła dalej. - No właśnie! Ogromnie jestem ciekawa, jak pani widzi tę postać?

- Ach, Ofelia! Biedna Ofelia. Mówią jej: ... „Być może, iż ola ciebie teraz kocha, że czystość jego chęci jest bez plamy, ale zważywszy jego stopień, pomnij, że jego wola nie jest jego własną!” Celina patrzy na Marzenę skonsternowana, jakby te szekspirowskie teksty były odkryciem jej cichych kalkulacji, które w jasnym świetle wydają się teraz jakies niegodne. - Ale przecież - mówi tonem perswazji - przecież Gertruda powiedziała: ... „myślałam cię widzieć żoną mojego Hamleta”.

- Ależ oczywiście! Powiedziała z głębokim przekonaniem - tylko że na pogrzebie Ofelii! - uśmiecha się Marzena, i dodaje

47

zniechęcona: - Ach, skończmy, droga pani, z tą Ofelią, z tymi koncepcjami! Ja naprawdę boję się tego egzaminu!

- Dłaczego, moje dziecko? Jest pani przecież taka zdolna - dziwi się grzecznie Celina, a jednocześnie zastanawia się. - Co ona sobie właściwie myśli? Bo to co mówi, to jest przecież z podtekstem... Marzena spogląda na nią, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyśla się. Na stoliku fotografia Adama w ozdobnej ramce wlepia w nią spojrzenie pięknych i zamyślonych oczu. Nie, lepiej dalej zacytować Szekspira: „Mam jeszcze od was, panie, kilka drobnych pamiątek. [...] Weź je na powrót, panie, w oczach bowiem każdej szlachetnie myślącej osoby najdroższe dary lichymi się stają, gdy dawca martwi...”

Celina zaczęła klaskać: - Ależ pani jest znakomita! Teraz była pani prawdziwą Ofelią.

Marzena spozjrzała na nią z mniejszą niż zwykle życzliwością. - Ach,

cóż znowu. Nie byłam, nie jestem i nie będę Ofelią. Tak się trochę powyglądałam, żeby panią zabawić. A teraz – „niech nam Bóg pomaga przy wieczerzy” – to też Ofelia! I biorę się za kolację. Co pani by zjadła poza pysznym chlebem od sowy, córki piekarza? To naprawdę moja przyjaciółka, natknęłam się na nią niespodziewanie i bardzo się cieszę. To znakomita dziewczyna... – terkotała Marzena porządkując zakupy, otwierając lodówkę i robiąc wiele innych rzeczy, które zazwyczaj należą do pani domu.

Jest bardzo pewna siebie – myślała ciągle w popłochu Celina. – Trudno. Mogło przecież być i gorzej. Ale w takim razie powinnam coś więcej o niej wiedzieć, może starać się lepiej ją rozumieć, może jakoś bliżej się z nią zaprzyjaźnić. Choćby dlatego, żeby Adaś wiedział, że nie wybrzydzą na każdą dziewczynę. Chyba rozumie, że chciałabym dla niego jak najlepiej. Ta, jak mi się zdaje, tak go sobie uchodziła, że je z ręki. Ale przecież mogło być gorzej. Ma pewne zalety – pocieszała się.

Te jej rozmyślenia, ilustrowane przyklepionym do warg uprzejmym uśmiechem przerwał nagle cieniutki brzęk tłukącej się porcelany. To Marzena, zagapiona w ciemniejące okno, wypuściła z palców wycierany właśnie spodeczek.

– Nic się nie stało! – krzyknęła Celina, niemal rozpromie-

48

niona na widok szkody – a nawet dobrze się stało, bo mam tego i tak za dużo. Niechże się pani nie przejmuje takim głupstwem. Tak, tak, dobrze było Celinie wygrywać swoją wielkoduszność i moralnie przygarniać i pocieszać skruszoną winowajczynię, ale Marzena czuła się dość podle. Szkoda była, co prawda, niewielka, spodeczek był „nie od pary” i można było obejść się bez niego, ale jej dekoncentracja była smutnym, oczywistym faktem. Zebrała się jednak zaraz w sobie i stanęła na wysokości zadania. Po chwili siedzieli przy stole w owym ciepłożółtym pokoju Celiny. Na lnianym obrusiku koloru mlecznej czekolady pięknie prezentował się na płaskim koszyczku ów chleb połyskujący brunatną skórką. Obok talerzyki, miseczki, biały serek przybrany zieloną koroneczką natki, amarantowe koraliki rzodkiewek i żółtka przekrojonych jajek. Cały arsenał uwodzicielski. Było zarazem domowo i elegancko. Celina wspomniała swoje samotne, wieczorne herbatki i ogarnęło ją tkliwe wzruszenie. Nie będę już wybrzydzać – pomyślała i rzekła z uznaniem: – Umie pani to robić. Ślicznie i apetycznie – i dodała z pewnym wysiłkiem – Adaś byłby zachwycony. On lubi i ceni takie rzeczy.

– Zrobić pani kanapkę? – zapytała Marzena. – Taką, jak pani lubi, cieniutką, ze wszystkim po trochu?...

Właściwie czuję się jak gość we własnym domu – myślała Celina, potakując jednocześnie uprzejmie. – Ale pani, moje dziecko, sama nic nie je – zwróciła uwagę, aby jednak podkreślić, kto jest gospodynią przy tym stole...

– Nie mogę – westchnęła Marzena – jestem „cała w nerwach”!

– Dlaczego? Co się stało? – przestraszyła się Celina, bo przecież z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo.

– No, pojutrze mam ten cholerny egzamin. Przepraszam za wyrażenie – dodała, bo nie była pewna, czy starsza pani toleruje takie zwroty. Ale Celina najwidoczniej nie miała w tym wypadku zastrzeżeń, bo od razu zareagowała okrzykiem:

– Pojutrze? Ajejejeje! Jak ten czas zleciał! – i odetchnęła teraz w duchu, że to tylko o to chodziło, dodając wesoło: – Ale przecież musimy pomyśleć o sukience. Dla aktorki to bardzo ważne, jak się prezentuje! Co pani włoży?

49

– Bo ja wiem? Chyba czarne spodnie i brązowy golf? Jak pani myśli?

– To nie za smutne zestawienie? Pani jest taka... taka mizerna... I Celina zorientowała się w tej chwili, że nie zabrzmiało to jak komplement. Marzena nie zmartwiła się.

– Więc zobaczymy – oświadczyła. – Pani rzuci okiem, jak

to wygląda - i ruszyła do swojego pokoju. Wspólne oglądanie i rozważanie zawsze to jakieś zajęcie i temat do paplania całkiem bezpieczny. Poza tym zajmie to trochę czasu, którego Celina ma jakby za dużo.

W rezultacie spodnie, jak się okazało, wypadły na tej rewii mody zupełnie dobrze. Były tylko trochę zgniecione i należałoby je odprasować. To się zrobi. A sweter? Owszem, również spotkał się z aprobatą Celiny, mimo że wymagał trochę naciągnięcia i sfa-sonowania, bo drewniane ramiączko wypchnęło ramiona. Ale efekt całości był zadowalający. A przecież to najważniejsze. I nawet Celina trochę wbrew sobie musiała przyznać, że Marzena wcale, a wcale nie wygląda w tym mizernie. Przeciwnie, właśnie przeciwnie, bo jej blada, matowa cera nabierała w tym zestawieniu szlachetnej barwy kości słoniowej.

- No, proszę - Celina była nawet zaskoczona - zupełnie nieźle ta mała wygląda. Można by nawet powiedzieć, że tak jakoś dystyngowanie. - Wie pani, drogie dziecko, że bałam się trochę tego brązu, ale ten odcień jest rzeczywiście piękny - przyznała.

- Prawda? Czysta trupia główka!

- Ale cóż pani mówi... dlaczego?

- Kiedy to się tak nazywa. Caput mortuum. Najpiękniejsza farba, którą można malować światło i ciepło. Przepadam za nią.

- Okropne, chociaż po łacinie to brzmi lepiej. Caput mortuum...

- A po francusku ten kolor nazywa się sang du boeuf...

- Też okropne! Wołowa krew! A taki piękny kolor!

~ Ma również jeszcze jedną nazwę, która może bardziej przypadnie pani do gustu - róż wenecki!

- To mi się podoba. Zgadzam się na róż wenecki, ale żadne takie trupie główki i wołowe posoki!...

Nagle humor im się poprawił, jak zawsze, kiedy osoby płci żeńskiej wyciągają jakieś szmatki, przymierzają je, stają przed lustrem. Ach, Celina czuła się teraz cudownie, jakby przeniosła się w tamten swój świat, kiedy patrząc w lustro cieszyła się swoją urodą.

- A włosy?

Marzena rozochociona przeczesła palcami swoje gęste, niezbyt długie włosy koloru tytoniu i spięła je w płaską kukiełkę na czubku głowy. Krótkie, trochę jaśniejsze pasemka zwinęły się jej same na skroniach. Celina zauważyła wtedy, że Marzena ma piękną, długą szyję i jej mała, wąska głowa osadzona jest na niej lekko jak główka ptaka.

Ubrać ją odpowiednio - pomyślała, nie zdając sobie sprawy, że „odpowiednio”, to znaczy tak, jak ona, Celina, ubierała się we wczesnej młodości - a można by ją rzeczywiście pokazać.

„Pokazać” - to znaczy pokazać obok Adasia. To znaczy, że nie skompromitowałaby go nijakim, pospolitym wyglądem. Adaś będzie .przecież musiał bywać w świecie. Wtedy żona, dobrze prezentująca się żona, ma swoje znaczenie.

Marzena patrzyła w lustro niewidzącym wzrokiem. Znała bardzo dobrze swoje zalety i defekty i nie musiała nic sprawdzać ani potwierdzać. W tej chwili nie w głowie jej była uroda i wdzięk. Mimo wszystko - myślała - muszę dbać o tę małą, burą myszkę. Chyba lubi tę moją opiekę, ale ileż ma biedactwo przeze mnie kłopotów i rozterek. Nie jestem chyba odpowiednią dziewczyną, a w każdym razie ona nie ma co do tego żadnej pewności.

Miała ochotę poklepać Celinę po ramieniu, ażeby jej dodać otuchy i uspokoić ją, że nie jest jednak tak źle, jak ona sobie wyobraża. Oczywiście nie zrobiła tego, ponieważ nie byłoby to wcale odpowiednie, chociaż być może słuszne.

- Już ściągam te łachy - powiedziała możliwie beztrudnie - i idziemy spać. Późno i pani już jest zmęczona. A ja jutro muszę pogalopować do szkoły i sprawdzić, co z tym egzaminem, o której to będzie godzinie, no i w ogóle zorientować się... Przedtem przygotuję obiad, kupię pani gazety, a jak wrócę, obiad będzie momentalnie. Już sobie wszystko obmyślałam.

- Tak, tak, niech się pani kładzie, moje dziecko. A o mnie niech się pani nie martwi. Na jutro po południu obiecała się Ma-linka.

Jeśli pani chce jeszcze sobie coś przygotować czy powtó-  
51

żyć, to przecież może pani zamknąć się w swoim pokoju i wcale się nie pokazywać. Malinka nawet kolację zrobi chętnie, bo bardzo to lubi...

– Malinka? Ona bardzo mi się podoba. Jaka ona ładna! Beza z różowym kremem. Pani lubi bezy? Bo ja ogromnie. Więc to doskonale, że ona przyjdzie. Przyda się pani takie zdrowe towarzystwo. A ja w takim razie wpadnę do sowy.

– Sowy?

– Sowy, córki piekarza. Najmilszej sówki na świecie. Mówiłam już pani o niej. Ona zdaje razem ze mną. To bardzo fajna dziewczyna – plotła Marzena, ściągając swoje galowe szaty.

Jej poprzedni niepokój powrócił znowu. Z życzliwym pośpiechem strzepywała poduszki na tapczanie Celiny, ustawiła na jej stoliku wszystkie proszki, kropelki, szklankę z wodą i nowy, francuski kryminał, aż wreszcie dojrzała do tego, tymczasowo, swojego pokoju. Otworzyła okno i przez chwilę patrzyła na granatowo-siny obraz ulicy, skąpo oświetlonej zimnymi błyskami nielicznych świetlówek. Zrywał się lekki wiatr i ciemne, prawie niewidoczne teraz drzewa szumiały, zupełnie jak na wsi. Widok był smutny, ale zarazem kojący. Taki mały wycinek, cichy kącik wyłączony z ogromnego, trudnego świata. Można było tak stać i patrzeć długo, gdyby nie to, że w torbie Marzeny znajdował się list, który wracając do domu, wyjęła ze skrzynki. List po prostu okropny. Od Adama.

Rozdział ósmy

– No to co? – mówiła Sowa Przemadzała, czyli Konstancja, czyli Kocia do stroskanej Marzeny. Zajadały właśnie placek z owocami ze wspianiała, ubitą śmietaną, bo Kocia była zdania, że nic tak nie rozjaśnia umysłu jak podobny przysmak. Poza tym wzmacnia stroskane młode damy i pomaga w rozstrzygnięciu problemów. – To co? – mówiła zlizując śmietaną z łyżeczki – to co, że on wypisuje do ciebie te wszystkie bzdury. Wybacz, ale to ciebie ma prawo nie obchodzić. Jeśli pisze, że nie chce, żeby jego mama wiedziała o tym liście, to bomba, moja droga. Co cię to wzrusza, co tam chłopaczyna bredzi. Jeśli doznał wstrząsu, to bardzo zdrowo. Kuracja wstrząsowa, moja droga, to luksus – a on ma to za darmo.

– Ale on żąda, żebym natychmiast zadeszowała na poste restante Głogówek...

– A co to jest Głogówek? – zainteresowała się Kocia.

– Głogówek to jest tam, gdzie oni teraz kopią i szukają śladów przeszłości... Więc on żąda, żebym wysłała telegram, w którym wyjaśnię, czy to jest prawda, że prowadzę jakieś rozmowy z Pieszczakiem i że zmieniłam zamiary...

– Zmieniłaś zamiary? I rozmawiasz z Pieszczakiem? Kto to, u diabła, jest Pieszczak?

– Moja droga, Pieszczak to jest ktoś, kto nigdy nie stanie u was w ogonku po pieczywo. Pieszczak nie stanie w ogonku w żadnym mieście i po nic. Jeśli Pieszczak chce coś nabyć – to już to ma.

– Popatrz, popatrz! – zadrwiła Konstancja – i ty z Pieszczakiem nie chcesz rozmawiać? No, wiesz! A właściwie to co on robi ten cały Pieszczak poza tym, że nie stoi w ogonku?

– Pieszczak to ma takie chody i zna takie sitwy, że może każdą dziewczynę ustawić, jak zechce. Rozumiesz? Na estradzie to na estradzie, w filmie to w filmie. Na to to on jest mocny.

53

– A ty po prostu nie chcesz dać się ustawić, boby cię nogi od stania zabolaly...

– Nie wygłupiaj się. Wiesz przecież, co jest grane.

– Wiem. Ale swoją drogą szkoda mi Pieszczaka. Sama bym chciała mieć takiego wspianiałego znajomego. Czy on jest śliczny?

Ta sprawa nie została wyjaśniona, bo tata piekarz zapukał właśnie do drzwi córczynego pokoju w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Chodziło o

jakieś zagubione rachunki, które Kocia i tylko Kocia mogła znaleźć. Wobec tego Kocia postępując zlazła z wielkiego tapczana, niezmiernie wygodnego i przydatnego leniwym zwierzeniom, zostawiając siedzącą na nim po turecku Marzenę, pogrążoną w ponurych rozmyślaniach. – Pisz telegram – poleciła surowo Kocia – zabieraj się zaraz do pisania!

– Święty Boże – jęknęła Marzena – jutro egzamin! Adaś w amoku!

Celina w stanie życzliwej, ale pilnej obserwacji. Można oszaleć.

Gdyby tak można zwinąć się w kłębek na tym cudownie miękkim tapczanie (a może pod narzutą jest pierzyna?) i nie myśleć o wariackich pomysłach drogiego Adasia ani o stroskanej Celinie. Nawet o Celinie. Drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu stanęła Konstancja.

– No? Napisałaś?

– Co miałam napisać? – mruknęła ponuro Marzena.

– Telegram! Nie udawaj, że nie rozumiesz, o co chodzi. Miałaś napisać tekst telegramu. Na co czekasz? Chcesz, żeby ci tu teraz zjechał nagle ten twój ukochany? I co wtedy?

– Ukochany... Marzena wzruszyła ramionami. – Słuchaj, Kociu, myślisz, że on mógłby tu mi się zwalić?

– Mógłby, mógłby. Nie udawaj głuptasa i niedołążnej, maleńkiej pieśczochy, bo tego nienawidzę, tylko bierz się do dzieła. Siadaj i pisz. Ja z tym polecę na pocztę, a ty wracaj do mamci i utrzymuj ją w dobrym humorze. Pilnuj też poczty. Nie wiadomo, co może być w następnym liście. Bo jak się to twoje słoneczko zniecierpliwi, to gotowe wyzalić się przed mamą i takową szlag trafi. Miałabyś ją na sumieniu, bo to miła staruszka.

– Staruszka jak staruszka. Wcale jeszcze nie taka bardzo wiekowa, tyle że chorowita. Jednak on chyba by się na to nie zdobył. To by było zwykłe świństwo. Nie strasz mnie.

– Nie straszę, tylko poganiam – rzekła stanowczo Konstancja, odgarniając swymi cienkimi paluszkami delikatne, pierzaste włosy, zarastające jej skronie. – Powinnaś już wracać do swojego dojrzałego pisklęcia. A poza tym powinnaś się wyspać. No, pisz...

Marzena wzięła długopis i rozejrzała się bezradnie po ciasnym pokoiku, który był urządzony i wymoszczony tak miękko, tak przytulnie, że powinno się tu pisać tylko staroświeckie romansowe liściki, a nie telegramy. W dodatku takie telegramy.

– Czekaj! – powiedziała w nagłym natchnieniu Konstancja – to będzie tak: Żadnej zmiany zamiarów. Stop. Żadnych rozmów. Stop. Zdaję do szkoły. Stop. Zawsze ta sama. Stop. Marzena. – No? Co ty na to?

– Zawsze ta sama? – zawahała się Marzena.

– A czy się zmieniłaś w stosunku do Adachny? Czy tu jest jedno słowo nieprawdy? Nie zmieniłaś zamiarów, nie prowadzisz rozmów z. Pieścziakiem, zdajesz do szkoły. Tak czy nie?

– Niech będzie. Ale jeszcze dopisz: „mama zdrowa”.

– Dopiszę, to jest rozsądne, bo przypomni mu o istnieniu mamy, a na pewno nie chciałby wciągać starszej pani w tę aferę.

– Nie powinien. To byłoby świństwo.

Marzena sięgnęła po swój uniwersalny płaszcz, w którym co prawda gubiła się jej drobna figura, ale za to wyglądała „noblownie”, jak to określała Celina. Zacisnęła usta, jak zwykle przy głębokim namyśle i nagle, już na progu, przystanąła i odwróciła się. – Nie, nie pisz, że mama zdrowa. To nieprawda, nie jest jeszcze zupełnie zdrowa i należy się jej trochę spokoju. „Mama zdrowa” uspokoi go na ten temat i wtedy może sobie pozwolić na jakieś idiotyczne szaleństwa...

– Jak chcesz. A nie boisz się, że tu nagle spadnie?

– Nie może. Na szczęście nie może, bo wtedy nastąpiłoby lekkie zachwianie jego błyskotliwej kariery. To właśnie Celina uparła się, żeby pojechał mimo złego stanu jej zdrowia. I właśnie dlatego ja tu jestem, żeby miała opiekę.

– No to leć. Pamiętaj: jutro o dziesiątej. Przyjdź trochę wcześniej, to się spotkamy przed wejściem. No, cześć.

54

Marzena przebiegła szybko niedużą odległość. Omijając połyskujące w

mroku kałuże i otwierając drzwi mieszkania Celiny miała miłe uczucie, że wraca do domu. Ale człowiek szybko się przyzwyczaja, zupełnie jak kot - pomyślała zgryźliwie.

W pokoju Celiny owionęło ją miłe ciepło. Ciepłe było różowe światło lampki, ciepło życzliwości płynęło od pulchnej Malinki w sukience koloru bzu, odsłaniającej do ramion jej piękne okrągłe ręce. Mała iskierka ciepła migotała także w ruchliwych oczach Celiny, która chyba czekała na Marzenę.

- Zmokła pani? - zapytała, jakby to było stałe, najważniejsze przywitanie, zawierające w sobie liczne podteksty nie wykluczające nawet czułej treści.

- Nie, już nie pada. Nawet jest zupełnie miło!... Dobry wieczór, pani Malinko!

Malinka wyciągnęła do niej dużą, ale kształtną dłoń i przytrzymała jej rękę tak, że Marzena usiadła obok niej.

- No to co? Jutro wielki dzień?

Marzena zjeżyła się. Rodzina Grabowskich kojarzyła się jej tak dalece z matrymonialnymi aluzjami Gucia, że wydało się jej, iż w błyszczących oczach obu pań dostrzega zamiar ubrania jej natychmiast w biały welon i poświęcenia dożywotnio wszelkim kaprysom Adasia.

- Jak to? Jaki wielki dzień? - spytała ochryplym głosem. Roześmiały się, co jeszcze powiększyło jej panikę.

- Niechże pani jej nie straszy - wyjąkała w śmiechu Celina - to lepiej, że nie myśli ciągle o tym egzaminie.

Ach! Egzamin! Prawda, to już jutro.

Zdam? - myśli Marzena - chyba zdam. Zresztą jutro to kaszka z mleczkiem. Ale za tydzień...

- Naturalnie - mówi pogodnie Malinka - a o sukience panie pomyślały? Marzenę ogarnia panika na myśl, że może znowu trzeba będzie przebierać się i demonstrować lachy.

- Ma sukienkę, ma - uspokaja Celina - właściwie nie sukienkę, ale spodnie i golf. Doskonale w tym wygląda!

Acha - myśli Marzena - to jest takie pół kroku domówienia per ty, bo przecież trochę to głupio wobec Guciów mówić per pani do dziewczyny Adasia. Nie ma rady, zrobię to drugie pół kroku. 56

Uśmiecha się więc do Malinki i mówi: - Pani Celina powiedziała widząc mój golf: „Wiesz? To piękny kolor ten róż wenecki, nie jesteś przy nim taka mizerna...”

Celina spojrzała na nią z uznaniem i rezygnacją zarazem. Tylko dla Malinki ta cała mała rozgrywka przeszła nie zauważona, jako rzecz przecież zupełnie naturalna.

A Malinka była, jak zawsze, nieoceniona i pocziwa, dogadzając Celinie, rozśmieszając Marzenę i opowiadając masę pouczających historyjek o swoich znajomych, nie znanych zupełnie im obu, ale niezwykle żywych i zabawnych w jej relacji. Potem pomogła Marzenie przy zmywaniu i spojrzawszy na zegarek, oświadczyła, że wreszcie musi iść do swojej mamy po chłopców. Marzena знаła już dwóch małych Grabowskich, którzy nosili dumne imiona Ksawerego i Gabriela, wobec czego wołano na nich Bryś i Ksyś, co brzmiało jak nieortograficzny Krzysztof. Ale oni na szczęście znosili to pogodnie i jedyną ich troską była sprawa starszeństwa, byli bowiem siedmioletnimi bliźniakami.

- A pan Gustaw już pewnie czeka na kolację - zatroszczyła się Celina.

Gutek? Nie, jego chyba jeszcze nie ma, siedzi w szpitalu. Nie. To nie dyżur, ale ma takiego malucha na oddziale i woli przy nim sam posiedzieć. Mały ma złamaną nogę i w dodatku zapalenie płuc. Ma oczywiście gorączkę i boi się, że mu tę nogę obetną. Gutek umie z nim rozmawiać i tak go uspokoić, że mały w końcu śpi.

Gutek? - pomyślała Marzena - ten śmieszny Gutek?

- Gutek już jest taki śmieszny - mówiła dalej Malinka, jakby odpowiadając na nie wypowiedzianą myśl Marzeny. I to „śmieszny” w ładnych, uśmiechniętych ustach Malinki zastępowało wiele wyrazów czci, jaką dobra, kochająca żona winna jest swemu wspaniałemu mężowi.

A ty? Czy ty potrafiłabyś, moja panienko, tak cenić Adasia, gdyby nie był taki mądry, taki przystojny i niezwykły? - myślała Celina, patrząc na Marzenę. Czy ocenisz to, że on się o mnie naprawdę troszczy, czy też to cię niecierpliwi, a może i nawet irytuje? Bo kto was wie, dzisiejsze dziewczyny, doskonałe egoistki. Pomyśl o tym, moja droga. Pomyśl już teraz. Zanim życie zacznie się dalej układać. Jeśli oczywiście do tego układania dojdzie. Pomyśl już zawczasu... Czy potrafisz? Głośno zaś powiedziała: - Zawsze

```
.2 &

.2 8
>.2 L
Ś
  o 6
  a
CO
a
•a ^
CC
łlf $
42
O
CC""
CO
5?      cc
VO      .ih      co
-t>      OD      S
r*      3      .S
. _ -    S      13
bō      cp      U

P "3 Tf <D !« •*
cc L L o> n g $ * cc 9
Ł Pcc o 42
b
  o -2
  ej tS
42 O O *
•5S
1 f-( C-«
CD      jh
"d B o .2
N °3 Ji 8-2,°
B S
•N CD
CO
.„ -b'3
O      N      o
-• s I
II??Xi
  •*
!T3      CD
  o o
  N      N
  o u
2 cc
B -^      CD
ho      cc pSh
>>      GO
co      -( o
PS
N      >.      !
aga'^30^
-,      Q      M      .H      S      fl      CD^
```



CD  
co  
CD CC  
>> H -a  
!h "2 - O  
SJ C  
«f  
r| CB  
CO rj  
li  
« -o ! S  
CB -i-i \$ CC  
"3 's  
° s |a ^  
>> CO  
I!  
li  
CC >>  
co co N cc  
S 5T  
3 -h  
CO  
u. o  
B "O  
U 42  
co >  
O 3 r2  
oj n a  
o ft «'  
•n .„ a  
cc  
  
CC  
-3 o  
ri^ • =  
^ | "« ^  
o -a g. o  
0>  
bc  
o U cŁ B  
2  
a-P  
2 E  
•g.2 ó  
„ co  
V2 3 -2  
S ^ B  
11 s  
co o u  
2^ odo  
CO N  
CO CD  
bc cd -  
o ni a  
s & J  
^ c o S ^ 5  
03 a o  
CO CD nU  
Sh CO "3  
a o 3  
cg^  
  
s  
o o

cd"  
^co  
o  
co  
CB  
TS  
<  
O  
•i-H  
^3  
TS  
O  
. 43  
: o S o  
'3 ®  
CD f-<  
a-f  
•N T3  
3 -w  
•r-, CO  
!3-  
1-2 | a a :  
^ « G  
CC N oa  
B oj  
B cu  
li  
05 J  
o, gi  
i fi  
2  
tO -u  
a co 8 v°3 fi.2  
.CC ^  
O  
a  
CD  
co cc a  
^h a -rt co B ^  
00 0  
B S  
CO "r\*  
bo  
••-i CS j) "O  
S OJ  
CO CB  
2>  
CD CJ  
-p-i CD  
CO N  
CO a  
2 2 -o  
||  
CD CC B  
B 2  
CD N  
-l Tt  
CD  
CO % CC" O  
o «u  
cc  
S •  
CC N  
CC g

5 52  
O  
bc  
CD  
o  
voO ^  
J2 '3  
'o? cC -f-" B  
0  
•N  
O  
CD '  
L a  
o  
•2 S  
a cd  
CC O  
a r-i  
N CJ CD  
a  
5 a  
es  
CD CC  
43 Ctw  
cj L-3  
•n a cd  
i I !  
CC 43 -5 N o O  
I- I 2 ^  
^ 'a cc  
11-a  
53 \*'g  
g. 2 o n a a  
> ^3 CC  
o o g  
B -2 CU CD S CO  
a rt5  
cc '5? a a n cd  
" CO •-<  
o S .^  
ho O  
ii  
T3 B  
O ."  
lm tu »-i cpw ! ' w c,  
5 N S g -5?-2,^  
co  
ł

co daJej? Patrzą ć jakiś ciąg d d się jej na  
tak lekk<sup>o</sup>j \* ce

? T »"\* to ża LLL

^ powinien tera, wie nie bardzo wiedza  
ś pokwitować'

e^nagleodziwo^idz/wjej humoru. Ależ tak.' Prze-  
Dobrze, oczywiście, CeJinJco!

sne^

natychmiast

Rozdział dziewiąty

Jednak nazajutrz Marzena miała w stosunku do Celiny trochę nieczyste  
sumienie.

To Celina wstała wcześniej niż ona i dreptała po kuchni jak mysz,  
szykując wszystko dD śniadania. To Celina, wyproszona z kuchni,  
wyjęła z szafy i przejrzała starannie jej strój egzaminacyjny, czy  
jednak nie ma czegoś do przyszcicia, do naprawienia, czy wszystko jest

dostatecznie zadbane i schludne. Marzena zaciskała zęby i wytrzymywała te zabiegi rozumiejąc, że przypadła jej rola vice-Adasia i że trzeba się z niej wywiązać należycie.

Myśl o Celinie, starającej się może wbrew sobie uważać ją za swoje akceptowane i kochane dziecko, o Celinie tak łatwo dającej się wykołować-, nie opuszczała Marzeny przez całą drogę do szkoły, a do tej zgrzyoty dołączała się pomalutku narastająca niechęć do Adasia. Winnego czy niewinnego? Bo przecież ktoś musiał być winny temu, co zaistniało. Tylko właściwie kto? Rozważania całej sprawy absorbowwały ją tak dalece, że właściwie miało to i dobrą stronę, bo eliminowało przedegzaminacyjną treść.

Z tak mieszanymi uczuciami przepychała się przez tłum kandydatów do egzaminu w uczelnianym przedsionku, kiedy nagle u-słyszała swoje nazwisko. Ktoś powtarzał je kilka razy, łącznie z dwoma innymi. Spojrzała w tym kierunku i zobaczyła przed uchylonymi drzwiami tęgą osobę, wyczytującą te nazwiska z kartki. Zapraszający gest w kierunku drzwi nie pozostawiał cienia wątpliwości.

To już! – pomyślała Marzena, czując ogarniający ją chłód i przeraźliwą pustkę w głowie – to już! Zdawało się w tej chwili, że przenigdy nie zdoła dojść do tych drzwi. Serce biło powoli i mocno. – Hej! – wtem zawołał ktoś za nią.

Obejrzała się w pół kroku. To była Konstancja. Ach, jak dobrze było ją zobaczyć. Konstancja!

03

CC 03

•N

0? 03 „!

o S

lA es cd n

'p bo

Ii

E a a o o ^

rQ OJ

vcj cC 2' C

CC N

\_CD "3

cB 42

G

CD

fi CC

\*co

CC N

-\* o

G -w

• ~ .2

g

|2 g 3 -\$

li

CC "-'

-W T-,

CB CD

a e

CDj O

CD N

L n g .S-.2

os-

>> L ^ co

rG L 'O ©< -5

•5? S « 2 o

> o cc G d

J5 o -\* ki G

CD N co

•5?S a

a  
Sh  
.  
bfī  
5-. 3  
!a,  
2 -li  
rr\* os on -rn  
CC  
to  
  
'II  
.3-8 a -. o >,  
2 P  
8  
  
! ? a  
1-s-s J-s g,  
2 a  
cc  
.rn .g 3 5 fl U  
CC  
o  
CD .  
^cB-2 O G C  
1  
c  
cc  
5  
N  
C  
CC ^  
o  
a> co g .N  
15 CO CC CD  
J3 a >co CD  
a^a 2 fi  
cc bc s a  
cC  
-o P  
CC  
° -S i la  
co CD CD  
CI  
CC -N  
3§  
N O  
p ra o ^2  
a p  
.-§ i a  
N N CD  
cc o -a  
k a cd  
E 03 •«  
P C  
rH 0> S  
!3  
3  
  
ÓS  
~° a  
•s a  
cC ej C  
co

CJ  
CC  
CD  
CC  
co CO  
ca m .  
< CO  
'\$ a  
N CO  
\* > <  
b G cc -m co G O  
3"  
a  
o o  
O 0  
° .N 3 c  
CD O  
!N r<  
O O  
^ a  
CD  
< ^ O  
-w OJ !h  
CC  
T) O s " -'  
N tUO CD  
CC  
N  
CD  
\$ g g2  
Ć7  
s a  
G J3  
P ^5  
o .2 &  
G G T!  
^co ^O  
p a  
co G p  
CD rH  
""^ cC  
CD g N P  
O  
a  
•Ji  
CO éj  
33 cfl  
a  
r^ G  
r+H CO  
>, e  
^ p  
-u P  
li  
a 5  
  
^G I & <d a  
ca" '  
aa  
CO CD  
>i G<sup>-</sup>  
N 2  
a- 8 8  
co . 3 g

| -2^ o  
g  
^•2  
T3 CD  
B a  
-5 P  
^, bo G  
S 2 ^ G a)  
g-2 g  
cfl co c0  
N ^3  
3 o  
CO CD  
O \* G oT  
P T1  
CD CJ  
O ^ fi «  
  
03 ^  
bc cd  
a 'o 'H ^ 8 a  
-5 c  
co CO  
co W O C  
^ O  
ii  
CO t3 co cfl  
a N  
°?  
?  
S" 8  
CO  
i?  
i  
cc  
CC -N .  
SJ a N G  
CD ^  
CD^ 3 N  
CC  
CO  
03 P  
L G  
STcc  
-o -  
CC s  
2 O N JV  
" ?  
02  
O cc .w  
2" S  
2 ^  
li 8 O T3  
e  
S p p  
.g o o o o  
I  
CC  
CO N bD  
CD  
rV(  
a  
co CD N CD •N  
#

3  
co P  
I  
03  
N  
•N CB  
P  
\*±<  
CC  
CJ  
CC  
8  
p  
CD  
s  
cc  
CC  
CD  
éj \$  
CD^ P  
> |  
I N CC  
CD  
CC  
  
CS CJ  
3  
co  
o  
a.2?  
2?  
"53 '5?  
co g G S cd  
-N "O CO O |" G  
a ^ n  
«  
Illal  
CC  
;fiu;  
s  
CB  
S CD  
-u co  
cB G  
N r\*  
a o\*  
co rx5  
p .4,  
CD CD  
a .2  
cc '3  
r^H  
CB "-<  
e a  
O N  
cB  
«3  
CC  
co  
CC O  
CC "é? G CC -w co  
G  
P  
CC CD^



G  
S  
CC O  
a  
CO  
-u  
• 2" 3  
o  
a  
CB  
3  
S  
o ^  
vco Sh CC cc  
rij ^  
CC ^  
•H « B-<  
CC  
S co  
rvt CC  
I  
CD  
N o  
CD  
CC  
o  
O  
co o  
o-\*  
P O

-a  
co G +J CD  
3 i  
p  
CD N co  
T3  
0  
a

.2 ^ , <| L "8 ' "

- Ma - pocieszyła ją Marzena. - Wiesz? Myślę, że chyba wszystko będzie dobrze.

W tym optymistycznym nastroju maszerowały teraz w stronę domu i nawet pogoda była teraz też raczej optymistyczna. Na bła-doniebieskim niebie snuły się drobne, perłowe chmurki, a lekki wiatr, który je rozsypał, szeleścił listkami topoli, zasłaniających czerwone, ceglane mury.

- Chciałabym już być w domu - mruknęła Konstancja. - Tata czeka i denerwuje się. Ale myślę, że mogę go trochę uspokoić. Marzena też pomyślała w tej chwili, że na nią przecież czeka Celina. Okazała się jednak, że nie tylko Celina.

Rozdział dziesiąty

Drzwi otworzył ktoś od wewnątrz, nim zdążyła przekręcić klucz w zamku. Przez chwilę szamotała się z tym kluczem, patrząc głupio w głąb ciemnego przedpokoju, gdzie w smudze światła padającego z kuchni stała Celina, jak zatrzymana w radosnym biegu, podana naprzód, w płomieniach jasnego rumieńca.

- Marzenko! - krzyknęła. - Przyjechał!

Marzena poczuła na ramionach twarde palce, na policzku suchy, szybki pocałunek. To był Adaś.

- Jak się masz, Marzenko. Mama jest tobą zachwycona - powiedział szybko, prowadząc ją tym uchwytem twardych palców do pokoju.

- Ale, egzamin! - wykrzyknęła znowu Celina. - Dobrze poszło?

- Och, na pewno dobrze - zapewnił Adaś i dodał - błagam o herbatę

albo kawę. Umieram ze zmęczenia.

Marzena chciała rzucić się do kuchni, ale Celina ją wyprzedziła, jakby chciała zasygnalizować, że uważa to zarówno za swój macierzyński obowiązek, jak i za przywilej, a kto wie, czy nie za zaszczyt. Tymczasem Adam, wepchnawszy Marzenę do pokoju, warknął przez zęby: – A to co ma znaczyć? Kto wysłał telegram?

– Tss – uspokoiła go wściekła i zdenerwowana. – Graj na razie, co jest grane...

– No, to my później pogadamy – znów warknął znacząco. Ale w tej chwili weszła do pokoju Celina, niosąc na tacce dwie filiżanki rozkosznie pachnącej kawy.

– Pij, kochanie – powiedziała tkliwie wpatrując się w swego potomka. Drugą filiżankę postawiła przed Marzeną.

– Z pewnością ci się teraz przyda, moje dziecko. I co z tym egzaminem. Jak poszło? Na pewno świetnie, jestem tego pewna.

Marzena uśmiechnęła się skromnie i zaraz zaczęła pić kawę, co ją zwalniało poniekąd od rozmowy.

.1 Odpowiednia dziewczyna

65

, a w oś w

™ Ada, ale zaraz " A

Adas Jest niewyspany i skołataj Powinien zaraz położyć się i przelać

81U-

Przespac-

81U-

S°b16' że ^ Choćby na godzinę, Ada-

uprzytomniła sobie leć o

Z

y Co ze spadem i

Celina >

i tera\*Pomyś-

Co

akcji. Żeby

k ^

r

nieP°^ojem śledziła

prze-

co

k się mama czuje?

ść dla „•

mnie.

»! ? do Adama:

śle chw jH

zrobite \*

y pżyła sic Z chw jHIZST TT" tW°» Ma-tych „rażeń, prawda? - to było

sH,, zkę dużo b\* \*,iś

grzeje trochę mleta lvt,, sk'eiwane teraz do Celiny - 2

dzie -ietne^Sec^Ta^S11 ' "" Sam™« Ł

- Prawda! Gucio! ^ ^ ,a"y pa° dok'<>r Gucio. Wiesz,

Adasiu? Marzenka ^i ^

68

– Bo ona w ogóle robi czary – chłodno stwierdził Adam, patrząc przejmująco na Marzenę. – Ale rzeczywiście, to bardzo słuszne, żeby mama położyła się. A my we dwójkę pójdziemy na krótki spacer. Znów spojrzał znacząco na Marzenę i dodał siląc się na niefrasobliwość: – Mamy tyle do pogadania.

– Ale chyba będziecie jeszcze mieli dość czasu na pogadanie...

– Ja też tak sędzę – spieszenie wtrąciła Marzena i spojrzała na zegar. – A na razie zobaczę, co słyhać w kuchni. Na szczęście prawie cały obiad mamy gotowy, tylko do odgrzania. Sałatę kupiłam wracając...

Teraz Celina wyraziła chęć pomagania w tych kuchennych zajęciach, co oczywiście zostało storpedowane przez Marzenę i Adasia, który ponadto oświadczył, że nie wie, czy zdąży zjeść cokolwiek, albowiem wyjeżdża

pospiesznym o 20,30.

Celina zasmuciła się. - Jak to? Jeszcze dziś wyjeżdżasz? Święty Boże! Ja myślałam, że zostaniesz na parę dni...

- Muszę, mam, muszę. Urwałem się z trudem na ten jeden dzień, żeby dowiedzieć się, jak się mama czuje, no i żeby... - zmrużył oczy i spojrzął na Marzenę - żeby sprawdzić, jak się Marzena sprawuje...

- Przepraszam na chwilę - Marzena uśmiechnęła się promiennie i z piekłem w sercu pobiegła do kuchni. Czy to aby nie za dużo przeżyć naraz - myślała z niechęcią. Najpierw egzamin, teraz kochany Adaś w postaci niespodzianki. I co jeszcze? Boże, zmiłuj się nade mną. A swoją drogą miałam jakieś natchnienie, że przygotowałam wczoraj to risotto. Teraz tylko odgrzeję. Mam nadzieję, że jeśli będzie jeszcze świetna sałata i kompot, to zupełnie wystarczy... Natomiast jeśli chodzi o te wszystkie inne sprawy...

Rozmyślania przerwało wejście do kuchni Adama. Pozwolisz, że pomogę ci i nakryję do stołu? - powiedział głośno, dodając potem cicho. - Muszę z tobą pomówić! Rozumiesz? Tylko nie tu. Wyjdziemy zaraz po obiedzie...

- Myślę, że przede wszystkim należy oszczędzać nerwów twojej mamie. Bardzo ją polubiłam. Więc może jeszcze zostaniesz trochę po obiedzie, żeby mogła się tobą nacieszyć, a potem odprowadziłabym cię na dworzec - zaproponowała. - Co o tym myślisz?

67

- Źle myślę. Muszę z tobą pomówić zaraz. Nie kręć, nie nabieraj mnie na oszczędzanie mamy!

Adaś jest Wady z wściekłości. Niedobrze. Trzeba to jakoś rozładować. Jak? Marzena widzi z niejaką pociechą, że nos Adama jest bielszy od reszty twarzy, i ma ochotę dotknąć tego nosa, żeby przekonać się, czy jeśli tak zbielał, nie jest przypadkiem zimny jak lód.

- Nie rób głupich min. Nie kręć. Co nagadałaś Marzenie, że ona, że ona...

- Chcecie się oczywiście nagadać! - mówi sztucznie ożywionym głosem Celina, stając niespodziewanie w drzwiach. - Jeszcze tyle czasu do obiadu, idźcie sobie na kawę „Pod Papugi”, rozerwiecie się trochę!

- Doskonale! - przyświadcza Marzena. Więc idą spiesznie ulicą, nie patrząc na siebie. Kiedy potracą się niechcący ramieniem, syczą: „przepraszam” nie patrząc jedno na drugie. Tak nabzdyczeni pakują się w ciasne drzwi dzielnicowej kawiarni, przepełnionej w tej chwili raczej kobietami. Są to kobiety, nie damy. Siedzą obładowane torbami i paczkami. Wpadły na chwilę, żeby odpocząć po staniu w ogonku, wymienić ze znajomą, która stała w ogonku w innym sklepie, nabyte zakupy, wreszcie zabrać do domu krewniaków ze wsi, którzy tu również odpoczywają po załatwieniu swoich spraw w urzędach i dokonaniu własnych zakupów. Dzieci z dużymi serowymi ciachami w łapach stoją zagapione przy wielkiej klatce z papugami albo próbują gonić się w ciasnocie lokalu. Wolnego stolika po prostu nie ma.

- Chodźmy stąd - warczy przez zęby Adam - równie dobrze możemy rozmawiać na ulicy.

- Nie, dlaczego? Mnie tu się nawet podoba - odpowiada Marzena, która boi się wszelkich scen, a tu chyba Adam będzie musiał pohamować wszelkie zapędy w tym kierunku.

Jak na złość Adamowi przeciskająca się między stolikami kelnerka bierze ich pod swoje skrzydła. Wydają jej się tacy eleganccy i interesujący!

- Mam dla państwa doskonały stoliczek - mówi, zagarniając ich przed sobą. - Doskonale się tu państwo zmieszczą. Popycha ich do dużego stolika, przy którego końcu siedzą już jakieś dwie osoby.

68

- Świetnie - cieszy się nieszczерze Marzena.

- Kawka - stwierdza zdecydowanie kelnerka i już jej nie ma. Marzena wsuwa się między stolik i wąską ławkę i skrzywionemu Adasiowi nie zostaje nic innego, jak poskładać swoje długie nogi jak scyzoryk i

przycupnąć na małym krzesełku.

- No więc? - zaczyna rzeczowo Marzena.

- Zdaje się, że ma być kawa... - syczy Adaś, podkreślając w ten sposób, że rozmowa jest ważna i nie przeznaczona dla uszu kelnerki. Ala kawa już jest i trzeba zacząć.

- Słucham cię...

- Ja też! - odpowiada nonszalancko Marzena. - Chcę wiedzieć, dlaczego tu spadłeś, co nagadałeś mamie i co znaczą te miny?

- No, wiesz... - niemal dusi się z wściekłości Adaś. - Co zrobiłaś z Marzeną? Gdzie ona jest?

- Jak ci powiem, że udusiłam, to i tak nie uwierzysz. A gdzie jest? Dokładnie nie wiem.

! - Dosyć tych wygłupów. Dlaczego podszywasz się pod nią? Dlaczego oszukujesz mamę?

- Mój drogi, chcesz wiedzieć, to ci powiem. Bardzo mi się nie podobają te twoje wrzaski. Gdybyś się zachowywał jak człowiek, to opowiedziałabym ci pomalutku wszystko, szanując twoje nerwy, ale ja też już mam dosyć. No to masz! Czytaj! - Wyciąga z torebki pomietą kopertę, a z niej równie pomietą kartkę, którą pod-tyka pod nos Adasiowi.

Na kartce nabazgrane jest, co następuje: Mila Felu, absolutnie nie mam czasu, żeby się rozpisywać. Mówiła mi Majka, że szukasz kwatery w Łodzi na czas egzaminów i nic nie możesz znaleźć. Ja tam mam właśnie kwaterę, ale nie jadę. Jasne? Możesz jechać zamiast mnie, a nawet jako ja. Jeszcze lepiej jako ja, zaraz pojdziesz daczego. Nie zdaję w tym roku do PWST. Sylwia zaprotego-wała mnie do Pieszczała, a on wkręcił mnie na epizod do filmu w koprodukcji. Rozumiesz? Drobiazg - ale z perspektywą. Nie wiadomo jak długo potrwać zdjęcia, bo to plener i trzeba być w gotowości. Będę zdawać w przyszłym roku, ale już z pozycją. Adam nic nie wie i nie potrzebuje wiedzieć. Nie chcę się denerwować przed zdjęciami. On chyba widzi, że się między nami nie klei, że nic z tego nie będzie, ale życie by mi zatruł gadaniem! To wszystko do-

69

nie

Nie. To

\*missPo'°-

70

- Ale - stwierdza ponuro Adaś - mama wyraźnie cię lubi. I wygląda na to, że jednak pogodziła się z tą myślą!

Fela (nie Marzena) patrzy na Adasia z ukosa, z wyższością i kwaskowatym uśmiechem.

- Nie bój nic! Jak mówię, że odetchnie, to wiem, co mówię! Lubi mnie chyba trochę, ale polubi naprawdę, jak się dowie, co jest na rzeczy.

- Powiesz jej?

- Zwariowałaś? Dlaczego ja? To przecież ty namotałaś!

- Ja? No, wiesz! Czy mnie mogło przyjść do głowy, że ty tu siedzisz, że kręcisz i zgrywasz się przed mamą, która przecież jest pewna, że to Marzena, że właśnie Marzena...

Adaś urwał i patrzył na Felę szeroko otwartymi oczami, ale ona wiedziała, że zamiast niej widzi Marzenę, rudą Marzenę, krzątającą się potulnie dokoła mamy. Ach, cóż to jednak byłby za piękny obrazek! - A ciebie przecież ja prawie nie znam! - dokończył ni w pięć, ni w dziewięć.

- Co ty tam bajasz... - rzekła z nagłym zniechęceniem Fela. - Trzasnąłbyś szklanką o podłogę i to by ci dobrze zrobiło. Ale nic z tego, bo zaraz byłaby głupia heca. A kelnerka jest miła i po co robić jej przykrość? Wiem, co chciałaś powiedzieć, a raczej czym chciałaś mi dogryźć - raz, że mama w swej nieświadomości miała w domu nieznaną osobę, a dwa, że z premedytacją urabiałam ją sobie na przyszłą teściową. Ajejjej! Coż to za szczęście mogło mnie czekać! Fela urwała nagle, wpatrzona w drzwi, w których pojawiła się dobrze jej znana pulchna figurka, uwieńczona koroną ciemnozłotych puszystych

kosmyków.

Konstancja?

Ona to właśnie, ona! Niby ze znużoną miną, jakby znalazła się tu przypadkiem, przypłynęła do ich stolika, kręcąc odmownie głową, kiedy przyjaźnie nastrojona kelnerka wskazała jej miejsce przy pustym stoliku.

– To ja. Wpadłam na chwilę. To Adam? – zapytała rzeczowo, przenosząc wzrok z Adasia na Felę. Ten nieszczęsny zdradzony i porzucony, a teraz jeszcze zrugany spojrział niespokojnie na Felę.

71

stancja przynosi jakaś o W„a J^f' mi^tana Strache™> że Kon-J? szukała. Jednocześnie SKl^' bo –ej po cóż by ciekawszym miejs ki TiJalot Z" PrZerwano Jej w na/ lych rze^ kochanemu AdaSowz P^Wledziec ^-ze dużo niemi-

? n

cholerny egza. me ° \*«° ^e, a pani

T miała aytuacJ«

Co jest , ten m, tu ^

nigdy mi nie uwarzy ^ SZkaC' a na całe aktorstwo gwizdL \*a, ze

miałam nóż na gardfeT

o ewentualnym oinku

~ Zaczynacie być sent c^nt y^Wskl6 S6rce

^ P«y sąsiednich 8tolikach k/lka^S, ^ ZaUWaŻ^a Konstancja tkając 2

życziwym zaintte ol ° °dwrÓClło si? w ich stronę' e juz o

wSZystkim. eS^Waniem- ~ Chodźmy stąd. Mama

Skąd?!

^^n^cZfŻm2f

eJ

na te pielęgniarke z dzSck^m No" f^ J trafiłam zka jest

zupełnie skołowani uii ^^ S^hle! Pani "ciekać, bo nie ma czasu

ta 1 e%marka tłumac -nna w SZpitaJu, tylko ^ tdT^' " Wl^Zła

^o, 1^ datku chce jeść.

AdaS m^znie «ę zachowuje

i w do

do

f

prZybJadłego A ch! D2leWCZyna Sra dziennika^ z War ś patrzy na Konstancje ^

j&St

72

– Chodźmy – przerywa mu Fela. – Wszystko nam, Ko-ciu, opowiesz po drodze, ale śpieszmy się. A w ogóle skąd wiedziałaś, że jesteśmy „Pod Papugami”.

– No przecież pani Celina to mi powiedziała.

Mały Adas nie wyglądał na dziecko, które przeżyło wypadek samochodowy, o czym świadczył tylko mały plasterek na nosku. Spał spokojnie na tapczanie Celiny, która siedziała przy nim odnajdując w głębi pamięci wszystkie te starania i obawy, jakie kiedyś już przeżywała.

Dobre to były czasy – myślała – na myśl mi wtedy nie przychodziło, jaka dziewczyna będzie dla niego odpowiednia!

Te rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Celina syknęła niecierpliwie, jakby niewczesny rozmówca mógł to usłyszeć, ale Adas nie obudził się.

– Tak? – powiedziała ściszym głosem.

– To ja! – zaświergotał wysokim głosikiem doktor Guccio –ja bardzo przepraszam, pani Celino, ale tak naprawdę, co ja mogłem zrobić z małym? Malinka odwozła chłopaków na wieś i wraca za dwa dni, u mnie dom kawalerski, bo mam dyżur za dyżurem, więc pomyślałem, że u pani jest ta miła dziewczyna, to jakoś się małym zajmie. Co? No, naprawdę nie miałem co z nim zrobić!

– A co z jego siostrą? To bardzo ciężki wypadek?

– Nie. Nawet nie – ale trzeba przebadać, bo jeszcze nie wiadomo, czy nie ma obrażeń wewnętrznych, ale chyba nie. Przede wszystkim to jest szok. Reszta będzie wiadoma jutro. Za kilka dni chyba będzie już

mogła wyjść.

- Przyjdzie tutaj? - zapytała Celina nieco skonsternowana - no, bo...

- Nie, nie - zaświergotał zawodowo-lekarskim, uspakajającym głosikiem Gucio - ma gdzie mieszkać. Ojciec wynajął jej pokój w hotelu. Chyba Malinka już wróci, zajmie się małym i dziewczyną. Chłopak zostanie trochę dłużej...

- Jaki chłopak?

- Ten, z którym jechała. Na szczęście wywnął się tylko złamaniem nogi, ale złamanie paskudne! Więc, pani Celino złota! Jest taka prośba do pani, a raczej do tej pani Marzenki...

73

- Trzeba - mówi w chwilę potem Celina do nadbiegłej w pośpiechu trójki - żeby ktoś z was poszedł zaraz do szpitala po zaświadczenie i na tej podstawie przedłużył rezerwację pokoju dla tamtej Lucynki.

- Tak, jasne. Ja to zrobię, wiem wszystko od pielęgniarki - oświadcza zdecydowanie Konstancja. - Państwo tu macie obiad i dwóch Adasiów! Wystarczy. Lecę.

Rzeczywiście leci, może nawet frunie, mimo że taka pulchna, ale lekka i zwinna w obłoczkach szarozłotych kosmyczków. Fela biegnie do kuchni i komenderuje Adasiem, który teraz całkiem sensownie bierze się do roboty. Celina usadowiona wygodnie, odsunięta od wszelkich zajęć patrzy na nich oboje i pomału wraca do zadziwiającego opowiadania Konstancji.

Więc, jak to jest z tą dziewczyną, z tą Marzenką, czy nie Marzenką? Czy to była odpowiednia dziewczyna? Chyba odpowiednia - więc czy szkoda, że chociaż odpowiednia, nie jest jednak dziewczyną Adama? Czy też może jest odpowiednia dla niej, dla Celiny, a zupełnie nieodpowiednia dla Adama? A więc - tu Celinę ogarnęła zgroza - może być również zupełnie możliwe, że dziewczyna odpowiednia dla Adama będzie najzupełniej nieodpowiednia dla niej, dla Celiny, która chyba najlepiej wie, co jest odpowiednie dla jej dziecka, niby to dorosłego, a przecież praktycznie biorąc głupiego, że pozał się Boże! - tu rzuciła okiem na śpiące niewinnie niemowlę i pomyślała z tajoną uciechą: będą z tobą mieli za swoje. Zupełnie jak ja teraz!

- Gotowe, mam - powiedział nagle wchodząc do pokoju Adaś. - Jedźmy spokojnie, póki ten kajtek śpi.

Nic więc innego nie pozostało Celinie, jak z dobrą miną przyjmować starania o swoją osobę, dać się niańczyć, częstować i zabawiać. Atmosfera była miła, prawdziwie rodzinna i przykro byłoby ją popsuć jakimiś niezręcznymi pytaniami. Pod koniec obiadu poza tym pojawiła się nieco zdyszana Konstancja, zawiadamiając, że załatwiła wszystko i w szpitalu, i w hotelu, dokąd zawiozła walizkę Lucynki, że zapytała doktora Gucia o ojca Lucynki, który jest w Poznaniu, ale przyjeżdża pojutrze, że ten chłopak, który prowadził wóz, nie jest niczemu winien, ale biedaka ma się za win-

74

74

nego i z tą jego nogą nie jest dobrze, i że ona, Konstancja, może robić wszystko, co trzeba, niech tylko powiedzą co.

Była to dość długa przemowa i mogłaby być jeszcze dłuższa, gdyby nie zdecydowany protest Adasia młodszego. Obudził się i usiadł gwałtownie, mocno zaciskając zamknięte powieki.

- Lula! - powiedział wyraźnie śmiesznym, grubym jak na takiego malucha głosem. Wszyscy zamilkli i odwrócili głowy w jego stronę, a on nie otwierając oczu szukał czegoś dokoła siebie rękami. - Lula! - powtórzył, i tym razem głos mu się załamał niebezpiecznie, ale przy nim stała już niespodziewanie Fela i wzięła go delikatnie na ręce. Wszyscy odetchnęli. Malec wczepił się małymi łapkami w sweter Feli jak przestraszona małpka, pociągnął noskiem, za-mamrotał coś niewyraźnie i spał dalej. W dodatku tak zawarta znajomość okazała się początkiem tak zdecydowanego upodobania, tak zaborczej sympatii, że Fela poczuła się nagle zdegradowana do roli ulubionego mebla, miękkiej poduszczonej, którą wszyscy chwala, że taka przytulna, taka

wygodna, tak się dziecku podoba. Albowiem ku jej zaskoczeniu tylko w jej objęciach mały gość osiągnął tę pełnię zadowolenia, która sprawiała, że wyglądał jak uśpiony pulchny aniołek. Na tapczanie wydawał się mizerniejszy i w ogóle trochę nie na miejscu.

- Jak mama sobie z nim poradzi? - zatroskał się Adam, spoglądając na zegarek.

- Nie bój nic! - odpowiedziała raźnie i młodzieżowo Celina, której niebywale dodała ducha ogólnie panująca zgoda i pogoda. - Przecież nie zostaję sama! Damy sobie świetnie radę! Jedź spokojnie. Ale ty masz już niewiele czasu, a ja ci chciałam jeszcze dać to i owo...

- Zajmę się tym - szepnęła uspokajająco Konstancja - niech pani tylko powie... - i zaraz obie zniknęły w kuchni, skąd dały się słyszeć małe szelesty i brzęki, oznaczające niechybnie pakowanie niezbędnego prowiantu dla ciężko pracującego naukowca. Wyszła z tego nielicha torba, ale posłuszny syn nie protestował, pożegnał się czule z mamą, przyjaźnie z Fela, tak jakoś po koleżeńsku, a kiedy obejrzał się na Konstancję, ta już stała przy drzwiach.

- Ja też muszę wyskoczyć na chwilę, ale wpadnę jeszcze wie-

75

.a >

N Xi i N

Xi N N O

o &c cc 5

-•flir

" G

|flirt

CC T,

03 '

CC N -im

HM rQ CJ

O -O

CC O

•3 a

CC

^8

U N

bo

d .2

2

3 cc hm

co bo

^ G 0

-« hm a

bc

a

a o o

"^ - CC

CC

2

cc

S

O N -TJ N U 0

-SO.S cc

C fe HM t2

t: 0 g h^ •»

cc -n ^j bc G

w bo CO CC

O .

-3. 'rt G

>> o vo

OJ

te >>-S

CC

s s -a g s

CC CC "e?  
N ' CO rt  
.2 3«a 0 'o  
CC  
cC  
co 0  
- ^CO -N) C^.  
-I s .S  
N  
CO N  
S  
N  
CC  
S .^5  
o a  
CC N I  
.» ^ |" ^2 .o  
11  
O N o. \*-i  
cc  
Sh CC  
a n  
bo 'rj cj  
a  
ac?  
•N CC  
i-i O  
bo Zl-  
c o  
CD 03 U CC  
  
-itj  
CO  
o •-.  
CC .^  
hm ^  
CO  
  
CD O  
G 3  
-a; C3 cj co i  
0 .2? g >, .'  
•N CJ 0 h« ~  
! |=• co  
L S ź a >^ "o  
o w -xt  
•-H CC  
O  
bc  
15  
•- G  
CC  
CC O  
CJ O S  
|a? f g°  
S, c -«  
3 O  
CC  
N 0  
O. «  
CC  
CC  
CC  
.S cc



O CC O  
CO  
G W "3 ^  
^ •L-  
pC0 g  
bo-  
•3 bc  
CC  
CC  
o o  
CO CD  
J? O cc  
Cg\* | i-(  
SSe-S  
-S w.  
S.aT  
3 CJ  
.» o \$  
bc  
•N "2  
CB cc .c"  
CD cc  
hm CO  
CO CJ  
P °  
bc  
| ~ -c w -"  
CC  
\* f°  
CC cc  
!> cc •>-(. \_  
N CO N  
-o -r;  
o .  
X3  
N |  
cc  
II  
C o  
O  
\_cc cc 0  
II  
N CJ CO 0  
1^5 •?...? s  
« P -H  
-O 1 0  
a.s>  
cc  
bc  
cc  
|s « 5 S fi  
0 CS |-< CC O |n o CJ /sS o.  
^j ^ ^ -^ \*- , -  
3 '3 "S -n O Q  
3 T3  
n  
O •~' <P  
CC  
1-3  
CO C G " 0 O  
CC  
" L  
P 3

Xf  
8  
CC  
^ S a  
•|.a? cc  
i; N ° -0 CC 0 0  
CC N -0 CC  
-5  
0 0  
.y 0  
X!  
0 o  
CC  
a 0 0  
0 0 L  
0 -c 'o cd .2?  
•-. 3  
•M o  
•r\* -T? r^ S\*. CD  
  
CC  
•N 3  
? 2  
» o  
cc CC  
0 cc 0  
CC  
Xi  
2} .5? o  
,9-c  
O. i?  
CC  
^-G Xi cc CC 0  
Jl.-?--?  
XJ  
co -3 .S  
CC  
o o  
| " -\*M  
bc  
«J  
bo  
o cj -  
a>  
co a> co 0 » -3 -ir  
•~> N ni S , Q N co  
CC  
N  
0 CC  
cc cc N co  
Rozdział jedenasty  
tam  
~ oa! AJe jak? -  
^1 ^ WL  
i dobr  
ze.  
78

ironią Sabinka - bo to najłatwiej. Mnie nic do tego, co tam państwo sobie postanowią. Ja tylko mówię, że do dziecka się nie godziłam. - I tu pani Sabinka zamknęła za sobą drzwi, nie na tyle głośno, żeby to można było nazwać trzaśnięciem, ale na tyle zdecydowanie, żeby było jasne, iż ma na ten temat własne zdanie.  
- Co tam, Felinko? Poszła? - zapytała wchodząc Celina. -Co jeszcze chciała? - pytanie było niespokojne, bo każdy występ Sabinki groził

nieprzewidzianymi komplikacjami, ale Fela postanowiła przemilczeć tym razem całą sprawę.

- Nic, nic. Trzeba by tu chyba jakiś kocyk... - i w końcu sprawa tego spaceru zatarła całkowicie niepokojące oświadczenie Sabinki. Na szczęście wraz z Adasiem dostarczono jego wali-zeczkę, w której było wszystko, co tylko mogło być potrzebne. Co za zabawa wyjmować, oglądać i przymierzać na brzdącu te wszystkie kolorowe szmatki! To od razu nie pozwalało nie pamiętać, nie poświęcać ani jednego słowa trochę kłopotliwej sytuacji wczoraj, co dla każdej z nich byłoby zarówno niezręczne, jak, co tu kryć, niemiłe. Dobrze jest, jak jest. Ale kto jak kto nie przeżywał żadnych komplikacji uczuciowych po tym niewydarzonym dniu, to właśnie Konstancja. Ledwie Fela wymanewrowała się z wózkem na ulicę, gdy naprzeciw niej wyrosła jak spod ziemi niewysoka postać, owiana wokół głowy chmurką szarozłotych, leciutkich włosów. Konstancja. Konstancja z koszyczkiem, z którego połyskiwała rumiana skórka świeżego chleba, otoczonego wianuszkami drobnych rogalików.

- Cześć! Niosę chleb pani Celinie. No i co tam? Fajnie wyglądasz z tym wózeczkiem.

- Fajnie... - powtórzył nagle Adaś, który siedząc dumnie w wózeczku, poczuł się niesłusznie pominięty w rozmowie.

- No popatrz, popatrz! Podoba ci się dziewczyna, co? Ale bombowy chłopak!

- Ci się... - stwierdził z zadowoleniem Adaś, ale zaraz potem podskoczył kilka razy na pupie na znak, że najwyższy czas jechać dalej i nie zawracać głowy.

- Już, już! - uspokoiła go Fela. - A pani Celina ucieszy się z rogalików. Zaraz jej się humor poprawi.

- A co? Pani starsza w złym humorze? Dlaczego? Duszę z siebie wyprowadzam, żeby ją rozśmieszyć tą całą historią z Marze-

79

CC

"i Oi •r-i

3

N O

O CC

13

O

CC CC

o 03 N

O CO

U rr\ O

03

' r\* CC

"I

CD ;N

O

B

i

N CD .L U -N N L 3

iffł

-« 11 .s ,2 S

N s2 O C\*1 \_, ~ >\_(

2 -

Sh 3

3 -L5

i <0

o ST fe "3 ° 8,

c--g 'o S o p ;

g

5

J 5

OD .S

```

3 .2
a>      o p .h ^ cd HR
N
CD
O      -      CC
CD      oo
3      O N      CJ
CC      CD      i      . |--i .M      -oj      A      J      o
bp a es 2 >>.-°
S .* cc
>> ii tu
O, -ri '2
CC.
c ar
C O
-O o CO -w N co >>      a
co >>      J>      o
CD      a      o
15      o      1
CO -w bc CD      Xl
o      N X
Kiliss-f
i i
2 c 3> o
o<5

```

Dobre dziecko z tej Feli – rozważała w tym czasie Celina. –Owszem, przyzwoita dziewczyna, tylko taka jakaś trochę zamknięta. Nie jest piękna, ale może... Nie. Adamowi jest potrzebna dziewczyna efektowna, reprezentacyjna. Może to szkoda, że nie widziałam tej Marzeny? Może Adam nie umiał z nią postępować? Może by się dziewczynę jakoś wychowało, utemperowało, bo ja wiem... Bo przecież jeśli szukała kariery... – Celina drgnęła, bo właśnie w tej chwili zadzwonił telefon.

Telefon odebrała Fela. To dzwonił Gucio, który od razu zwałił jej na głowę całą masę spraw, zupełnie jak gdyby Fela nie miała już na tej głowie małoletniego Adama, dorosłego Adasia ze stroskaną matką, obrażonej pani dozorczyńni, zakupów, gotowania i wreszcie wiszącego nad tą głową niewiadomego wyniku egzaminów.

– Czy to trochę nie za dobrze... – mruknęła odkładając słuchawkę.

– Co, co się stało? – zaniepokoiła się Celina. – Doprawdy, jak nie ma Malinki, to ten Gucio traci głowę! Znowu ktoś się rozbił na szosie? – zapytała, jakby zbieranie z szosy ofiar wypadków należało do ulubionych rozrywek Gucia.

– Nie. Raczej wszystko okay. Znalazła się rodzina, ale nie ojciec, tylko matka. I nie dziewczyny, tylko chłopca. No, jednym słowem Gucio chce, żebym rano tam wpadła, bo on ma jutro trudny dzień na swoim oddziale, a ktoś musi się zająć Lucynką i tą nie jej mamą! Na szczęście wrócił już ten ortopeda, na którego czekali...

– No dobrze... – powiedziała z wyrzutem Celina – to wszystko ładnie, będziesz tam uspokajała, tłumaczyła i zabawiała, wciągną cię w te wszystkie sprawy – a Adaś? A ja?

– Zrobi się! – powiedziała z przekonaniem Fela, choć w głębi duszy wcale nie była taka pewna. Trochę tu było za dużo tego dobrego. – Wie pani co? Zjemy spokojnie kolację, pani się położy, a ja skoczę na chwilę do Konstancji. No, bo co, u diabła? Ona też ma swój udział w tym spektaklu...

– Ty masz głowę, Felinko! – powiedziała z zachwytem Celina. – Kocia jest taka zaradna, taka energiczna, tak umie sobie radzić z ludźmi...

– urwała nagle, bo uprzytomniła sobie, że wynosząc tak pod niebiosa talenty Konstancji – jednocześnie stwierdza ich brak u Feli. A poza tym... poza tym, czy nie są to czasem te cnoty, które tak bardzo przydałyby się dziewczynie Adama? Więc zamilkła pełna rozterki.

Fela tymczasem bez cienia rozterki twardo żądała od Konstancji

zastąpienia jej w szpitalu.

- Nie wiem, co nasz Guccio sobie wyobraża, ale na pewno chce przerzucić na mnie część scen rodzinnych. A to jest po prostu niemożliwe! I już! - dodała dla wszelkiej pewności. - Muszę przecież zajmować się domem, trochę ułatwić życie Celinie, nie mogę rzucać jej małego na kark, bo ona naprawdę jeszcze nie powinna nic robić. No, nie powinna. I jeszcze ta piekielna Sabinka! Sabinka pięć razy dziennie dzwoni do drzwi i głądzi. A mały? Małego nie wezmę do szpitala, bo to idiotyzm ciągnąć dzieciaka między chorych, a Celinie go nie zostawię, to sama rozumiesz!

- Uspokój się! Rozumiem. Pójdę. Nawet dobrze się składa, bo to jeszcze pięć dni.

- Co ci się składa? Jakie pięć dni?

- Stuknij się! Pięć dni do wywieszenia listy „zdanych”. I te całe pięć dni będę zajęta charytatywnie! Będę pocieszać, uspokajać, tłumaczyć i zażegnawać! Guccio będzie swobodny jak ptaszek. Nie dopuszczę tej wspaniałej mamy do bezbronnej Lucynki. Chyba, że znajdzie się jej lekkomyślny tatuś - wtedy będę resorem między tatusiem a mamą...

- Nie pleć!

- Dlaczego? Przecież tego chyba Guccio po mnie oczekuje. Zresztą mniejsza o to. Nie bój się, jakoś postaram się uładzić ten cały niewesoły bałagan. Nie - dodała spoglądając nagle na Felę - nie myśl, że jestem taka idiotka. Pójdę grzecznie do Gucia, wytłumaczę, dlaczego to nie ty, zapytam, w czym mogę pomóc - no co jeszcze? Reszta dopiero się okaże. W każdym razie możesz więcej o tym nie myśleć.

- Głupio, że cię w to ubrałam - westchnęła Fela - ale co mam robić?

- Ale mnie się to strasznie podoba! Oczywiście nie mogę taty zostawić samego z całym sklepikiem, ale to się wszystko ułoży. Grunt, że przez te całe pięć dni mogę nie mieć ani chwili wolnej. Fela zmieszała się. Zrozumiała, że Konstancja mówi zupełnie

86

87

serio, jej małe pulchne rączki splatały się i rozplatały raz po raz, bezradnie i żałośnie.

- Coś ty! Zdałaś na pewno! - zapewniła ją gorąco. - Co za pomysł! Przecież ja też nie jestem wcale pewna... No i co?

- Bo ty jesteś zrównoważona. A ja nie. Po prostu.

- Ty? Co ty pleciesz! Jesteś „taka zaradna, taka energiczna, tak sobie umiesz radzić z ludźmi"... To mi powiedziała Celinka, a jak może tak trzeźwo myślące stworzenie wpadać w panikę, miotać się w niepewności i w ogóle wymyślać sobie jakieś stresy?

- Co ja z tobą będę gadać! Owszem, jestem cholernie praktyczna, zaradna i energiczna. Fakt! I co dalej? Nie wiesz? Bo ja wiem. Dalej będę coraz bardziej praktyczna, zaradna i energiczna. Będę robiła pieniądze, bo jak ma się inaczej wyładować osoba tak zaradna i energiczna. Za dwadzieścia lat będę nieznośnym babskiem, którego wszyscy będą się bali. Może wyjdę za mąż, oczywiście za niewydarzone pacholę, które sterroryzują dostatecznie szybko. Może będę miała dzieci, którym wykoślawię życie swoją zaradną i energiczną opieką. Może...

- No, -dostosyć! - przerwała Fela. - Mnie się zdaje, że ty się sobą zachwycasz! A twój talent?

- Nie mam żadnego talentu - powiedziała rozsądnie Konstancja - ja tylko chciałabym go mieć! Udaję, że go mam. I przysięgam, że będę go miała.

- Talent? - szepnęła Fela.

- Talent. Nie wierzę w dary nieba. Nie jestem nawiedzona. Ale chcę sobie sama zdobyć to, co inni mają za darmo. Chcę mieć coś, czemu przyda się moja energia, zaradność i upór, kochana, i upór. Fela wracała od Konstancji błękitnomrocznymi ulicami z lekkim zamętem w głowie.

Po co ona mi to wszystko mówiła? - myślała. - Jutro będzie jej głupio

i mnie też. Takich rzeczy przecież się nie opowiada!

v     Rozdział dwunasty

Tymczasem, jak to zwykle w życiu bywa, nazajutrz Fela nie miała czasu, aby myśleć o niewczesnych zwierzeniach Konstancji ani nawet o całym zamieszaniu, jakiego obawiała się w szpitalu. Celina miała gorączkę.

- Od razu wczoraj wiedziałam, że pani starszej coś jest - o-  
znajmiła z zadowoleniem Sabinka. - Takie oczy miała jakby  
nieprzytomne. Moja mamusia, jak miała umierać, to też tak patrzyła.

- Co pani mi tu opowiada! - krzyknęła Fela.

- Wiem, co mówię. Pani starsza miała tę operację parę tygodni temu.  
I niby nic. Wszystko dobrze, tak się biedula cieszyła, synusia  
naganiała, żeby jechał do tej swojej roboty. I nagle-trach! Gorączka.  
A wie pani, co to znaczy? Coś jej musieli w brzuchu zostawić!

- Niemożliwe! Przecież to doktor...

- A tam! Doktor nie doktor, wszyscy oni tacy sami. Jednej pani z  
Sienkiewicza ulicy to po takiej samej operacji zaszyli w brzuchu  
nożyczki i szpulkę nici. I też gorączkę miała, przedstawiało się jej,  
że coś ją po brzuchu tnie, a tnie. Tak się męczyła, tak się męczyła,  
a doktorzy po brzuchu ją gnietli i gnietli i nic nie czuli. Aż  
jednego właśnie dnia w tym danym szpitalu mają taką więcej ważną  
operację, narzędzia szykują, czyszczą - a tu nożyczek nie ma! No, to  
dopiero zaczął się krzyk! Nożyczki i nożyczki! Aż dopiero jedna  
pielęgniarka taka była przytomna i woła: a czyśmy tej pacjentce z  
Sienkiewicza tych nożyczek w brzuchu nie zostawili? No i dopiero po  
nią jada, pięknie przepraszają, na stół kładą, ledwie trochę nacięli,  
a tu masz: nożyczki z brzękiem na podłogę wypadają. Tak było. Dlatego  
sobie myślę, że z panią starszą może być tak samo!

Fela słuchała z otwartymi ustami. Co prawda Celina nie skarżyła się  
na żadne bóle i uparcie tłumaczyła, że właściwie nic jej nie jest,  
ale temperaturę miała wysoką i drzemała chwi-

89

lami, dysząc jak złapany wróbel. Z czego ta gorączka, na Boga? Nie ma  
co - pomyślała w panice Fela - trzeba wezwać Gucia. Ostatecznie to on  
ją operował.

Telefon był w pokoju Celiny, która zaczynała jęczeć przejmująco na  
samą propozycję wezwania lekarza, więc trzeba było dzwonić od  
Sabinki, snującej przeraźliwym szeptem najczarniejsze proroctwa. - I  
to dziecko w końcu sierotką zostanie! - Wykrzyknęła załamując ręce. -  
A czy je pani chociaż przewinęła -' zainteresowała się praktycznie.

- Co pani wymyśliła? Jaka sierotka? - syknęła Fela rozpaczliwie, bo  
dostała wreszcie połączenie ze szpitalem i czekała, kiedy odezwie się  
Gucio, po którego posłano.

- No, nie musi mnie pani zwodzić - rzekła z obrazą w głosie Sabina  
- że ten Adaś to nie własna krew naszej pani. Jak wczoraj wieczorem  
pani siedziała u koleżanki, to pani starsza z łóżka się zwlekła i  
poszła posiedzieć przy małym. I okno zamknęła, co je pani zostawiła  
otwarte. Kto to widział, żeby dziecko...

Naraz odezwał się telefon. Fela chwyciła słuchawkę.

- Ojciec! Ojciec się znalazł! - zabrzmiał przeraźliwie głos Gucia,  
jednocześnie zdyszany i wesolutki. - Wszystko już mamy z głowy! Do  
widzenia, bo zaraz mam operację!

- Panie doktorze! - wrzasnęła, jak mogła najgłośniej Fela.  
- Żaden ojciec...

- Jak to? - zdumiał się Gucio. - To kto?

- Żaden ojciec mnie nie obchodzi. To pani Celina jest chora i musi  
pan zaraz... - nagle zorientowała się, że w słuchawce panuje cisza  
absolutna. - Panie doktorze? - spytała, ale po prostu połączenie było  
przerwane.

- No i co? Nie przyjdzie? Widać ma nieczyste sumienie! Fela  
machnęła ręką i nakręcił numer po raz drugi.

- Pana doktora Grabowskiego poproszę. To pilne!

- Doktor Grabowski jest na sali operacyjnej. Nie możemy go wezwać.

- A kiedy będzie wolny? To strasznie pilne.

– Operacja potrwa ze cztery godziny. Niech pani potem próbuje. Albo jeśli pani ma telefon, to wieczorem do domu.

– Mam – powiedziała złamanym głosem Fela i powiesiła słuchawkę.

– Tak, tak. Jak ich potrzeba, to ich nie ma. Niech pani choć to dziecko ratuje – znów zabrała głos Sabinka.

Prawda! Dziecko. Nie przewinięte, nie nakarmione. Pewnie wyje już wniebogłosy. Porwała się w stronę drzwi.

– Idzie pani? – zapytała Sabinka. – A jeżeli tam już trup?

– Nic mu się przecież nie mogło... – wyjąkała przerażona Fela.

– Ja nie mówię o małym. Dzieciak to jak psiak. Nic mu nie zaszkodzi. Ale pani starsza...

Feli już nie było w pokoju. W drzwiach zawahała się przez sekundę, jakby jakiś prąd rwał ją jednocześnie w dwie strony. Adaś – czy Celina? Celina.

Kiedy źle wyważonym skokiem znalazła się na progu pokoju lekko się chwiejając, Celina uniosła głowę z poduszki i spojrzała na nią dużymi nieruchomymi oczami.

– Felinko – szepnęła – żebyś mi tylko doktorów nie sprowadzała! Mnie nic nie jest. Jestem tylko trochę osłabiona i to zaraz przejdzie. – Mówiąc to uśmiechnęła się słabo, jak dzielna mała dziewczynka na fotelu u dentysty, co rozłożyło Feli,; do reszty.

– Dam pani herbaty z cytryną... – szepnęła bezsilnie. Herbata z cytryną wydała jej się czymś ożywczym i nieszkodliwym zarazem. Ale nim zdążyła zrobić krok w stronę kuchni, z jej obecnego pokoju rozległo się przeraźliwe skomlenie.

– No, oczywiście! – jęknęła i z impetem otworzyła drzwi. Ale widok, który ją przywitał, nie był bynajmniej wstrząsający. Adaś stał na czworakach wśród rozrzuconych poduszek i śmiał się do niej, patrząc jednym okiem jak wróbel. Sztuka jednak nie udawała się na długo, i wtedy padał z rozmachem na pupę, skomlać /. wyraźnej irytacji.

– No, no – powiedziała stanowczo – dość tego dobrego. – I wyszła do kuchni energicznym krokiem, postanawiając opanować sytuację.

Nie było to jednak łatwe. Nie wiadomo, czy gorsza była cierpiętnicza zgodność Celiny, czy znakomity humor Adasia, plującego z zapałem kaszką na świeżo powleczone poduszki.

– Jesteś nieznośny smarkacz – powiedziała przez zaciśnięte Fela, co zostało przyjęte przez rozkosznego aniołka nowym

90

91

wybuchem dobrego humoru. – Leżeć! – zawołała z rozpaczą – bo zobaczysz!

– Bla? – odpowiedział impertynencko Adaś i wytrącił jej z ręki łyżkę pełną kaszki.

Feli zaszumiało w głowie, przed oczyma zamigotała czerwona mgła, a upačkana kaszą dłoń plasnęła w tłustą pupę diabelca. Adaś oniemiał, utkwivszy w Feli wytrzeszczone okragłe oczki, w których malowało się coś w rodzaju koleżeńskiego uznania.

Uderzyłam dziecko! – pomyślała ze zdumieniem Fela. – Uderzyłam cudze dziecko! – stwierdziła, jak gdyby te własne były bardziej odpowiednie do bicia. I w tej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi.

– Gucio! – krzyknęła dusza Feli. – Drogi, złoty Gucio! Pospiesz się! – i szarpnęła drzwi wejściowe otwierając je szeroko dla Gucia, jasnego promyka w czarnej otchłani zamętu.

Tymczasem... Tymczasem na progu stał, owszem, osobnik płci męskiej, ale to nie był Gucio. Był to pan wzrostu trochę więcej niż średniego, szczupły, elegancki, z lekko siwiejącymi skroniami i melancholijnymi oczyma. Jednak ten niewatpliwy urok jego postaci był dla Feli zupełnie niedostrzegalny.

– Pan do kogo? – mruknęła niezyczliwie. Pan zdziwił się, ale wybaczył brak obycia.

– Jestem Prandota – rzekł z godnością.

– No to co?

Pan zdziwił się jeszcze bardziej. Wykonał jakiś nieokreślony ruch

rękami i posunął się krok naprzód.

– Czy to mieszkanie pani Celiny Łabędzkiej? – zapytał z mniejszą pewnością siebie.

– Pani Łabędzka jest chora i żadnych wizyt nie przyjmuje – powiedziała zimno Fela i energicznie chwyciła za klamkę, aby zamknąć drzwi przed nosem temu podejrzanemu wytwornisiowi. Ten ożywił się nagle.

– Ale tu jest mój syn! – krzyknął.

Błysk zrozumienia rozjaśnił skołowany umysł Feli. Ach tak?

– Ach tak? – powtórzyła głośno. – To pan? To pan jest ta-tusiem tego diabelca, który od rana pluje na mnie kaszą! Ślicznie

się pan urządził! Dzieci porzucone po szosach, a pan sobie wojażuje nie zostawiając adresu! Cicho! Teraz ja mówię krzykn/lu, wi dząc, że przybysz usiłuje dobyć głosu – dziecko powtórzył nu dok tor Grabowski i tylko jemu je oddam! A teraz niech pan spływa dodała z pogardą – bo mam dosyć roboty. I trzasnęła dr/wiumi tak mocno, że skromne budownictwo spółdzielcze zadrżało.

– Kto tam dzwonił, Felinko? – zapytała słabym, ale pełnym zainteresowania głosem Celin« kiedy Fela przemykała się do swego pokoju.

– Nic takiego. Taki jeden spryciarz od przerabiania drzwi i okien. Spławiłam!

– To dobrze. Nie puszczaj takich za próg.

– Jasne. A jak się pani czuje?

Celina zastanowiła się. Z twarzy jej spłynęło chwilowe ożywienie, spojrzała na Felę z dołu, podnosząc oczy jak na obrazach Carlo Dolciego. – Nie wiem – szepnęła – może lepiej... Ale nie przejmuj się, moje dziecko.

Fela załamała w duszy ręce, ale postanowiła być opanowana.

Niewątpliwie wymiana zdań ze strapionym ojcem dopomogła jej w tym opanowaniu.

– Zmierzymy temperaturę! – powiedziała zawodowym tonem pielęgniarki.

Zajrzała do małego, który w tym czasie zasnął, po czym z drżeniem serca odebrała od Celiny termometr. Było niezbyt dobrze. Trzydzieści osiem z kreskami.

– No? – zapytała słabym głosem Celina.

– Nic nadzwyczajnego. Siedem i pięć – zełgała Fela i nagle ożyły w jej pamięci złowróżbne opowieści Sabinki. Nożyczki? No, może nie nożyczki, ale...

– Może ja teraz trochę zasnę – oznajmiła z otuchą Celina. – Zajmij się spokojnie małym, nie przejmuj się mną.

Były to na pewno dobre rady. Fela z miłym uśmiechem i zaciśniętymi zębami wyszła na palcach z pokoju, ale wtedy nagle opadły ją wątpliwości. Dobrze, załóżmy, że to nie są nożyczki, ale na przykład tyfus? Żółtaczką? W Hamburgu wykryto dwa przypadki cholery.

Pobiegła do łazienki. Umyła ręce, wytarła je spirytusem, przebrała się i włożyła duży fartuch. Bez litości obudziła smar-

92

93

kacza, wykapała, przebrała, zmieniła pościel na jego legowisku. Mały dawał wszystko ze sobą robić bez oporu, patrząc na nią struchlałymi okrągłymi oczkami.

Czemu on taki grzeczny? – martwiła się Fela. – Wyraźnie chory!

Przypomniała sobie, że śniadaniowa kaszka ładowała w znacznej części na poduszkach i podłodze, więc należałoby chyba go nakarmić.

Ugotowała szybko jajko na miękko, dodała pokrajany pomidor.

Przypomniała sobie z poprzedniego dnia, że on nie znosi pomidorów. Mniejsza!

Siedział, jak go posadziła, grzecznie i patrzył na nią z zainteresowaniem.

– Trzeba grzecznie zjeść! – powiedziała pedagogicznie, co jednak



nie było zupełnie potrzebne. Podopieczny zamknął oczy, otworzył dziób i łykał łyżeczkę za łyżeczką. Fela ani się spostrzegła, kiedy filiżanka była pusta, a oni oboje patrzyli na siebie wyczekująco i niezdecydowanie. Pierwszy złamał się Adaś.

- Tu, tu... - oświadczył z kokieteryą i podskoczył na pupie. Feli wydało się to wzruszające do łez, ale pohamowała wszelkie spontaniczne odruchy, pamiętając o tyfusie, żółtaczce, ewentualnej cholery.

- Śmieszny jesteś - powiedziała. Oświadczenie zostało przyjęte z zadowoleniem. - A ten twój tata - ciągnęła, ale nagle urwała. Nie. Nie należy do syna mówić źle o ojcu. Ale czy to już jest syn, czy jeszcze żaba, a może nawet kijanka? Niemniej zniechęciła się do tematu, ponieważ uprzytomniła sobie, że trzeba zajrzeć do Celiny, a poza tym kuchnia przedstawia obraz nędzy i rozpaczy. Należałoby ponadto zrobić zakupy, a dziecko powinno wyjść na powietrze. Po prostu dno. Westchnęła i postanowiła zająć się na razie kuchnią. Adaś siedział sobie wygodnie na kocyku, rozesłanym między wywróconymi krzesłami i bawił się plastikowymi pudełkami, zza uchylonych drzwi dobiegało lekkie pochrapywanie śpiącej Celiny, no, po prostu idylla. Kiedy jeszcze na suszarce zabielił się szereg pomytych naczyń, a w rondlu zalśnił złocistą pozłotą rosół z kurczaka, Felę ogarnął nagle spokój, podobny do zubożenia na sprawy tego świata. Przecież robię, co mogę! - szepnęła w duszy, siadając wreszcie na stołku.

- A kuku!

Fela zerwała się ze stołka. Za parterowym oknem widu mlii różowa i uśmiechnięta twarz doktora Gucia.

- Widziałem, jak pani się krząta - pochwalił Gucio no, a teraz niech mi pani otworzy, zobaczymy naszą chorą.

- Skąd pan wie - zapytała Fela otwierając szeroko drzwi - że tu chodzi o panią Celinę?

- Moja droga. - zdziwił się Gucio - jak to skąd? Ledwie wyszedłem z operacyjnej, łapie mnie dyżurna siostra i wtyka ten adres. Jakaś kobieta dzwoniła co chwila i krzyczała, żebym zaraz przychodził, bo będzie nieszczęście. No, co się stało?

- Pani Celina - wyjąkała Fela - ma okropną gorączkę.

- Okropna?

- Trzydzieści osiem z kreskami!

- Z kreskami... - powtórzył Gucio - no, to jeszcze nic takiego.

Zobaczymy, zobaczymy. Tylko ręce umyję. A na co narzeka?

- W ogóle nie narzeka. Tak sobie drzemie.

- Acha, no to w porządku. - Gucio zniknął w łazience, a Fela z biciem serca zajrzała do Celiny, która podniosła się na tapczanie z ożywieniem.

- Doktor Grabowski wpadł przechodząc, zobaczy małego i panią przy okazji.

- A to dobrze. Bardzo dobrze. Ja nic nie mówię, Felinko, ale, czy to dziecko nie jest przeziębione? Noce są teraz bardzo zimne, a takie maleństwo zawsze się rozkopuje...

- No, paniusiu, teraz my się zajmujemy tym starszym maleństwem. Pani da mi jakąś łyżeczkę, zobaczymy gardziółko... - głę-dził pogodnie Gucio, stając na progu.

Fela poszła do kuchni po łyżeczkę i odczekała dłuższą chwilę, aż Gucio zawołał: „No? łyżeczkę proszę!” Wtedy weszła i zobaczyła, że Celina ma całkiem rażną minę i nawet poprawia sobie włosy, patrząc z zaufaniem na Gucia.

Gucio wziął łyżeczkę, zajrzał Celinie do gardła i z zadowoleniem machnął ręką.

- Czyste! Po prostu lekkie przeziębienie i nerwy. No, tak. Nerwy, nerwy. A teraz zjeść porządne śniadanko, poczytać coś i jutro pani wstanie. Na to przeziębienie weźmie sobie pani aspi-

94

95

rynę. Jest w domu? No, to dobrze. Trzy razy dziennie dziś i jutro. Wystarczy.

W chwilę potem Celina zjadła porządne śniadanko i zadowolona z siebie i ze świata sięgnęła po nie doczytany kryminał. Gucio rzucił okiem na małego i straciwszy nagle swój dobry humor poszedł za Felą do kuchni.

- Może zrobić panu kawy? - zapytała Fela, widząc, że promienny zwykle Gucio siedzi zaszępiiony i milczący. Kiwnął głową i dalej milczał, ze wzrokiem utkwionym w ścianę. Fela złękła się. Pomyślała, że może z Celiną jest bardzo źle, ale bała się pytać. Dopiero kiedy postawiła przed nim kawę, Gucio ocknął się i spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Jestem zmęczony - westchnął Gucio przeciągając się. - Dała mi w kość ta dzisiejsza operacja. A w dodatku nie wiem jeszcze, jaki będzie wynik.

- Ale przecież operacja się udała?

- Operacja, moja droga, a pacjent - to są dwie różne rzeczy. Operacja była śliczna, a czy organizm pacjenta będzie tego samego zdania, to już inna historia. Będę musiał trochę siedzieć w nocy przy tym chorym. Pójdę teraz do domu, prześpię się i wrócę na wieczór. Ale wie pani co? Niech pani weźmie małego na powietrze i doprowadzi mnie kawalek. Ja zawsze po ciężkiej operacji muszę trochę pogadać, wszystko jedno o czym. A przecież nie będę zaczepiał ludzi na ulicy. Zajrzę na chwilę do pani Celinki, a pani niech się przygotuje. No? Na pół godzinki.

Był to dobry pomysł. Gucio rzeczywiście gadał bez przerwy, opisując z polotem jakieś barwne i zawikłane sceny, rozgrywane się w kręgu ofiar sławnego wypadku i ich najbliższej rodziny, ale wszystko to nie dawało jasnego obrazu sytuacji. Trochę bardziej zrozumiałe wydawały się dwie sprawy, że chłopaka czeka ciężka operacja i, że Konstancja wśród tych wzburzonych fal odgrywa rolę złocistej kropli oliwy.

- Fantastyczna dziewczyna - powiedział w rozmarzeniu Gucio. - Jak ona umie z każdym się dogadać, każdego uspokoić... To by była pielęgniarka! Z paskiem - dodał z szacunkiem. - Najtrudniejsza sprawa była z tym ojcem dziewczyny. Narobił takiego krzyku, miotał się jak wariat, byłby w końcu dorwał się do tego chłopaka i wystraszył całą salę, ale mu ta dziewczyna w porę wytłumaczyła, że przecież w tej katastrofie była nie tylko jego córka, ale i syn. I posłała go do ciebie. Był?

- Był.'

- No i co? Też się wściekał?

- Nie zdążył. Wyrzuciłam go za drzwi. Gucio przystanął i spojrzał na Felę z uznaniem. Ale Fela potrząsnęła głową ze zważeniem.

- Pewnie to było głupio, ale wie pan, co mnie tak rozżłościło? On był... Był taki jakiś ulizany, grzeczny i wystraszony. No, nie wiem, jak to powiedzieć. Wyglądał tak, jakby na ważnej wizycie wywrócił dzbanek z kawą, udawał, że to nie on, ale wiedział, że to się wyda.

- Bo pewnie tak się właśnie czuł. No, mniejsza. Lecę spać. Fela pospacerowała jeszcze trochę z Adasiem, kupiła trochę różnych jarzyn, które pachniały tak prawdziwie wsią i ogrodem, a potem jeszcze dla Adasia małego drewnianego konika o błękitnych zezowatych oczach. Ale czy to właściwa zabawka? - zmar-i wiła się zaraz. - Przecież takie dziecko wszystko zaraz bierze do buzi, a to jest pomalowane farbą. - Wobec czego zaraz w następnym sklepie kupiła mu plastikowego pieska. Ciagle jednak była niezadowolona z siebie i ze świata. Coś było nie tak.

A w domu szło tymczasem wszystko jak po maśle. Celinie "tnperatura spadła do trzydziestu siedmiu, mały spał po obiedzie plastikowym pieskiem w objęciach, konieczna przepierka suszy-i się nad wanną, po prostu wzorowy dzień młodej, lecz dzielnej ani domu. Tuż przed wieczorem ktoś zapukał cichutko do drzwi. ,ik pukała zazwyczaj Sabinka.

Fela ziewając zlazła z tapczanu i poczłapała do drzwi. Puka-ie Sabinki uprzytomniło jej, że powinna już pomyśleć o kolacji la Adasia i zajrzeć do Celiny. Niechętnie uchyliła drzwi i zdziwi-i Hie. To wcale nie była Sabinka. Nikt w rodzaju Sabinki. To był ituśko Adasia, zbolały tatuśko - ale nie, tym razem wcale nie holały, spoglądający

na nią wcale raźnie, trzymający w ręku ja-it'K kwiecie i chyba... Tak. Chyba młodszy o jakieś dwadzieścia ul. Ukłonił się, wyciągnął kwiatki w jej stronę i zaszeptał coś iprzejmie i poufnie.

96

Odpowiednia dziewczyna

97

- Że co? - wyszeptała zaskoczona Fela.

- Ja też jestem Prandota - szepnął przenikliwie sobowtór - Prandota syn! Chciałbym - tu machnął zdecydowanie kwiatkami - wszystko pani wytłumaczyć.

- Zaraz, zaraz. Czy istnieje ewentualność, że za parę godzin zjawi się na mym progu Prandota dziadek?

Sobowtór roześmiał się przyciszonym, zduszonym śmiechem i zdecydowanie wręczył jej kwiaty. - Niech pani weźmie te rośliny, bo zwiędna, a szkoda, bo przyzna pani, że ładne. To ja sam wybierałem, coś odpowiedniego dla młodej, przystojnej wiedźmy!

Fela, która już odruchowo wzięła niewinne białe różyczki, po prostu zatrzęsło. Już otworzyła usta do dłuższej i rzeczowej przemowy, ale Prandota syn podniósł ostrzegawczo rękę.

- Ciii... - syknął - przecież pani ma w domu maleńkie dziecko i chorą staruszkę! Jakże w tych warunkach można krzyczeć i awanturować się! Nieładnie!

- Felinko! - rozległ się w tej chwili pełen ożywionego zainteresowania głosik Celiny. - Z kim ty rozmawiasz, dziecko? Czemu szepczecie? Czy stało się coś złego?

- Nie, nie! - krzyknęła Fela - to nic ważnego. To z gazowni - tłumaczyła, stając na progu pokoju Celiny.

- Z gazowni? - zdziwiła się Celina, patrząc na kwiaty. - Twoja rzecz, moje dziecko. Ale czy zamknęłaś drzwi?

Drzwi? Zanim zdażyła sobie uświadomić, że oczywiście nie zamknęła, tylko trochę przymknęła, bo pod tymi drzwiami stoi niezupełnie pożądanym i niewygodnym gościem, kiedy z sieni rozległ się podejrzliwy jazgot Sabinki: - A pan tu do kogo? Na kogo pan czeka? - Ja tu przyszedłem z posyłką - powiedział skromnie młodzieniec - i kazano mi czekać na pokwitowanie. - Ale Sabinka zbyt wiele znała mrozących krew w żyłach opowieści o napadach na samotne kobiety. - Proszę pani! - zawołała w głąb przedpokoju. - Czy ten pan ma tu czekać?

- Felinko - rzekła niespokojnie Celina, siadając na łóżku - co tam Sabinka chce? Idź, moje dziecko, i zobacz.

Fela odruchowo rzuciła kwiaty na kołdrę Celiny i wybiegła do przedpokoju. Prandota młodszy stał pod drzwiami w postawie nieśmiałej i skromnej odpowiedniej dla osobnika, czekającego na nieduży napiwek. Sabinka mierzyła go niezyczliwym wzrokiem, czekając na podziw i uznanie dla swojej dzielności, tak pełna ufności, że Fela poczuła się niezręcznie. To było tak, jakby dzielny żołnierz, czekający przed frontem na order, miał być nagle zdegradowany! No i co teraz?

- Ach, pani Sabinko! - zawołała ogarnięta nagłym natchnieniem - jak to ładnie, że zajęła się pani moim gościem! Gdyby nie pani, biedny pan doktor stałby tu do nocy. Bardzo pana przepraszam, ale pani Celina zawołała mnie tak nagle!

- Jak się czuje pani Celina? - zapytał z szacunkiem gość.

- Dużo lepiej! Właściwie zupełnie dobrze! - bredziła Fela, starając się bezboleśnie pozbyć Sabinki, podejrzliwie przyjmującej jej komplementy. Nie podobało jej się to wszystko.

- Jak pani sobie uważa. Ja nie lubię się wtrącać w cudze sprawy - rzekła z godnością Sabinka. - Ale żeby pani starsza była zdrowsza, to bym nie powiedziała!

To mówiąc wycofała się z godnością, zamykając za sobą drzwi od swego mieszkania nie tylko, na zatrask, ale i na ciężką zasuwę, jakby obawiając się, że niewyraźny osobnik po wymordowaniu jej sąsiadek przypomni sobie i o niej.

- Proszę - powiedziała znękany głosem Fela, otwierając szeroko drzwi - niech pan wejdzie. Muszę zajrzeć do małego.

- A może ja pani pomogę? Przecież opiekowałem się tym kajtkiem przez parę ładnych miesięcy i wszystko umiem przy nim zrobić!

- Felinko! - rozległ się w tej chwili dość rozpaczliwy o-krzyk Celiny. - Daj mi trochę wody! Tylko trochę wody!

- Pani Celina... - wymamrotała z przerażeniem Fela. -Może serce! I jednym skokiem dopadła drzwi pokoju Celiny. Młody człowiek przytomnie pobiegł do kuchni, skąd wybiegł szybko ze szklanką pełną wody i podażył za Fela.

Kiedy stanęli oboje bez tchu w progu pokoju, Celina spojrzała na nich ze zdziwieniem znad różyczek, które przytulała do siebie delikatnie jak puszystego białego kotka.

- Czy coś się stało? - zapytała speszona.

- Czy pani się dobrze czuje? - wyjąkała Fela.

- Ja? Doskonale. Ale te biedne kwiatki trzeba przecież jak najszybciej włożyć do wody. Takie piękne kwiaty i nawet nie wiem, komu mam za nie dziękować!

P

98

99

Fela spojrzała na Prandotę młodszego, który stał jak głupi, z uprzejmym uśmiechem i szklanką wody w ręku. - To są kwiaty od rodziny Prandotów - powiedziała niewinnie - jako wyraz wdzięczności za opiekę...

- Ach, to naprawdę nie było potrzebne! - zawołała tonem salonowej konwersacji Celina. - Adaś jest taki miły i grzeczny... Mnie to naprawdę zupełnie nie przeszkadza. Widział pan Adasia?

- Może ja najpierw do niego zajrzę, czy nie śpi - wykręciła się Fela i pobiegła do swego pokoju.

Mały już się obudził, ale nie grymasił, siedział grzecznie obracając w rączkach plastikowego pieska. Zobaczywszy Felę, okazał się skłonny do rozmowy, ale pewne oznaki wskazywały niechybnie, że należy go szybko przewinąć. - Chodź - powiedziała Fela - jesteś stanowczo najinteligentniejszy z całej rodziny. - I zaniósła go szybko do łazienki.

Z pokoju Celiny dobiegały pojedyncze słowa swobodnej towarzyskiej rozmowy, więc Fela spokojnie mogła w kuchni przygotować małemu kolację. Kiedy z tacką przepisowych środków odżywczych dla niemowlęcia, włączając w to miseczkę znienawidzonych płatków, zmierzała do swego pokoju, zręczna postać starszego brata zastąpiła jej drogę.

- Pani pozwoli, ja to zrobię równie dobrze. A może i lepiej - dodał zuchwale. - Robiłem to dłużej niż pani. Niech pani zajrzy do pani Łabędzkiej - dodał szeptem. - A ja po prostu chciałbym się na coś przydać.

Celina wyglądała na trochę zmęczoną, ale była wyraźnie zadowolona. Kwiaty stały w wazonie na stoliczku.

- Jak to od razu widać kulturę - powiedziała łaskawie. - Było to bardzo na miejscu, że ten chłopiec przyszedł podziękować, chociaż właściwie powinien to zrobić jego ojciec. Ale może trudno było staruszka fatygować.

- Niewątpliwie! - kiwnęła głową Fela. - Starsze osoby są zawsze bardziej wrażliwe.

- Sympatyczny chłopiec. Pytałam go o jego siostrę, o tę dziewczynkę z wypadku, ale ona szczęśliwie już jest zdrowa, przenoszą ją do hotelu, do ojca, i to głównie Konstancja się nią opiekuje.

Nieoceniona ta Konstancja! Bo były tam na początku jakieś nieporozumienia, ojciec dziewczyny, to znaczy pan... Prandota, prawda?, oskarżał tego chłopca, tego, co prowadził, o narażani\* życia jego dzieci, nawet mówił o alkoholu, ale to była nicpni wda, A z nim był jakiś jego młodszy kolega i podjudzał go.

- Wiem - wtrąciła Fela. - Gucio wyrzucił go z sali, więc się odgrywa. A co z tym chłopczyzną?

- Chyba nie bardzo dobrze. Ale to się już dowiesz od Konstancji. Moja droga, czy nie powinniśmy tego młodego człowieka zaprosić na

kolację? – dodała szeptem.

- Nie sędzę – powiedziała stanowczo Fela. – Nie należy demoralizować młodego człowieka. Powinien zająć się siostrą i ojcem, jeśli my już zajmujemy się braciszkiem. Dwóch Prandotów do bawienia to już stanowczo za dużo.

- Jednak ładnie się zachował.

- W ogóle jest śliczny, ale nie sprowadzajmy go z tej drogi cnoty. Zdaje się, że tam mają wielkie rodzinne zamieszanie i niech lepiej użyje wszystkich swoich zalet, żeby to jakoś rozładować. Owszem, da się lubić, ale rozsądniej będzie, jak go zaraz wyprawię do rodziny.

- Dziękuję za dobre słowo i zaraz tam lecę – oznajmił młody człowiek, który od jakiejś chwili stał w progu z pustą tacą i miseczką w rękach. – Dudek zżarł wszystko do czysta bez żadnych grymasów, co jak wiem z wieści gminnej, nie zawsze się udaje!

Fela przypomniała sobie pecyny kaszki, zdobiące jej postać w czasie rozmowy z tatuśkiem i uśmiechnęła się krzywo. – Mnie to zupełnie nie przeszkadza – mruknęła. – I wcale pana nie wyrzucam, tylko uważam, że jeśli pan sobie tak ze wszystkim świetnie radzi, to może pan być bardzo potrzebny...

- A pozwoli pani mi to zmyć? Ja i to umiem równie doskonale! Nie, niech pani nie szuka wymówki. Zresztą pani mi pomoże! – To mówiąc skierował się do kuchni tak szybko, że Feli nie pozostało nic innego, tylko pójść za nim.

- A teraz niech pani posłucha – powiedział, skrobiąc energicznie myjką resztki kaszy z miseczki. – Ja lubię czasem robić z siebie pajaca, ale nie zawsze. Pani wydaje mi się dość rozgarnięta, więc... można mówić dalej?

Fela kiwnęła głową.

- Więc najpierw byłem na panią wściekły o to wyrzucenie ojca za drzwi. Zaraz, zaraz, niech pani nic nie mówi, ja rozumiem.

r

100

101

Jest pani zmęczona, skołowana, a Dudek pluje kaszką. I wtedy ta wizyta. Wystarczy. Ale tata przyszedł z nadzieją na pogłaskanie – a został skopany. Voila!

- A dlaczego, u licha, miałabym głaskać pana tatę?

- Więc właśnie. Dlaczego? I tu pani wskazała absolutny brak kobiecej intuicji, co mi się, prawdę mówiąc, nie bardzo podoba. Bo on, proszę pani, był okropnie nieszczęśliwy. Okropnie!

- On? Wyręczany, ochraniany, wrzeszczący na tego nieszczęśnika?

- No, dobrze, dobrze. Jak się pani tak zacietrzewia, to nie mamy co gadać.

- Mamy. Lubię wiedzieć, o co się mnie oskarża.

- Ach, „oskarża”! Po prostu melodramat. A tymczasem to przecież pani wystąpiła w roli oskarżyciela, w dodatku z natychmiastowym wykonaniem wyroku! Przecież on się właśnie tym najbardziej gryzie, co mu pani tak pięknie wyłożyła. Tam w szpitalu nikt z nim w ogóle nie chce gadać, nikomu nie jest potrzebny. Lu-cynka patrzy na niego jak zraniona sarna, bo naskoczył na tego nieszczęsnego idiotę. A to przecież w redakcji powiedzieli mu, że pijany chuligan omal nie pozabijał mu dzieci. Z czym się nie ruszy, wszystko kulą w płot, wszystko się obraca przeciw niemu. Tej pani przyjaciółce nawet zrobiło się go żal i posłała go do pani, żeby zobaczył, że mały zdrowy i usłyszał jakieś dobre słowo. No i rzeczywiście.

- Głaskać to ja go nie będę – powiedziała z namysłem Fela – ale mogę przy najbliższej okazji poklepać go po ramieniu. Starczy?

- Taka pani łaskawa? Klepania po ramieniu to my wszyscy mamy od czasu do czasu dosyć.

Był wyraźnie zły. Fela zmieszała się.

- Przepraszam. To było rzeczywiście głupie. Poniosło mnie!

- Mnie też – przyznał sprawiedliwie Prandota syn – ale krew mnie zalewa, jak widzę, że ktoś obraża przyzwoitego człowieka dla zwykłej

zgrywy! Nie. To nie tak. Teraz ja przepraszam.

Fela roześmiała się.

- No, to fajnie. Ale przyzna pan, że występy rodziny Prando-tów mogą zaszokować kogoś nie przyzwyczajonego!

- Wszystko przez ten Poznań! - wyznał młody człowiek. -

102

Gdyby tata jechał wprost do Łodzi, to sam zabrałby Lucynkę i małego i nie byłoby żadnej katastrofy. Tymczasem zadzwonili z radia i tata musiał pojechać. Więc Lucynka miała pojechać sama z małym i poczekać na tatę w hotelu. Bo tutaj jest taka jakaś konferencja dziennikarzy sportowych. Po tej konferencji tata miał zabrać dzieci do znajomej leśniczówki na jakieś dwa tygodnie. No

i...

- Mówił mi doktor, że Lucynka nie ma mamy... - zaczęła Fela, jakby stało się dla niej jasne, że tak niepoczytalne pomysły mogą mieć tylko osobnicy płci męskiej.

- Od dawna. Byliśmy jeszcze oboje zupełnie mali. Tata nas chował.

- Od dawna? - zdziwiła się Lucynka.

- Chodzi o Adasia? Ojciec się nie ożenił po raz drugi, żeby nam nie dać macochy. Potem kiedy już dorośliśmy, może dla małego ożeniłby się z jego matka, ale to była dziewczyna tyle ładna, ile głupia i rzekła się dziecka, wyjeżdżając do Turcji. Mały ma tylko nas - a my się bardzo cieszymy, że mamy jego. Gorzej, że cała robota spada właściwie na Lucynkę, bo tylko ona jest stale w domu. Należał jej się ten urlop. Żeby nie ten wypadek, to wszystko byłoby fajnie - westchnął.

- Ale zawsze było to jednak lekkomyślne, żeby zgadzać się na jazdę z takim chłopczyną...

- Pociąg też mógł się wykoleić! - stwierdził filozoficznie młodzieniec. - A Daniel jest doskonałym kierowcą. To jej kolega, jeszcze z liceum. No i romantyczny wielbiciel. Lucynka nim trochę pomiatała, ale ta złamana noga dodała mu niebywałego blasku w jej oczach. Lucynka jest z tych, które kochają kulawe kaczęta - uśmiechnął się wyrozumiale jako dojrzały człowiek i naukowiec, który gardzi słabościami młodości.

Fela zamyśliła się. Chłopak patrzył na nią niecierpliwie. Widać było, że już nie bardzo ma czas na dalsze rozmowy, że chyba jest zawiedziony jej brakiem zrozumienia, i że rwie się do tej swojej pracy. Był to miły chłopak.

- To ładnie, że pan wpadł - powiedziała. - Dziękuję za szczerłość!

- Dziękuję za cierpliwość! - odparł. - A tak na przyszłość proszę tylko - jeśli pani znowu będzie miała ochotę wyrzucić ko-

103

goś za drzwi, niech pani pomyśli przedtem, czy mu się to naprawdę należy. Czy to nie jest człowiek, którego najlepsze lata zeszły na uganianiu się za zarobkiem, żeby nakarmić dwoje dzieci, a wszystkie wolne chwile na praniu ich majtek.

- Postaram się - obiecała solennie Fela. - Obiecuję uroczyście.

- No niechby! A może tak i lepiej. To już przepraszam i znikam. Ja, wie pani, przyjechałem tylko na jeden dzień i jutro rano wyjeżdżam.

- Na jeden dzień?

- Dostałem telegram od taty o tym wypadku i urwałem się z kongresu. A jutro mam referat i zrobiłbym brzydką kawał memu profesorowi. A tu jak na razie nie jestem do niczego potrzebny. Można pożegnać panią Łabędzką?

Celina okazała lepsze serce niż Fela, wyrażając całe morze współczucia i najlepszych życzeń dla całej rodziny. Adaś nie okazał bynajmniej żalu z powodu rozstania i śmiał się całą buzią.

- Do widzenia - powiedziała Fela już w drzwiach. - Niech pan będzie spokojny o tych obu Prandotów! Nie zrobię krzywdy żadnemu!

- Bardzo, bardzo dorzecznym młodym człowiekiem - zagaiła Celina, kiedy w jakiś czas potem, już kiedy Adaś usnął, zasiadły do kolacji w jej pokoju. - Bardzo mi się podobało, że wyręczył cię przy małym. Szkoda,

że nie mógł zastać dłużej, na pewno i dla tej małej byłoby lepiej. Zdaje się, że ojciec sam wymaga opieki – dla starszego człowieka to ciężkie przeżycie.

- No, mają Konstancję - wtraciła Fela - ona da sobie ze wszystkimi radę. To przecież dla niej gratka.

- Jak to gratka? - zaniepokoiła się Celina.

- No bo ona tak się cholernie denerwuje, czy zdała! Po prostu skręca się. To bardzo głupia rzecz takie czekanie. A teraz ma czas wypełniony przez dobre uczynki i nie myśli o niczym.

- Rozumiem. - Celina otworzyła usta do jakiegoś pytania i zamknęła je bez słowa. Fela zrozumiała to z uznaniem.

- Ja się aż tak nie przejmuję - powiedziała. - Nawet nie wiem dlaczego.

Nie była to zupełna prawda i Celina o tym wiedziała. Ale ponieważ jej stanem normalnym było martwienie się, więc zaczęła się martwić tym razem o Felę. - Może niepotrzebnie wychwalałam tego chłopca - myślała. Przecież nie wiem, czy jednak Adam o niej poważnie nie myśli. Może, jak się zawiódł na tamtej, będzie wolał dziewczynę poważną, lubiącą dom i dzieci. A ona tymczasem zawróci sobie głowę tym chłopcem. Owszem, jest sympatyczny, ale nie podoba mi się to, że podrywa dziewczynę Adamowi! Niby jakim prawem? Wchodzi do cudzego domu i zaczyna od zwracania głowy dziewczynie. I Celina z irytacją wzruszyła ramionami.

Fela, która nie znała toku jej myśli, zaniepokoiła się.

- Chłodno pani?

- Nie, nie, Felinko. Czuję się doskonale. Ale ty już pewnie jesteś zmęczona.

- Ale skąd! A teraz tak dla pewności zmierzysz temperaturę i weźmie jeszcze jedną aspirynę.

- Doskonale! - powiedziała potulnie Celina, biorąc termometr. - Ale wiesz co? Odstaw te kwiaty na tamten stół. One tak mocno pachną, że mnie głowa rozboli.

Pachną? Fela zdziwiła się, bo drobne różyczki były w ogóle pozbawione zapachu, ale posłusznie odstawiła je dalej. Było jasne, że niewinne kwiatki popadły w niełaszkę. Ale dlaczego?

- Zajrzysz jeszcze do Konstancji? - zapytała Celina, kiedy już termometr jasno wykazał normalną temperaturę, a proszek został zażyty z wszelkimi ceremoniami.

- Chyba nie. Ona i tak wpadnie rano, a myślę, że miała ciężki dzień. Dobranoc.

Kiedy Celina została sama, sądziła, że zaśnie natychmiast. Ale jakoś nie mogła. Przez chwilę słyszała przez nie domknięte drzwi, że mały zaczął grymasić i Fela go uspokaja, aż wreszście usnął znowu. Cichutkie krzątanie się Feli po kuchni, łazience nagle rozczuliło ją. A może - pomyślała przyzymkając oczy - nie mam prawa odebrać jej tej szansy? Może Adam wcale o niej nie myśli, a ja ją zniechęcę do tego chłopca, który przecież jest dla niej zupełnie odpowiedni?

104

Rozdział trzynasty

Istotnie Konstancja przybiegła rano. Przyniosła świeże rogaliki, jeszcze ciepłe i pachnące, przyniosła również trochę nowinek, których najbardziej ciekawa była Celina.

No, więc tak. Lucynka już od wczoraj mieszka w hotelu, tak jak jej ojciec. Czuję się nieźle, ale jeszcze przez jakiś czas będzie miała jakieś zabiegi. Z nią, z Konstancją, już się zaprzyjaźniła. Bardzo się kocha z matką tego rannego chłopaka. Obie żyją tylko tą jego operacją, która ma być już za kilka dni. A on też jest fajny, ale niezbyt chętnie widzi gości. Nawet Lucynkę odsyła „na po operacji”. Tylko z jej bratem rozmawiał chętnie i jakoś się rozumieli.

- A ten ojciec Lucynki?

- Ach, prawda! Jest jeszcze i tata. No, ale on się tak bardzo nie liczy. Na początku zrobił z siebie idiotę, jak napadł na Daniela, no, na tego rannego. Szcześnie, że do niego nie dotarł, ale szalał na korytarzu jako tragiczny ojciec zamordowanych dzieci, a ten jego

kolega biegał dokoła i „poszczekiwał”. Nie wiadomo było, czy śmiać się, czy płakać. Nawet mama Daniela usiłowała zaaplikować mu relanium, ale prychnął nim jak oburzony lew. Dopiero jak wyproszonego tego kolegę, ordynator wziął go na rozmowę i tata wyszedł łagodny jak baranek. Teraz tak się pęta to tu, to tam i myślę, że jest mu po prostu głupio.

– No, trzeba zrozumieć człowieka – rzekła nieoczekiwanie Celina. – Starszy człowiek ciężko przeżywa taki szok. A jeszcze ten kolega! Ale chyba ty, Kociu, jakoś inaczej się do niego odnosisz?

– Nie mam okazji. On nam wszystkim po prostu schodzi z drogi. Celina nie powiedziała nic więcej, ale było widać, że jest zmartwiona. Dziewczyny poszły do kuchni poplotkować i przygotować śniadanie dla Celiny i małego, który już dopominał się, żeby się nim zainteresować.

Kiedy Konstancja pobiegła do swojej piekarni, kiedy śniadanie zostało zjedzone, a mieszkanie sprzątnięte, Celina stwierdziła, że może już wstać. Nie było przeszkód. Wzięła więc jeszcze jedną aspirynę, ubrała się i dłuższą chwilę posiedziała przed lustrem szcztokując z zapalem włosy. Widać było, że rozmyślała nad czymś głęboko.

– Wiesz, Felinko – powiedziała wreszcie – że trochę mnie to dziwi, że starszy pan Prandota tak się zupełnie nie interesuje Adasiem.

– Przysłał syna – stwierdziła krótko Fela.

– No niby tak. Ale przecież jeśli, jak mówi Konstancja, nic tam nie ma do roboty, nie jest do niczego potrzebny, to mogłyby chociaż chcieć się przekonać na własne oczy, czy mały wyszedł z wypadku bez szwanku i jak mu się tu powodzi! Ja nie mówię o żadnych podziękowaniach, broń Boże, ale żeby chociaż chciał się przekonać, w jakich rękach jest jego dziecko.

– Myślę, że o tym został dostatecznie poinformowany – rzekła Fela – a ponieważ ja mam dzisiaj duże pranie, to może lepiej, żeby nie miał takich wielkoświatowych zachcianek. Na razie wyskoczę po zakupy, a potem wezmę trochę Dudka na powietrze.

– Dudka?

– Tak go w domu nazywają. Wydaje mi się, że to nawet fajne.

– Podoba mi się. I nie będzie mi się mylić z Adamem. Słuchaj, a czy tych zakupów nie mogłaby zrobić Sabinka?

– Uchowaj Boże! Ja sobie dziś zaprojektowałam dzień bez Sabinki. Piękny dzień!

Ale dzień nie obył się jednak tak zupełnie bez Sabinki, chociaż aż do wieczora był wymarzonym dniem spokoju, drobnych, udanych zajęć gospodarskich, niespodziewanego zadowolenia, kiedy na spacerze chwalono zdrowie i urodę Dudka, i pełnych u-znania uśmiechów Celiny. Wszystko szło jak w zegarku. Dopiero wieczorem, kiedy już pranie schło w łazience, mały spał spokojnie, a Celina leżąc już w łóżku doradzała Feli zmianę uczesania na takie, w jakim jej, Celinie, było kiedyś bardzo do twarzy, ktoś zapukał cichutko do drzwi. Oczywiście była to Sabinka.

106

107

r

– Pani starsza już śpi? – zapytała świszczącym szeptem.

– Jeszcze nie, ale już leży.

– Tsss... Niech pani mówi cicho. To nie dla starszej pani takie nowiny.

– Ale co się stało?

– Stało się to, że niech pani ubiera dzieciaka i leci z nim do szpitala. Dobrze radzę.

– Ale co się stało? Dlaczego? Przecież mały jest zupełnie zdrowy! Co się stało, na Boga?!

– Niech pani nie krzyczy, bo pani starszej też to nie pomoże. Stało się to, że dziecko może już jest sierotą.

– Felinko! – zawołała słabym głosem Celina. – Stało się coś?

– Nic, nic! – zawołała pogodnie Sabinka, i dalej ciągnęła swym



przeraźliwym szeptem. - Stało się to, że jego ojcu nogę w szpitalu urznęli. Ot, co się stało. Pani sobie wyobraża, ile on krwi stracił? Nie każdy to przetrzyma. Może zechce dziecko przed śmiercią zobaczyć!

- Co pani... - wyjąkała przerażona Fela.

- No, mówię. Pani starszej ani słowa, dziecko zabrać i lecieć.

Mówię - i Sabinka majestatycznie zamknęła drzwi.

Fela stała chwilę nieruchomo, starając się jakoś zebrać myśli. Przez chwilę miała wrażenie, że gra w starym, niemym filmie. Zobaczyła napis w ramce z secesyjnych lilii: i chce dziecko przed śmiercią zobaczyć, usłyszała ciche dźwięki kwartetu skrzypcowego - i nagle oprzytomniała. Co ta baba plecie! - pomyślała -przecież to niemożliwe! Serce jej biło tak mocno, że musiała odetchnąć głęboko, żeby normalnym głosem odpowiedzieć Celinie, dopytującej się głośno, co się właściwie stało.

- Ja tej Sabince kiedy łeb ukrećę - powiedziała z głębi serca - ale na razie muszę coś dla niej załatwić. Ona wie, że się przyjaźnię z Konstancją i chce, żebym jej załatwiła ekstrawypiek dla jej rodziny. Już mi coś tam znaczącego napomykała. Jakiś ślub, chrzciny czy coś w tym guście. No, trudno. Polecę.

- Coś ty! - wykrzyknęła w chwilę potem Konstancja, ziewając szeroko, już gotowa do snu w swoim przytulnym, zagraconym pokoiku. - Co za melodramaty ci ta baba wygaduje! Skąd ona to wzięła? Pewnie zna jakąś salową z urazówki i ta jej naplot-

ła. A tymczasem tatuśko zdrów i cały frunął na dzień do Warszawy.

Dzięki Bogu.

- Ale skąd się wzięła ta plotka o uciętej nodze? Czy z tym chłopakiem tak źle?

- Źle jak źle, dobrze nie jest. Nogi mu na pewno nie utną, ale może kuleć do końca życia. Mało zabawne, co?

Na drugi dzień Sabinka błyszczącym okiem jednak wypatrzyła Felę, wracającą do domu.

- No i jak tam? Przeżył ten biedaczek?

- Wcale nieźle przeżył. Nawet wsiadł do pociągu i pojechał do Warszawy.

- Kto?!

- Ojciec Adasia.

- Eee... Pani mówi o tym starszym panu, o ojcu tej młodej. Ale to jej ojciec, nie tego małego. On się tylko tutaj za ojca podaje, żeby wstydu nie było. A prawdziwy ojciec, to ten, co ją wioził. Dlatego ten starszy tak na niego w szpitalu krzyczał. „Łajdaku -krzyczał - moje dzieci niewinne pozabijałeś"! Aż się wszyscy wystraszyli, z tej sali puciekali, milicja przyjechała, w kajdankach go zabrali i jak pani mówi, że do Warszawy, to pewnie go do sądu powieźli.

Fela patrzyła na Sabinkę jak urzeczona. Płonące małe oczka, rumieńce na policzkach. Sabinka była w natchnieniu. Duch poezji unosił ją wysoko ponad dachy ulicy Zarzewskiej.

No, no - pomyślała Fela - to chyba to jest twórczość ludowa, a nie chytrze skrobane kluchy z drewna czy seryjne wycinanki! I co za siła przekonania! Przypomniała sobie, w jakiej panice biegła wieczorem do Konstancji i mimo woli roześmiała się.

Sabinka zgasła. Jej uniesienie zwiędło i zamieniło się w urazę.

- Komu wesoło, a komu smutno - powiedziała sentencjonalnie, chociaż nie wiadomo, do kogo lub do czego miało się to odnosić.

- Zupełnie nie chciałam jej dotknąć - opowiadała później Kela Celinie - przecież to z siebie się śmiałam, nie z niej. Ale obraziła się. Nie na długo, oczywiście.

Był to przyjemny wieczór, po spokojnym dniu. Celina wyszła na pierwszy spacer, Dudek powiedział wyraźnie: „mama” - co

108

109

r

prawda nie wiadomo do kogo, ale zawsze, list od dużego Adama nie zawierał nic niepokojącego i nadawał się nawet do przeczytania Feli, obiad był udany, telefon milczał. Fela czuła się senna i przyjazna

dla całego świata.

~ Czy ciebie to nie dziwi, Felinko -- powiedziała nagle Celina - że tak jakoś nikt się nie interesuje Dudusiem? Rodzona siostra! Ojciec!

- No cóż! Wiedza, że jest w dobrych rękach. Tak ich upewnił Guccio. I Konstancja też ich uspokajała.

- No, tak - Celina była jednak pełna z wątpienia. - Ale żeby chociaż zapytali, chociaż zadzwonili. Ten młody człowiek to brat, tak? On, zdaje się, wyjechał. Ale ojciec?

~ Ojciec też się zjawił - powiedziała sprawiedliwie Fela - ale pani wtedy spała, więc przeprosił i poszedł. Ale niech pani powie prawdę, może ten mały pania męczy? Może wolałaby pani, żeby to jakoś inaczej urządzić? Nie wiem jeszcze jak, ale mogłabym pomyśleć.

- Ale skądże! Wcale mi nie przeszkadza, nawet bawi mnie to - ale myślę, że dla ciebie to jednak duży kłopot.

- Nie, żaden. Tylko widzi pani - mam nieustającą tremę -czy dobrze to robię? Czy mu coś nie zaszkodzi. Ale jednak to jest frajda, taki mały zwierzak. Nigdy nie myślałam.

- Lubisz dzieci?

- Bo ja wiem? Nigdy o tym nie myślałam. Ale tu nie chodzi przecież o lubienie, tylko o prostą przyzwoitość! Przecież się tego podjęłam. Celina spojrzała spod oka na Felę. Jakie te dzisiejsze dziewczyny są oschłe! - pomyślała. Była niezadowolona z siebie, że w ogóle zaczęła tę rozmowę.

Pela również nie była zachwycona. Czowała się skrępowana i urażona. Dlaczego nie powie wprost, że jest zmęczona tym niespodziewanym żłobkiem? - myślała. - Ma do tego pełne prawo. Ostatecznie, nie jest jeszcze zupełnie zdrowa i należy jej się trochę spokoju. I ja właściwie przecież po to tu jestem, żeby miała spokój. Spojrzała na Celinę i mimo woli roześmiała się, widząc jej strapioną minę.

Rodzony ojciec, siostra rodzona, rzucili dziecię u proga,

no

obce je teraz niańczy ramiona,

co będzie dalej na Boga?

To Sabinka, dzieła zebrane. Nie ma czym się przejmować, pani Celinko kochana! Naprawdę! Bierzmy przykład z Dudusia. On spokojnie je, śpi i jest niezmiernie z nas zadowolony.

- No, więc właśnie - podjęła Celina, pośmiawszy się grzecznie z domniemanej twórczości Sabinki - więc, czy to jest dobrze, że to dziecko tak się łatwo do wszystkich przyzwyczaja? Jakby mu było wszystko jedno, jakby zupełnie nie tęskniło...

- Oj ej ej ej! Widocznie jest łatwy we współżyciu. Przyda mu się to. Wolałaby pani, żeby chudł, mizerniał i ginął z tęsknoty za rodem Prandotów? Przecież to mały szczeniak!

- Ale Adaś w tym wieku...

- To był jeden Adaś, a on jest drugi Adaś. Nie może być tak doskonały jak Adam Pierwszy. W ogóle nikt nie może!

Celina roześmiała się. Właściwie każde przypomnienie Adama poprawiało jej natychmiast humor. I już w dobrym humorze zasnęła szybko.

Fela, zanim się położyła, poprawiła jeszcze kocyk małemu i przyjrzała mu się krytycznie, czy rzeczywiście jest on osobnikiem bez serca.

Leżał na wznak, z główką odwróconą bokiem ^ i piąstkami zaciśniętymi przy buzi. Chwilami spał i marszczył czoło i. wtedy piąstki otwierały się i zamykały, jakby coś chwycił albo po prostu biegał na czworakach. Felę ogarnęła nieprzeparta ciekawość, jak też wygląda jego sen? Dotknęła lekko małych palców. Szarpnął się, podniósł piąstki do brody i wymamrotał coś marszcząc nos. Był zły. Wyraźnie zły. Ba, starał się być groźny. Z kim walczył tak odważnie, komu się tak stawiał? Czy kiedyś, kiedy już będzie umiał formułować swoje myśli, będzie w stanie przypomnieć sobie ten sen? Ech, na pewno nie. Ale życzyła mu, żeby pokonał tego wroga. Był przecież taki nieugięty!

- Trzymaj się, Dudek! - szepnęła.

Na drugi dzień Konstancja nie zadzwoniła „skrzydełkiem motyla", jak mówiła, i nie przyniosła dla pani Celinie świeżych bułeczek na śniadanie. Fela trochę urażona wzięła koszyk i właśnie otworzyła

drzwi, kiedy prawie zderzyła się z tęgawą osobą w średnim wieku. Osoba również trzymała w ręku koszyk, ale wypełniony rumianymi rogalikami.

Ul

I

- Kocia bardzo przeprasza - powiedziała trochę zdyszana - ale nie mogła przyjść, bo ktoś do niej dzwonił, żeby przysłała do szpitala, tak że nawet ja ją dziś zastępuję w sklepie.

- Ależ nie trzeba było się trudzić! - zawołała uprzejmie Fe-la. - Właśnie miałam iść. A nie wie pani, co się stało?

- Nie mam pojęcia. Kocia krzyknęła: „Co za wariatka! Zaraz tam będę” i pobiegła. Ale bardzo jej zależało, żeby pani Ła-będzka miała jak zawsze te bułeczki, więc przyniosłam.

- Ogromnie dziękuję!

- Nie ma sprawy! Lecę! - zaświergotała osoba dziwnie wysokim, jakby dziecięcym głosem i cała w uśmiechach zniknęła tak szybko, jakby się uniosła w powietrze.

Wariatka? - rozmyślała Fela parząc kawę. - Kto? I co zrobiła ta tajemnicza wariatka? Ach, opowiem to wszystko Celinie, będzie miała o czym myśleć.

Celina trochę się zaniepokoiła, ale w gruncie rzeczy była mile podniecona, usłyszawszy o bliżej nie znanych komplikacjach. Bogiem, a prawdą wcale nie był jej potrzebny ten spokój, o który tak się starała Fela. Była już na tyle zdrowa, że zaczynała się nudzić i powikłania w życiu innych ludzi dawały jej złudzenie, że bierze udział w jakimś życiu burzliwym i nasyconym napiętościami jak w starym teatrze. Czuła się wtedy młodsza, silniejsza, miała swoich ulubionych bohaterów i w samotności dorabiała do istniejących sytuacji własne wersje, które zapewne bardzo by ich zadziwiły. Było to nawet bardziej interesujące od książek, gdyż ich akcja była już, niestety, kiedyś przez kogoś ustalona.

- A może byś, Felinko, dowiedziała się jednak, co się tam stało? - zapytała po śniadaniu. - Mogłabyś skoczyć na chwilę do szpitala. Ja popilnuję małego.

- Cokolwiek by się tam działo i tak nic nie pomogę - rzekła niechętnie Fela. - Konstancja da sobie doskonale radę w każdych okolicznościach. A ja muszę zabrać trochę na powietrze małego. Jeśli nawet ktoś zwariował, to nie powód, żeby on siedział cały dzień zamknięty w pokoju! Pani też powinna trochę wyjść.

Celina zdziwiła się. Wyglądało na to, że Fela ma własne zdanie i wcale nie jest taka potulna. Właściwie było jej trochę na rękę, że ktoś decyduje za nią, ale jednocześnie przemknęło jej przez myśl, że „w razie czego” Fela mogłaby bardzo krótko trzymać Adama. Czy to dla niego źle, czy dobrze? Postanowiła na razie poddać się opiekuńczym wymaganiom Feli, a po powrocie, kiedy Fela będzie zajęta, zadzwonić po cichu do Gucia, który na pewno wie wszystko najlepiej. Ale tymczasem, kiedy wróciły ze spaceru i niestety nie było wygodnej sytuacji, żeby po cichu zadzwonić do Gucia, najniespodziewaniej w świecie zadzwoniła Konstancja. Telefon przyjęła Fela.

- Sie masz! - krzyknęła, bo widać tam, skąd dzwoniła, panował hałas. - Flora przyniosła bułeczki? No, to fajnie. A jak ci się ona podoba?

- Jak te bułeczki.

- Mnie się też tak wydaje. A to przecież nie najgorzej.

- Słuchaj - przerwała jej Fela, widząc wlepione w siebie spojrzenie Celiny. - Co się dzieje? Czemu musiałaś tak nagle lecieć? Kto zwariował i dlaczego?

- Ach, to już by wsza sprawa. Wszystko w porządku. To ta mała wariatka wydzwoniła sobie taksówkę i przyjechała do szpitala, żeby oddać krew do operacji, bo ktoś się jej wygadał, że pewnie będzie potrzebna. Wściekli się tu na nią, bo narobiła zamieszania, i Gucio prosił, żebym ją odwiozła do hotelu i wyperswadowała głupie pomysły.

- To dziś ta operacja?

- Tak, chyba tak. Dziś albo jutro. Rzeczywiście szukają tej krwi,

bo to jakaś nietypowa grupa, ale przecież od niej nawet nie próbowali. Słuchaj! Muszę kończyć. Dzisiaj nie wiem, czy wpadnę, bo muszę tacie zrobić rachunki. Ale rano bułeczki będą. Pa!  
Fela zrelacjonowała rozmowę Celinie, która pokiwała głową ze zrozumieniem, ale nic nie powiedziała. Natomiast zaproponowała, że wydryluje wiśnie na kompot. Znaczyło to, że nie wie na razie, jaki ma mieć pogląd na szaleństwa Lucynki i rezerwuje sobie czas do namysłu. Romeo i Julia - czy nieodpowiedzialna smarkula?  
I tak wszystko było jak najlepiej. Celina była pogodna, maty odespał grzecznie swoje dwie godziny i gramolił się w swym

I

112

Odpowiednia dziewczyna

113

1

przemysłnym kojcu z zestawionych krzeseł, pranie schło w łazience i Fela poczuła niezmierną chęć przejścia się samotnie, wyparowania wszystkich nagromadzonych niepokojów, trosk i pretensji. Nie, wcale nie potrzebowała, jak Konstancja, nawału zajęć, które nie pozwoliłyby jej myśleć, co będzie, jeśli nie zda egzaminu. Przeciwnie, chciała o tym pomyśleć, gdyż jak wszyscy ludzie z natury tchórzliwi miała skłonność do natychmiastowego wystawiania się na każdą trudną sytuację, na każde niebezpieczeństwo, gdyż oczekiwanie było gorsze od wszystkiego. Więc co ma być teraz?

Zalóżmy, że zdałam - myślała, idąc burą ulicą, nad którą świeciło jeszcze turkusowe niebo, nakryte mgiełką drobnych, perłowych obłoczków - i co dalej? Było nad czym myśleć. Jak się utrzymać w obcym mieście? Dotychczas jakoś dawała sobie radę. Ale teraz? Na pomoc z domu nie tak bardzo można liczyć. Skądże! Co prawda rodzina jest sympatyczna, tak teoretycznie kochająca się, ale nadmiernie ruchliwa, a może nawet lekkomyślna, jeśli chodzi o układy rodzinne. Z jej trojga rodzeństwa ciągle ktoś się rozwodzi lub też zawiera z zasady nietrwałe związki małżeńskie, co oczywiście każdorazowo nadweręza nikłe i tak dochody starszych państwa. Kiedy Fela przyjeżdża z Warszawy na wakacje do rodzinnego domu, nigdy nie wie, czy rzucająca się jej na szyję dziewczyna jest koleżanką siostry, czy też nową bratową, czy całujący z wylaniem jej dłoń pan w średnim wieku to znajomy taty, czy nowy szwagier? I w dodatku nikomu to nie psuje humoru i niczym nikt się tak zbytnio nie przejmuje. Tylko ja się tak uchowałam. Ani jednego ślubu, ani jednego rozwodu. Ba, ale czy te moje zmiany studiów to też nie są śluby i rozwody? Przecież to są istotne romanse ze smutnym zakończeniem. A czy któryś będzie miał radosne zakończenie?

Rozdział czternasty

- Ależ oczywiście, że to twoja wina - mówi Konstancja do wciśniętej w róg fotela Lucynki. Lucynka patrzy na nią niedowierzająco, ale ton głosu Konstancji jest poważny, a nawet jakby trochę znudzony powtarzaniem tak oczywistej prawdy i Lucynka rozpogadza się.

- No wreszcie. Powiedz sama, jak nie mam wariować wśród tych pieszczoł! Pani Hania szczebiocze: „Ach, dziecinko, coś ty wycierpiała!” Ten dudek z redakcji: „Niech się pani nie boi! Ten smarkacz drogo zapłaci!” Tata, przecież rozsądny tata, ryczy: „Łajdaku, zabiłeś moje dziecko!” Mój brat klepie mnie po ramieniu: „Nie bój nic, mała, z tobą wszystko w porządku”, a doktor, doktor, który powinien patrzeć bezstronnie, uspokaja mnie: „Miała pani szczęście! Mógł cię niezłe wpakować, moje dziecko!” - tu Lucynka miała niejaką skłonność do chlipnięcia, ale się powstrzymała i mówiła dalej:

- A przecież jak już lecieliśmy na ten słupek, to Daniel zasłonił mnie sobą i cała szyba poszła na niego! I dlatego przecież ta noga... I jeszcze w dodatku on teraz nie chce mnie widzieć, ponieważ, jak mówi, chwilowo nieładnie się prezentuje. Taki kokiet!

- No, wyjątkowo przystojny w tej chwili nie jest. Ale to przejdzie. Natomiast wątpię, żeby był kokiet. Po prostu chce mieć święty spokój.

- Ale przecież pani Hania wyżebrała dla niego separatkę i nie chciał się przenieść!
- Jasne! Dopiero wtedy miałby na karku mamcie i ciebie!
- To wstętnie, że tak mówisz! Ja bym...
- Ty byś kwiliła nad nim tak, jak teraz kwilą nad tobą, co cię doprowadza do białej gorączki, mamcia by powtarzała mu wszystko to, co na razie szczebiocze tobie, i wygrażała lekarzom, do których on chce mieć zaufanie. A oni chcą go mieć do operacji

115

w dobrym stanie. Siedź cicho i nie histeryzuj. Zrozum, że ja mam jeszcze mamcie na głowie.

Lucynka niespodziewanie roześmiała się. Blado, co prawda, ale zawsze.

- Dziękuję!
- Nie ma za co. Nie jest to zbyt wysokie uznanie. Poza tym, jeśli już jako tako oprzytomniałaś, chciałam, żebyś mi pomogła.
- Ja? - zdziwiła się Lucynka.
- No, nikogo innego nie mam w tej chwili pod ręką. Więc musisz, w jaki chcesz sposób, zająć tak starszą panią, żeby nie sterczała wiecznie na korytarzu w szpitalu, korzystając z każdej okazji, żeby łapać za rękaw ordynatora albo chociaż Gucia.

Lucynka podniosła głowę i spojrzała na Konstancję.

- A ty? Ty nie robiłabyś tego w takiej sytuacji? Zawracanie głowy! I każdy z tych ważnych doktorków, gdyby chodziło o kogoś z jego rodziny, też by trzymał za poję kolegę operatora, tylko tyle, że nie w korytarzu, a w gabinecie lekarskim. Ale dobrze, wiem, o co im chodzi. Zrobię to. Ale za to ty będziesz obowiązana wiedzieć o wszystkim i mówić nam wszystko. No?

- Postaram się.

- Postaraj się, ale naprawdę. Więc na przykład...

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i Lucynka urwała. - Proszę - rzekła niechętnie, i do pokoju weszła wysoka osoba w zupełnie średnim wieku, która przed chwilą była przedmiotem ich rozmowy.

Lucynka spojrzała na nią i jak gdyby zobaczyła ją po raz pierwszy. Etatowa królowa sceny wyglądała teraz jak własna, ale starsza i uboga siostra. Była po prostu haniebnie zaniedbana, a jej nie umalowana twarz miała zastygły wyraz niepewności, zdziwienia i obawy, który, jak wiadomo, wprost prowokuje osobę za okienkiem czy za biurkiem do najbardziej bezlitosnego i chamskiego traktowania. Weszła i usiadła milcząc na krześle przy drzwiach. Konstancji zrobiło się głupio. Co ja tu robię? - pomyślała. - Jestem zdrowa jak koń i mój tata też czuje się nieźle. I pouczam je, jak mają się zachowywać rozsądnie i taktownie w zetknięciu z nieszczęściem, chorobą i kalectwem. Wszystko dlatego, żeby podziwiano moją energię i zaradność. Co za głupota!

- Czułam się naprawdę dość podle - opowiadała potem Konstancja Feli.
- Zachowałam się przecież mniej więcej tak, jak panna Howard, udzielająca dobrych rad pani Latter. Z podkulonym ogonem wróciłam szybko do szpitala, do siostry oddziałowej, która mnie ceni jako osobę energiczną i zaradną, której udało się nawet „przegonić mamcie”. W sposób energiczny i zaradny wymogłam na niej, że umożliwiła mi krótką rozmowę z Danielem, kiedy go przewożono z pokoju zabiegowego z powrotem na jego salę. „Synu, powiedziałam, nie wygłupiaj się i nie bądź taki cholernie dzielny i męski. Wszyscy to już zauważyli, docenili i podziwiają cię, ale prawdziwy mężczyzna jest dobry dla swoich kobiet”.

Spojrzał wtedy na mnie z nagłym zainteresowaniem. „Co się stało?”, zapytał. Niestety rzeczywiście nie wyglądał szczególnie ładnie. Te wszystkie bandaże i plastry... Widać było, że rzeczywiście „szyba poszła na niego”. Ale najgorsze było to, że jego mizerna, ściągnięta twarz wprost parowała starannie ukrytym strachem. On się po prostu bał! Bał się tak od wielu godzin i dni. Bał się wszystkiego: operacji i oskarżeń, widoku okaleczonej Lucynki i czułości mamy, które wyolbrzymiały jeszcze rozmiary katastrofy. Czuł się ogromnie nieszczęśliwy, ale i ogromnie winny, przypominał małego jeża, który,

złapany, skręca się w kolącą kulkę.

„Nie, nic nowego się nie stało”, uspokoiliam go, „byłoby tylko dobrze, żebyś uspokoił swoją mamę, że wszystko leci jak trzeba. Tutaj siostry ją strasza”, powiedziałam tak cicho, jak tylko mogłam. „Siostra oddziałowa opowiada jej niestworzone historie o twoim załamaniu nerwowym, wręcz atakach histerycznych”. „Co takiego?”, prawie krzyknął, dotknięty do żywego. „Ciii. Ona w to nie wierzy oczywiście, ale te wariatki robią sobie zabawę. Szczęściem Lucyna jest już zupełnie zdrowa i wścieka się na te brednie”.

Tyle na szczęście zdążyłam powiedzieć, nim przytelepała się do niego siostra oddziałowa. Ale to już wystarczyło.

„Dosyć, dosyć tych rozmów. Pacjent powinien dobrze wypocząć przed operacją”. „Właśnie? wypoczywam”, oświadczył stanowczo. - „Idź do doktora Grabowskiego, on wszystko załatwi”, zwrócił się do mnie. „Dziękuję ci za wizytę!” Brakowało tylko, że-

116

117

by dodał: „możesz odejść!” Była to zgrywa na cześć siostrzyczki, ale dobrze było, że miał chęć na zgrywę. Przeszłam jeszcze parę kroków przy wózku, który taszczyła siostrzyczka i wtedy nagle zapytał: „A co z Adasiem!” „Zdrow i świetnie mu się powodzi!”, odkrzyknęłam, bo siostra już otwierała drzwi do tej jego sali. Zdawało mi się, że się uśmiechnął i westchnął z zadowoleniem. Oczywiście wiedział, że Adaś wyszedł z wypadku cało, ale przyjemnie mu było to sobie jeszcze raz uświadomić.

Fela słuchała tej opowieści siedząc obok Celiny na tapczanie. Było trochę tak, jakby Konstancja opowiadała oglądany właśnie serial telewizyjny. Wszystkie te zdarzenia, pełne napięcia sceny i psychologiczne powikłania działały się gdzieś na ekranie, z którego spadł nie pasujący do akcji Adaś i znalazł się nagle na jej kolanach. Podrzuciła go lekko na kolanie, bo rzeczywiście siedział tu i patrzył na każdą z nich po kolei.

- No i co dalej? - zapytała Celina, właśnie jakby chodziło o następny odcinek.

- Chyba wszystko dobrze. Pani Hania w pełnym blasku poszła dziś do szpitala. Guccio kochany przestawił siostrzyczkę na właściwy tor i wizyta się odbyła. Poczekaliśmy pod drzwiami, usłyszałam, że się śmieją, więc wepchnęłam Lucynkę z zastrzeżeniem, że na pięć minut. Lucynka biedactwo namalowała sobie haniebne rumieńce, żeby przekonać Daniela, jaka to jest zdrowa. Na szczęście zupełnie obca pielęgniarka spojrzała na nią i zapytała: „Czy pani ma gorączkę”? Oczywiście przemalowałam ją i na salę weszła już jako umiarkowany okaz zdrowia. Ja już na nie nie czekałam i pobiegłam do domu, ale mam jeszcze wpaść do Guccia przed wieczorem.

- A co z tą operacją?

- Guccio mi tylko powiedział, że chyba będą mieli krew tej grupy, więc operacja może być nawet pojutrze.

- Sabinka na pewno będzie wiedziała - stwierdziła Fela. - Zapytaj jej, ona ci poda o wiele więcej szczegółów.

- A właśnie, Felinko - zaniepokoiła się Celina. - Co się dzieje z Sabinką? Nie była u nas ani wczoraj, ani dzisiaj.

- Sabinka ma „chrzcinki"! Pełne ręce roboty, zakupy, pranie, szal!

- Czyje, na Boga!

- Kleopatry.

- Klepki? Przecież ona ma już z osiem lat!

- Siedem! Ale z chrzcinkami czekano na wuja z zagranicy, który ma być ojcem chrzestnym.

- Tak, wiem. Sabinka ma brata, który był na saksach, czy na kontrakcie.

- Ten sam. O chrzcinkach wiem od Sabinki, bo pytała mnie, czy będzie mogła pożyczyć od nas palmę.

- Palmę? - zaniepokoiła się Celina. Wyhodowana przez nią niezbyt duża, ale piękna rozłożysta palma była miłą staroświecką ozdobą jej pokoju.

- Powiedziałam, że zapytam panią. Sabinka twierdzi, że jej brat przywykł za granicą do palm i czułby się bardziej swojsko. A poza tym chodzi o fotografię! Nowo ochrzczone dziecię w bieli na tle palmy! To jest to!

- Szepnij jej - rzekła z błyskiem w oku Konstancja - że ja mam białą niedźwiedzią skórę! Zdjęcie Kleopatry na białej skórze! Klasyka!

- Ksyka! - powtórzył z zachwytem Adaś, podskakując na kolanach Feli i śmiejąc się całym miękkim pyszczkiem, ponieważ one się śmiały, więc widać świat był dobry.

- No tak - powiedziała przeciągając się Konstancja - pogadały, pogadały, a ja muszę już lecieć do Gucia. Wieczorem mam odsiadkę z papierkami taty.

- Lubię Konstancję - stwierdziła w zamyśleniu Celina. - Ona jest taka pogodna, bez problemów. Czy nie nwsłisz, że jednak jest trochę dziecinna?

Fela spojrzała na Celinę, na jej ożywioną twarz z lekkimi ko-lorkami na policzkach i pomyślała, że starszej pani trzeba jednak trochę towarzystwa i małych, smacznych ploteczek. Konstancja była idealną partnerką do takich rozmówek. Jej miękka twarzyczka z pięknymi oczami, jej cienki głosik, to wszystko wytwarza od razu klimat ciepły, domowy, można powiedzieć, że uspokaja nerwy. Nikt nie wie, jaka zbuntowana dusza mieści się w tym skromnym futeraliku. A poza tym Konstancja wyraźnie lubi Celinę. Patrzy na nią z rozczuleniem, dogadza jej maleńkim upodobaniami... Zupełnie odpowiednia dla tego domu... nie, nie dziewczyna - panienka.

118

119

Fela westchnęła, ale bez cienia zazdrości. Cóż zrobić? Ona też lubi Konstancję!

Celina, ciągle jeszcze ożywiona i uśmiechnięta, dosłyszała to westchnienie. - Zmęczona jesteś, Felinko, pomogę ci przy małym. - I pomimo wszelkich protestów rzeczywiście pomogła. Okazało się, że, choć jest wątłej kondycji, wiele rzeczy robi o wiele sprawniej niż Fela. W dodatku Adaś był zachwycony tak liczną asystą przy kolacji i kąpieli, i wyraźnie kokietował Celinę, aż Fela poznała, co to jest blade widmo zazdrości i zdziwiła się.

Co za głupota! Przecież kiedy Celina miała za złe temu małemu, że jest taki łatwy ze wszystkimi, wyśmiałam ją i miałam rację! Ale jednak, kiedy Adaś wyraźnie dał do zrozumienia, że tylko do niej, do Feli, należy zaszczyt kładzenia go spać, poczuła wyraźną satysfakcję i od razu stała się bardzo miła dla Celinie, odsuniętej od tej uroczystości, czego jednak Celina wcale nie wzięła sobie do serca. Ten wieczór był cichy i spokojny. Po kolacji Fela zrobiła Celinie lekką herbatkę i usiadły wygodnie, milcząc, nie mając sobie właściwie nic do powiedzenia, ale pełne wzajemnej, cichej życzliwości. Tylko przez cienką ścianę dolatywały nie sprecyzowane hałasy z mieszkania Sabinki. Celina mimo woli spojrzała na palmę.

- Czy myślisz, że powinnam jej dać tę palmę?

~ Zobaczymy. Może się to jakoś rozejdzie po kościach. Ale z drugiej strony, czy nam się opłaci zły humor Sabinki?

- Bardzo dobry też się nie opłaca!

~ Nie myślmy o tym teraz! Może się jakoś ułoży! - westchnęła Fela, spragniona poczucia spokoju i zadowolenia. - Wie pani co? Za dziesięć minut jest w telewizji angielski horror. Popatrzmy?

- Doskonale. To takie wypoczynkowe! - ucieszyła się Celina.

Ekran telewizora zamigotał bladym blaskiem, potem zatańczyły ma nim ukośne, tygrysie pasy, aż wreszcie wskoczył bladej obraz, pokazujący grupę panów w średnim wieku, żywo gestykulujących. Panowie ci siedzieli w fotelach z niedbałym wdziękiem i wydawali się czymś zatroskani mimo atmosfery elegancji, jaka ich otaczała.

120

- Nie ma dźwięku! - zmartwiła się Celina.

- Już jest! - I rzeczywiście odziany w niepokalaną biel facet

krzyknął przeraźliwie na ekranie: „iż nie jest naszą winą, że młodzież nie garnie się do sportu”! - dalej słyhać było tylko cichutkie ujadanie mówcy, gdyż Fela zgoła grubiańsko dotknęła gałkę i odebrała mu połowę głosu.

- Sport - westchnęła Celina - żeby chociaż jakieś zawody!

- Ale przecież my czekamy na horror! Niech sobie ględzą, to ja przez ten czas ureguluję obraz.

Celina zawsze z pewnym niedowierzaniem patrzyła na manipulacje Feli przy telewizorze. Telewizor to była święta domena Adasia, chciał bynajmniej nie przejawiać zdolności technicznych. Celina uważała jednak, że mężczyźni po prostu rodzą się obdarzeni geniuszem technicznym, choć go niekiedy skrzętnie ukrywają. Nie przyznając się do tego Fela była podobnego zdania, ale jedyny w tej chwili mężczyzna w domu, niestety, odpadał w przedbiegach.

W końcu jednak udało się. Obraz raz za ciemny, raz za jasny uzyskał wreszcie odpowiednie natężenie i ostrość, dźwięk przestał ranić wrażliwe ucho Celiny (która mdlejącym głosem delikatnie pouczała Felę) i z urywków zdań obie dowiedziały się, że jest to konferencja dziennikarzy sportowych, poświęcona sprawie młodzieży w sporcie.

- No, trudno. Poczekamy, to się zaraz skończy.

Ale panowie na ekranie nie ustępowali tak łatwo. Każdy miał coś do powiedzenia, przeważnie to samo, co powiedział jego przedmówca. Na ogół skarżyli się na brak młodzieży chętnej do uprawiania sportu wyczynowego. Kto zastąpii starzejące się gwiazdy?

- Nie mają poważnego podejścia - zgromił nieobecna młodzież tłusty entuzjasta sportu. - Pobawić się piłeczką, pobiegać, popływać, to owszem. Ale jak przyjdzie do poważnego treningu, to topnieją. Siły charakteru nie mają. Sport to dla nich zabawa!

- A czy to źle? - zapytał ktoś z tych panów i Fela spojrzała odruchowo na ekran, bo głos wydał jej się znajomy. - Kolega Prandota ma głos - powiedział ze znużeniem wytworny blondyn, i jednak okazało się, że kolega Prandota nie ma głosu, przynajmniej na ekranie. Bo co prawda kamera wyłuskała go spomiędzy gromadki eleganckich panów i Fela poznała natychmiast szczupłą twarz z melancholijnymi oczami, ale obraz nie miał

121

I

dźwięku i nie wiadomo było, przy czym się mówca tak upiera. Widocznie nie miał jednak wiary we własne słowa, gdyż machnął ze zniechęceniem ręką.

- Czekaj, Felinko, to chyba ktoś znajomy!

Ale w tej chwili obraz zamigotał i na ekranie ukazała się plansza z napisem: „Przepraszamy za usterki”.

- Nie - potrząsnęła głową Celina. - Nie znam go. On tylko jest podobny do kogoś... Wiem! Do tego chłopca, który był u nas! Do brata Adasia. I nazwisko! Nie dosłyszałam, ale też było podobne. Może jakiś krewny - dodała bez zainteresowania. - Ale co z naszym horrorem?

Obraz na ekranie zamacił się znowu, potem wypłynęła z tej mgły złotowłosa spikerka w białej sukni, żywo przypominającej nocną koszulę i mówiła coś długo i przekonywająco. Co? Nie wiadomo, bo dźwięku nadal nie było. Jednak w konsekwencji tego przemówienia na ekranie ukazały się ruchome kombinacje figur geometrycznych, czyli montaż elektroniczny i buchnął przeraźliwy zgiełk muzyki. Zaczął się film, poczciwy horror, kołyszący do snu zmęczonych zwykłym dniem ludzi.

Fela siedziała wygodnie w miękkim fotelu i pławiła się w rozkoszy tajemnic i strachów w wielkim, nie istniejącym już świecie. Piękny stary zamek, cień karet, wierna służba wiotkiej lady, u-krywającej straszliwą tajemnicę starego rodu, groźny, lecz opiekuńczy upiór z zagadkowym uśmiechem na przystojnej, męskiej twarzy - ach, pobyc jak najdłużej w tym czarującym, zacisznym świecie, gdzie bać się jest tak przyjemnie!

Niestety jednak film się skończył. Wtedy obie zaczęły prześcigać się w niewinnych żarcikach, wyciągających na światło dzienne wszystkie



naiwności i niezręczności akcji. Należało to do rytuału i obu sprawiało przyjemność i satysfakcję. Zresztą po chwili były już najgłębiej przekonane, że film oglądały rzeczywiście tylko dlatego, żeby się z niego pośmiać.

Celina zasnęła błogo, ale Felę zatrzymało jeszcze małe pra-nko. Tym razem nie tylko rzeczy Adasia, ale i pani Celiny, gdyż mowy nie było, ażeby prosić o to Sabinkę.

- Pani widzi, co ja mam prania? - rzekła do Feli z odcieniem dumy.  
- Cała balia mleka! - i otworzyła szeroko drzwi, żeby Fela sama mogła zobaczyć.

122

Istotnie na środku kuchni stała balia, wypełniona do połowy mlekiem.

- Co to jest? - zapytała zdumiona Fela.

- Białe rzeczy pierę. Sukieneczkę dla Klepki kupiłam cud! Długa, ze srebrem, po ziemi się wlecze - zupełnie panna młoda. Ale przeprać trzeba. Czy ja wiem, po kim ona? Dzisiaj tyle tych modnych chorób za granicą! Niech coś złapie! A białe rzeczy tylko w mleku dobrze się pierą. Welon kupiłam z metra. To już pewne, że nikt nie nosił. Pantofelki na miarę zrobione, rajstopy białe, komunijne, od Mariolki z trzeciego pożyczam. Tylko jeszcze palma do rączki! A w tej sprawie to już na panią liczę.

- Jeszcze nie pytałam pani Łabędzkiej...

- To dobrze! - ucieszyła się Sabinka. - Bo to nie tylko o te pożyczenie chodzi, ale jeszcze, żeby jeden ładny liść obciąć, żeby Klepka miała go w rączce! Ten fotograf, co go ugodziłam, mówił, że to będzie bardzo piękne. Pokazał mi nawet fotografię obrazu, gdzie takie niewiniątka w bieli stoją i każde trzyma palmę. No co, pani Łabędzkiej szkodzi jeden liść?

Fela przypomniała sobie tę rozmowę, piorąc, co prawda nie w mleku, białe pieluszki. Parsknęła śmiechem, ale pomyślała jednocześnie, że kto wie? Może warto spróbować? Może to mleko, które kupuje, jest przeznaczone raczej do prania? Kiedy już skończyła, pomyślała, czy nie wpaść by na chwilę do Konstancji. Ale przypomniała sobie, że Konstancja siedzi teraz po uszy w rachunkach, więc poszła do swojego pokoju. Zdawało jej się, że jest trochę duszno, więc otworzyła okno i usiadła na parapecie.

Była już bardzo senna, ale dręczyła ją myśl o tym palmowym liściu. Nie może nawet wspomnieć Celinie o odcinaniu liścia od ukochanej, a i tak dość chudej palemki! Więc co? Wojna z Sabin-ką? Wzdrygnęła się na samą myśl. Iść do tego fotografa i wyperswadować mu ten obłąkany pomysł? Ba, nawet nie wie, który to fotograf, a przecież nie może pytać Sabinki. Poszukać na własną rękę palmowego liścia? Rzeczywiście! To jest myśl. Trzeba się przelecieć po kwaciarniach, takich gdzie robią żalobne wieńce. Przy bardziej reprezentacyjnych okazjach bywają wieńce z palmowymi liśćmi. Westchnęła z ulgą, zamknęła okno i położyła się spać. Myśl o palmowym liściu drażyła widać w jej macającej się świadomości, gdyż w półśnie ujrzała piękny, zielony liść palmy. Dziwne

123

.1

było to, że ten liść trzymał w dłoni biało ubrany tatuś Prandota i patrzył na nią smutnie, jak niewiniątka na obrazie u fotografa. Fela chciała się roześmiać, ale w tej chwili ogarnął ją mocniejszy Sen i zmył sprzed jej zamkniętych oczu ten piękny i wzruszający obraz.

Rozdział piętnasty

Wieńce z palmami robiła dopiero trzecia kwaciarnia, do której zawędrowała Fela na przydługim spacerze z Adasiem. I tu jednak wynikły różne nieprzewidziane trudności.

- My nie sprzedajemy pojedynczych liści - tłumaczyła starsza pani, przypominająca zmartwioną wronę. Jej okrągłe, czarne oczy były zupełnie nieruchome i chcąc spojrzeć na coś z boku obracała szybko całą głowę, pokazując z profilu długi, wąski i garbaty nos. - Nam liście są potrzebne do wieńców, chyba że pani kupi całą palmę, ale to drogie, bardzo drogie - mówiła ze smutkiem, do którego pewnie

przywykła, obsługując swych żalobnych klientów.

Fela była już zupełnie zniechęcona. A jednocześnie nie chciało się jej wyjść z kwaciarni, przepełnionej miłymi zapachami i odgradzającej ją od świata plataniną zieleni i kwiatów. Stała niezręcznie na środku, tarasując sobą i wózkiem wejście, co zdawało się denerwować małą wronkę.

– Ja pani coś poradzę. Można dostać liście z plastiku, zielone i srebrne w sklepach rzemieślniczych. Bardzo ładne! Zrobi sobie pani sama wianuszek według gustu. Może pani przyjść do nas po nieśmiertelniki. Mamy w różnych kolorach.

– Dziękuję pani – Fela powiedziała to z tak gorąco wdzięcznością, że wronę to rozbroiło. Ponieważ bardzo nieporadnie manewrowała wózkiem, chcąc go obrócić ku wyjściu, podeszła i otworzyła jej drzwi.

– Sierotka? – zapytała poufnie, wskazując dziobem na śpiącego błogo Adasia.

– Prawie – odparła Fela, kiwając kilkakrotnie głową, ruchem zaobserwowanym u Sabinki, który wyrażał zarówno smutek, jak potępienie dla świata w ogóle. – Tak, tak.

125

Czego ona tak lata po tych kwaciarniach? – myślał w tym czasie Prandota starszy, a nawet najstarszy, uśmiechając się jednocześnie do Celiny melancholijnym i pełnym zadumy uśmiechem. – I jeszcze w dodatku wólczy ze sobą tego biednego dzieciaka! – Te rozmyślenia nie były przeznaczone dla Celiny, z którą prowadził swobodną i pełną szacunku rozmowę towarzyską. Od rana pilnował, żeby Fela wyszła z domu, ponieważ był to najszczęśliwszy moment, aby godnej szacunku pani Łabędzkiej złożyć wyrazy gorącego podziękowania. Wizyta nie powinna być długa – raz, że nie wypada zajmować czasu słabowitej osobie, a dwa, że może nagle wróciła diaboliczna. Poza tym nie był w ogóle usposobiony do zwierzeń.

– Co za szkoda, że nie zastał pan Felinki! – mówiła z ożywieniem Celina, patrząc przychylnie na gościa, który przysiadł na brzeżku krzesła, zaznaczając w ten sposób, że istotnie wpadł tylko na minutkę. – Bo to przecież głównie Felinka zajmuje się pana synkiem. To właściwie jej powinien pan podziękować.

– Nie wątpię, że będę miał okazję... – powiedział lekko Prandota najstarszy. – Ale moja najgłębsza wdzięczność należy się przede wszystkim pani. Wiem od doktora Grabowskiego, że chorowała pani niedawno, a obecność dziecka w domu...

– Och, Adaś jest taki grzeczny. A jak się czuje pana córka?

– Już wszystko w porządku. Na szczęście to nie były bardzo ciężkie obrażenia – to mówiąc uniósł się trochę z krzesła, jakby zaznaczając, że bynajmniej nie chce fatygować starszej i słabej osoby i już odchodzi. Celina jednak nie zwróciła na to uwagi.

– To dobrze, to bardzo dobrze! A...? – urwała i zamknęła usta, bo nie była pewna, czy taktowne będzie pytanie o zdrowie chłopca, którego ten łagodny i dobrze wychowany pan chciał parę dni temu wsadzić do kryminału. To wspomnienie zachmurzyło trochę jej gładkie czoło, i gość to spostrzegł.\* Mrugnął nerwowo i podniósł się z krzesła na dobre.

– Tak. Wszystko to było okropne – powiedział niewyraźnie i nagle zaczął się śpieszyć. – Jeszcze raz najserdeczniej dziękuję pani, paniom – poprawił się – za tyle serca dla tego brzdąca. I oczywiście przepraszam za to zakłócenie pani spokoju... Zapewniam panią, że dołożę wszelkich starań, aby ta niedogodna dla pani sytuacja trwała jak najkrócej...

– Chce pan zabrać Adasia? – zdziwiła się Celina. – A dlaczego? Przecież o ile wiem, nie ma pan w tej chwili na to warunków, a nam dziecko zupełnie nie przeszkadza.

Gość ucałował jej rękę, wyszeptał jeszcze kilka zapewnień o swojej wdzięczności i chęci niezakłócania jej spokoju i wyszedł tak szybko, że Celina z niepokojem pomyślała, że może te wszystkie przejścia odbiły się niekorzystnie na jego zdrowiu.

Nie zauważyła bowiem, że w lustrze, naprzeciw którego siedział gość, widać było kawałek perspektywy ulicy, którą z wolna, popychając wózek szła w kierunku domu Fela.

Najstarszy z Prandotów przebiegł się jak zając, ale nagle uświadomił sobie, że jeśli będzie biegł przez podwórko, może zrobić wrażenie uciekającego włamywacza i, co za tym idzie, nie uniknie przymusowej konfrontacji z obu paniami. Ruszył więc krokiem będącym skrzyżowaniem niedbałej elegancji z popisami chodźiarzy na zawodach. Wyglądało to również na lekki atak lumbago. Kiedy skrył się już za rogiem bloku, przystanął

1 odetchnął kilka razy głęboko, po czym ruszył wolno ze zmieszczonymi brwiami, bezwiednie pogwizdując. Wyglupiłem tję, czy nie? - pomyślał.

Kiedy Fela weszła do domu, Celina wybiegła na próg swego pokoju z dobrze już Feli znanym odświętnym uśmiechem.

- Nie spotkałaś go? - zawołała.

- Kogo?

- Był tu przed chwilą! Myślałam, że wrócił razem z tobą.

- Ale kto?

- Ojciec Adasia!

Feli, która przed chwilą jeszcze miała przed oczyma luksusowe wieńce żałobne z palmami i bez - przemknęło przez myśl, że to nie ojciec dużego Adasia, że to duch małżonka nawiedził Celinę i stąd ten blask w jej oczach. Ale zobaczyła stojący na stoliku wazon pełen herbacianych róż i wszystko stało się jasne.

- To ładnie - powiedziała z rezerwą. - Czy poklepała go pani po ramieniu?

- Ale... dlaczego?

- Nic, nic. To z innej opery. No, to miło z jego strony.

- Bardzo żałowałam, że ciebie właśnie nie było w domu. No, i naturalnie Adasia. Ach, mój Boże! Tak się szybko pożegnał, że

126

127

zapomniałam zupełnie zaprosić go, aby przyszedł zobaczyć dziecko!

- Przyjdzie - mruknęła Fela. Ta wizytacja nas nie minie. Ale na razie mamy gorszy klops! - i tu wysypała przed Celiną cały worek nieszczęść i komplikacji, związanych z palmami w ogóle.

- Ona nigdy w życiu nie zgodzi się na sztuczny liść! Sabinka jest kuta na cztery łapy i powie, wznosząc oczy do nieba, że Pan Bóg nie da się oszukać, mając oczywiście na myśli zagranicznego wuja.

Celina załamała ręce i spojrzała na swoją palmę. - Wyhodowałam ją z pestki. Rosła razem z Adasiem. Kiedy wyjeżdżaliśmy, oddawałam ją „na pensjonat” do ogrodnika. Kiedyś chorowała i kupowałam specjalne lekarstwa do podlewania. Taka jest zgrabna! Przecież gdyby jej obciąć liść, to byłaby po prostu kaleką!

- To w ogóle nie wchodzi w grę! Nie dajmy się zwariować!

- Czekaj, Felinko, a może Konstancja coś wymyśli? Ona taka energiczna i zaradna!

- Konstancja? - Fela poczuła jednak małe ukłucie zazdrości. - Konstancji nie było dziś u nas. Bułki przyniosła Florcia. Przecież damy sobie radę bez Konstancji. Ona ma teraz tyle zajęć, że chyba w ogóle zapomniała o terminie ogłoszenia przyjętych.

Celina spojrzała na Felę ze zdziwieniem. O co chodzi? Ale tylko odpowiedziała: - Oczywiście, że dasz sobie radę równie dobrze, tylko że Konstancji po prostu łatwiej, bo biega po mieście, a ty jesteś uwiązana przy domu i przy dziecku!

Fela roześmiała się. - Nie jestem uwiązana. Po prostu przyzwyczałam się. Zdaje mi się, że jak mnie nie ma, to wszystko idzie nie tak, jak trzeba. Popadłam w megalomanię, ot co! A na razie nie istnieje dla nas Sabinka w gaju palmowym. Za to trzeba pomyśleć o obiedzie itede. Przy obiedzie, kiedy mały spał spokojnie i można było wypić małą, bardzo lekką kawę, Celina popadła w natchnienie.

- Wiesz, Felinko - powiedziała, patrząc przy tym z upodobaniem na różę - zdaje mi się, że mam pomysł.

- Jak Konstancja?  
- Jak Konstancja. Musisz tylko, moja złota, skoczyć do Gucia.  
Chodzi o palmę. O ten liść. Ty, zdaje się, nie byłaś nigdy u Guciów?

128

MUZEUM

TODMKÓW

• » \*

\* #1

• V;\*

nS-lL |'..|: |...|te

."»•

» i •

< • \* \*

- Nie złożyło się.

- A tymczasem ja zupełnie zapomniałam o Muzeum Podarków

Przechodnich u Gucia.

- Jakie muzeum?

- Podarków Przechodnich. To genialna Malinka wpadła na ten pomysł.

Gucio, jak każdy lekarz, dostaje często od swoich pacjentów najrozmaitsze podarki. Nie ma na to żadnej rady, bo po wyleczeniu dziecka każdy czuje wewnętrzną potrzebę wyrażenia jakoś swej wdzięczności. W ten sposób Guccio dorobił się gigantycznej kolekcji wazonów oraz obrazów, ale to jeszcze nic! Guccio dostał dwa kanarki, perskiego kota i doga arlekina. Alabastrowa Wenus na słupku, która ozdabia apartament Sabinki, pochodzi właśnie z muzeum.

- W jaki sposób?

- Guccio udostępnia swoje muzeum przyjaciołom. A ty przecież wiesz, ile razy człowiek znajduje się w sytuacji przymusowej, kiedy musi dać jakiś podarek. Człowiek skręca się po prostu i nie może znaleźć nic odpowiedniego! No, i pieniądze! A w muzeum Gucia znajdzie zawsze coś odpowiedniego.

- Ale gdzie oni to przechowują?

- Mają duże mieszkanie, a przy kuchni, jak to w starych kamienicach, jest taki pokoik bez okna. Tam się mieści muzeum. W zeszłym roku jeden z przyjaciół Gucia, zapalony myśliwy, znalazł tam piękną głowę jelenia z rogami. Powiesił dumnie u siebie w domu na ścianie, a Malinka potem przez cały okres polowań miała zające na niedzielny obiad.

- Ale jeśli nie będzie palmy?

- Nie strasz mnie. Coś tam będzie.

Wizyta została w końcu uzgodniona telefonicznie, ale Guccio, zażądał, żeby Fela przyszła z małym, to go przy okazji obejrzy.

No, dobrze. A nawet lepiej, niż Fela myślała, bo Celinę nawiedzili niespodziewani goście – para przyjaciół w jej wieku. Goście powrócili z Francji, gdzie byli prawie rok i spotykając w przedpokoju Felę z Dudusiem, wzięli ją za synową i wnuka Celinę.

Kiedy już się wszystko szczęśliwie wyjaśniło, Fela wyszła z wózkiem Adasia na podwórko. Musiała na chwilę się zatrzymać, bo mały zgubił pantofelek i trzeba mu było go nałożyć.

130

- ...rzeczywiście miła dziewczyna i niebrzydka – mówiła przyjaciółka Celinę. – Ale nie wmawiaj jej Adamowi.

Brrr... Biedny Adam – pomyślała Fela i korzystając z chwili czasu zajrzała do piekarni. Za ladą siedziała Flor-  
cia.

- Naszej Koci nie ma! – zawołała. – Wpadła na minutkę, coś tam zjadła jednym zębem i poleciała. Ale chyba niedługo wróci.

- Nie, nie będę czekała. Idę z małym do doktora. Może wpadnę wieczorem. – I poszła dalej wolno, przyglądając się Ada-siowi, czy zrobi dostatecznie dobre wrażenie na Gucciu. Wystroiła go na tę wizytę i z wielkim zadowoleniem stwierdziła, że mały wygląda zdrowo i raźnie.

Kamienica, w której mieszkał Guccio, miała piękną, secesyjną fasadę, mocno jednak wyszczerbioną przez czas i zaniedbanie. Szeroka brama,

projektowana prawdopodobnie również w przewidywaniu wjazdu karet, miała po obu stronach szklone podwoje, prowadzące na klatki schodowe. Na szczęście były tam również windy, co bardzo ułatwiało dotarcie wózkiem na trzecie piętro. Winda, która otwierała się kluczem, wiszącym obok na łańcuszku, po prostu zachwyciła Felę. Było to skrzyżowanie świątyni dumania z pagodą kursujące w leju z drucianej siatki. We wnętrzu znajdowała się kanapka z purpurowego pluszu i oślepię ze starości lustro, a matowa szyba w drzwiach ozdobiona była przejrzystym rysunkiem tańczącej nimfy, trzymającej w dłoniach przejrzystą tarczę. Podróż na trzecie piętro przebiegała więc w warunkach luksusowych, dodając do tego jeszcze wycie i skrzywienie zabytkowego mechanizmu.

Między obojgiem drzwi na trzecim piętrze znajdowała się półokrągła nisza, w której wyginała się wdzięcznie skromnie odziana bogini, dzierzżąca znicz, z którego ciekawie wyglądała słaba żarówka. Mimo jasnego dnia światełko tliło się, prawdopodobnie sumptem Gucia, aby ewentualni pacjenci mogli przeczytać tabliczkę na drzwiach. Na szczęście, jak objaśniała tabliczka, nie był to dzień przyjęć Gucia i Fela zadzwoniła. Czekwała dłuższą chwilę, zanim w przedpokoju rozległy się człapiące kroki i drzwi otworzyły się szeroko.

131

- Witam, witam! - zawołał Gucio, tak różowiutki, że Fela zaczęła przypuszczać, że jej dzwonek zerwał go z zasłużonego snu. Przypuszczenie to ugruntowało się, tym bardziej że Gucio miotał się jakoś bezradnie po przedpokoju, jakby nie mógł się zdecydować, które drzwi ma otworzyć, aż wreszcie przez wielkie, dwuskrzydłowe wrota wprowadził ją do salonu.

Fela rozejrzała się i serce jej zabiło. W głębi salonu, w oszklonej wnęce imitującej wykusz, stała ogromna palma, a za nią, już na tle okien skromnie pętało się kilka mniejszych, najrozmaitszego kształtu. To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, i Fela głosem zdławionym ze wzruszenia szybko wyjawiała Guciovi właściwy cel swego przybycia.

- To się świetnie składa, moje dziecko - zgodził się natychmiast Gucio. - Ale ja wiem, że przy takich okazjach rodzina oczekuje jakiegoś prezentu dla dziecka. Może by pani poszukała w naszym muzeum? Pokażę pani, gdzie to jest, a przez ten czas zbadam małego u siebie w gabinecie.

Kochany Gucio! Co za skarby mieszczą się w tym maleńkim pokoiku! Kryształowy! Powódź kryształów, prawdziwych i udawanych. Wazony, misy, popielniczki! Wypchana wiewiórka? Kałamarz z orłem na pokrywce? Makatka haftowana na aksamicie'. ' Wielki pierrot na kanapę? Obraz, przedstawiający ruiny Koloseum? I drugi z ułanem i dziewczyną? A tutaj? To jest chyba to! Pozytywka w kształcie małej skrzyneczki, na której rosną alpejskie szarotki i stoi maleńka huśtawka z bujającą się dziewczynką w szwajcarskim stroju! Po prostu szal. W dodatku to cudo stało na wielobarwnym, lakierowanym pudełku, stanowiącym eleganckie opakowanie. No i czego chcieć więcej?!

Fela wzięła ostrożnie to cudo i wycofała się ostrożnie do salonu. Zrozumiała, dlaczego w muzeum znajdowało się tyle kryształów, w salonie bowiem na pewno nie zmieściłoby się ich więcej. Kryształowy wazon na fortepianie, kryształowa popielniczka na stoliku, kryształowa patera na drugim stoliku dźwigała stos kolorowych pocztówek od przyjaciół z całego świata, za szybą serwant-ki lśnił komplet kryształowych kieliszków i kryształowa gondol-ka na cukierki. Zrozumiała również, dlaczego reprezentacyjną ścianę zdobi olejny obraz, przedstawiający czarnookie odaliski, wdzięczące się do czarnobrodego sułtana. Obraz w masywnej złotej ramie miał najmarniej trzy na cztery metry i w żaden sposób nie zmieściłby się w muzeum.

Fela stała przez chwilę, pogrążona w rozmyślaniach. A co ma być z tym palmowym liściem? Dla pewności obejrzała starannie mniejsze palmy rozkładające zachęcająco szerokie, klasyczne liście. Nie wiedziała, czy ma czekać na Gucia w salonie, czy też on czeka na nią w swoim

lekarskim gabinecie, i za którymi drzwiami ten gabinet się znajduje. Wyszła do przedpokoju i rozejrzała się. Było tam kilkoro drzwi i wszystkie pozornie jednakowe. Jedne na pewno nie wchodziły w grę z racji licznych, kolorowych nalepiek, w jakich kocha się młodzież w wieku lat dziesięciu. Był to na pewno pokój tak zwanych szczeniaków. A inne?

No, nie może przecież stać tu tak w nieskończoność? Gucio chyba zapomniał o jej obecności, ale w takim razie gdzie jest Adaś? Za najbliższymi drzwiami usłyszała nagle jakąś cichą rozmowę, hałas odsuwanej krzesła i kroki. Zapukała zdecydowanie w te drzwi. – Panie doktorze... – powiedziała niepewnie.

Drzwi uchyliły się i Gucio wyjrzał. – Acha – powiedział – to chodzi o ten liść! A wybrała pani sobie? Niech pani idzie do salonu, ja tam zaraz przyjdę z lancetem. Bo to trzeba delikatnie obciąć.

Lancetem? – pomyślała Fela, ale posłusznie poszła do salonu. Po paru krokach zatrzymała się. – Panie doktorze – zawołała w stronę zamkniętych drzwi – a Adaś? Co z Adasiem?

Gucio wyjrzał znowu przez uchylone drzwi. – Ciii – powiedział z palpem na ustach. Mały śpi. A my sobie tymczasem obetniemy ten listek! – to mówiąc zamknął za sobą drzwi, podszedł do Feli i ująwszy ją pod łokieć zaprowadził do palmowego gaju w salonie.

– Ten się pani podoba? No to go ciachniemy – powiedział pogodnie i zręcznie dokonał operacji.

– A pani Malinka? – krzyknęła Fela. – Czy pani Malinka nie będzie mi miała za złe...?

– Malinka nie jest małostkowa. Najchętniej dałaby pani całą palmę, bo a nuż dostaniemy jeszcze jedną? A co pani znalazła na ten podarek? – Fela usłyszała, że w głębi mieszkania trzasnęły jakieś drzwi.

Trochę się zaniepokoiła ze względu na małego. – Ktoś przyszedł? – zapytała. – Nie, nie. Nic takiego. No, niech

132

133

pani pokaże ten podarek – zaczął Gucio, biorąc do rąk pozytywkę.

– Pięknie! To się spodoba! A już myśleliśmy, że się nigdy tego nie pozbedziemy!

– Panie doktorze – przerwała Fela. – A co z Adasiem? Jak go pan znalazł?

– Adasia? Na pewno znakomicie! Zaraz go zbadam. – A widząc zaskoczenie Feli dodał: – Bo widzi pani. To właściwie była zupełnie inna historia.

– Jaka historia? Co jest z Adasiem?

– Zaraz. Wszystko jest w najlepszym porządku, czego się pani zlekła? Po prostu ojciec chciał zobaczyć Adasia, co chyba jest zupełnie naturalne! Jak mi pani Celina zatelefonowała, że pani wpadnie, to pomyślałem, że to się ślicznie składa. Rzeczywiście chcę zbadać małego, ale przy tej okazji niechże go zobaczy jego ojciec. Bo tak się dziwnie składa, że go dotąd nie mógł zobaczyć.

– No... – zaczęła niepewnie Fela.

– No, właśnie, właśnie. A że ja chciałem pana Prandotę zbadać i prosiłem go dziś do siebie, więc to się wszystko ślicznie złożyło.

– On jest chory? – zapytała Fela, czując cień wyrzutów sumienia, że być może znęcała się nad chorym człowiekiem.

– Chory? Nie. Ale trochę go trzepnęło to oddanie krwi. Myślę, że wzięli trochę za dużo. Tylko że sytuacja była przymusowa. Bardzo trudno o tę grupę, a nie chcieli już dłużej czekać z operacją. Więc jak się zgłosił, że ma właśnie tę grupę, to pobrali i mogli już operować.

– Tego chłopca?

– No właśnie. Jego operacja przeszła ślicznie, da Bóg, nie będzie komplikacji i już po strachu. – Mówiąc to Gucio przeszedł razem z Felą do tak zwanego gabinetu, czyli mełego, białego umeblowanego pokoju, w którym przyjmował pacjentów. Adaś siedział na małym foteliku, zabezpieczony od upadku taśmą, spinającą poręczę. Był

całkowicie zaabsorbowany pluszowym misiem, który przewracał okrągłymi oczami, otwierał pyszczelc i poruszał łapkami, w zależności od tego, jak go się trzymało.

- Ooo! - zawołał z dumą do Feli.

- Tata dał dziecku misia - powiedział Grucio tym specjalnym, sztucznie pieszczotliwym tonem, jakim doktorzy mówią do małych dzieci. - No, a teraz, kawalerze, zobaczmy, jak się sprawujesz - to mówiąc zręcznie wyłuskał małego ze szmatek i zaczął normalne badanie.

- No to jakby wszystko w porządku - orzekł w końcu. - Zdrów chłopak. Wytrzyma z nim pani jeszcze trochę? Bo ojciec gotów byłby go zabrać, ale to w tej chwili taki dom wariatów, że wolałbym, aby został jeszcze trochę u pań, jeśli to oczywiście możliwe.

- Naturalnie, że możliwe. Niech mu pan wybiję z głowy takie pomysły!

- Gdyby nie to, że nasze chłopaki złapały na wsi odrę, to nie byłoby całego kłopotu. Malinka wzięłaby go do leśniczówki. Ale teraz to niemożliwe. Ta mała, Lucynka, powinna Bogiem a prawdą pojechać na trochę do Konstancina i tam wydobrzeć do reszty. Sam Prandota nie da sobie rady z dzieckiem, a ich gosposia jest na urlopie gdzieś w Bieszczadach. No i co ty na to? Ale pech!

- Nie ma sprawy. Jeśli tylko pani Celina...

- Ona tak, ale dla ciebie, moja panno, to robota.

Fela wzruszyła ramionami. - Nie wiem, czy Konstancja panu mówiła, dlaczego tak chętnie zgłosiła się, żeby panu pomóc w tym całym zamęcie?

- Ten egzamin? Tak. Mówiła. Ale pani, moje dziecko, podobno jest bez nerwów.

- Częściowo. Przynajmniej robię na szczęście takie wrażenie. No i dobrze. Ale, panie doktorze, co będzie dalej z tym Danielem? Nic mu już nie grozi? Będzie normalnie chodzić?

- Rokowanie jest dobre. Oczywiście, że to potrwa, ale w każdym razie najgorsze ma za sobą. Doktor Witkowski pozwolił nawet, żeby jego matka została przy nim na noc. Właściwie to niepo-trzebne, ale jeśli to ma ją uspokoić!

- Ojej! - zawołała Fela, spojrzawszy na zegarek - ale późno! Już leczę. Zbieraj się, Dudek.

Zajrzeli jeszcze do salonu po wspaniałe dary dla Sabinki. - Niech pani zawinie liść w wilgotną ligninę, to się ślicznie przechowa! - doradził Gucio. - I jeszcze jedno! A byłbym zapomniał i dopiero byłaby opera! Droga, kochana pani Felinko - ani sło-

134

135

wa, ani mru-mru o tym, że tata Prandota dał krew do operacji!

Obiecałem mu to święcie i rozumiem go doskonale.

Fela kiwnęła ze zrozumieniem głową. Cała historia wydała jej się zarówno rozczulająca, jak i śmieszna.

Wyszła z małym zamętem w duszy i odetchnęła z zadowoleniem, widząc na fasadach starych kamienic jaskrawe słońce późnego popołudnia.

Naprzeciw, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się duża wystawa sklepu cukierniczego, na której, pośród innych wyrobów, królował wspaniały tort, nadnaturalnej wielkości, ozdobiony pośrodku cukrową figurą kosyniera, stojącego na jednej nodze, podczas gdy druga, zgięta w kolanie, zaznaczała bieg kosyniera ku polu chwały. Jego twarz zaś wzniesiona ku górze miała wyraz nieugiętej dzielności, ale narysowane czekoladowym lukrem oczy wyrażały bezbrzeżną melancholię. Był to pomnik bohatera w ogóle jako takiego! I wywołał u Feli natychmiastowe skojarzenie z utkwionym w niej melancholijnym i zdumionym zarazem spojrzeniem, kiedy zatrząskiwiała drzwi przed nosem, jak się teraz okazało, cichego bohatera.

Oczywiście, że postąpił przepięknie, ale po co ten cały teatr!

Wzruszyła ramionami i skręciła energicznie wózkem w stronę przejścia na drugą stronę ulicy. - Oczywiście mogę go poklepać po ramieniu, jak sobie życzy dobry syn, czemu nie? Ale jak mam to zrobić, gdzie w tej chwili znajduje się ramię zdematerializowanego bohatera?

W tej chwili poczuła jakby gwałtowne szarpnięcie, wózek zaczął się toczyć tak szybko, że nie chcąc go wypuścić z rąk, zaczęła biec, uderzenie powietrza za plecami zarzuciło jej włosy na twarz, jakiś twardy przedmiot popychał ją za ramiona do przodu, słyszała jakieś krzyki - aż wylądowała na przeciwległym chodniku, zdyszana, ogłupiała, w jednym tylko pantoflu, bo drugi zgubiła nie wiedząc kiedy, wpatrzona tylko w wózek, w którym niewinny aniołek zaśmiewał się podskakując na pupie i wołając: buuu!

- Spokojnie! - powiedział czyjś głos obok niej. Już wszystko dobrze. - Nic się pani nie stało? - zapytała jakaś kobieta. - A to maleństwo! - Do kryminału takiego! - krzyknął gromko młody człowiek, który stał obok gryząc beztrudnie słomkę.

- Co to? - zachrypiała Fela, bo w gardle jej zaschło, i nagle poczuła spóźniony strach. Było jej zimno i patrzyła na otaczających ją ludzi cielejącymi oczami.

- Jechał taki łobuz setką albo i więcej, byłby panią rozniósł razem z dzieciakiem. Na pasach! Dobrze, że ten pan był przytomny i zgarnął mu panią sprzed nosa. Ale niewiele brakowało!

- Pan? - zapytała z wdzięcznością Fela, patrząc na młodzieńca ze słomką. Ale on wzruszył ramionami.

- Byłem za daleko. To nie ja, to ten, co teraz szuka pani pantofla na jezdni.

Fela dopiero zauważyła, że jedną nogę ma bosą. Obejrzała się za drugim pantoflem, ale już właśnie ktoś jej go wkładał na nogę. Ogarnął ją nerwowy śmiech. Przecież to scena z Kopciuszka? Królewicz znalazł zgubiony pantofelek!

- Idiotka! - powiedział ze złością „królewicz”. - Gapić się na jezdni!

Podniósł głowę i spojrzał na nią z pretensją oczami stroskanego ojca i bohaterskiego kosyniera. To był Prandota najstarszy.

136

Rozdział szesnasty

„. ~ No i tak, zachciało mi się dodatkowych zajęć - wykrzyknęła z irytacją Konstancja, kiedy wbrew wyczajom wpadła późnym wieczorem do Celiny. - Po prostu urwać się można! I to dziewczysko, ta nasza Małgośka, mówi do mnie jak gdyby nigdy nic: „Panu starszemu to nie zrobi różnicy! Muszę wyjechać, przecież tylko na miesiąc, z moim Darkiem. Sam by nie pojechał”. A najgorsze jest to, że tata rzeczywiście się zgodził. „Niech sobie jada”, mówi. „Niech coś zobaczą, to im się potem przyda”. Tata to gorzej od dziecka! I czy oni po miesiącu wróca? Tak się to mówi. Ja tej Małgośce nie wierzę.

- A może twój ojciec zrobiłby sobie na ten miesiąc urlop? - zapytała szczerze przejęta Celina.

- Niemożliwe! Ma już wszystko załatwione na wrzesień. I to! ja sama tak chciałam. No, trudno. Na szczęście nie mam już tego Urwania głowy z Lucynką.

- No, więc właśnie - powiedziała Celina, chcąc zmienić temat. - Więc mówiłaś, że operacja się udała i Lucynka już czuje się zupełnie dobrze, i ta biedna matka tego chłopca się uspokoiła. Ale przecież ty zrobiłaś dla nich ogromnie dużo! Czy teraz nie mogłyby jakoś ci pomóc!

- W czym - roześmiała się Konstancja i wzruszyła ramionami. - Będą wypiekać rogaliki czy siedzieć za ladą?

Fela, słuchająca dotychczas dość apatycznie, spojrzała na Konstancję. No, tak. Konstancja nawet szczerze lubiła te swoje obie podopieczne, ale nie traktowała ich serio. Śmieszne! A może " jest w tym trochę racji? Może ten cały zamęt i teatr one uważał, po prostu za jedynie właściwe zachowanie w tej sytuacji, bo taki wzory podsuwała im literatura i film? A Konstancja? Czy ona ti układnie grała swoją rolę w tym filmie, czy też była widzem? Ch ba tak. W końcu przecież oprzytomniła je jakoś. No i dobrze.

- Ale ja mam jeszcze inny klops - mówi dalej Konstancja. - Nie wiem, jak to będzie z tym ciastem dla Sabinki. U nas teraz będzie z wypiekami bardzo kiepsko. Boję się, że nic ekstra się nie zmieści.



No, może placek z kruszonką. Ale tort! Wykluczone!

– Ajajaj... – zmartwiła się Celina – Ale ty się tym nie przejmuj. My to jakoś z Sabinką załatwimy.

– A może by można po prostu kupić jakiś tort?

– Niestety. To ma być tort na czterdzieści osób, z figurą na środku.

– Figurą? Jaka figura?

– Odpowiednią. Tak mi powiedziała Sabinka. Figura ma wyrażać radość rodziny z przybycia drogiego gościa z zagranicy, z jakimś dodatkiem uczuć patriotycznych w ogóle.

– Ach! – zawołała Fela – przecież ja dziś widziałam coś w tym guście! – I opowiedziała im o torcie z kosynierem, przemilczając jednak cały dalszy ciąg zdarzenia. To przecież w żaden sposób nie należało do sprawy tortu dla Sabinki.

– Ja go znam, tego cukiernika. Jego dzieci chodziły ze mną do szkoły, i tata też go zna – zawołała Konstancja. – Już wiem: poproszę go, żeby zrobił taki tort dla Sabinki.

– Z kosynierem? – zapytała z powatpiewaniem Celina.

Spojrzały po sobie niepewnie. – Może z husarzem? – zaryzykowała Fela.

– Też patriotycznie i elegancko. – Ułan! – wykrzyknęła Celina. – Ułan jest dobry na Każdą okazję. – Ale

prawa pozostała nie rozstrzygnięta, gdyż Konstancja zauważyła rozsądnie, że to zależy również od tego, jakimi barwnikami irtysta cukiernik będzie rozporządzał. Historia z tortem, mimo początkowo wyglądała kłopotliwie, poprawiła im humor. Po->dziwiałały jeszcze piękny palmowy liść, leżący według wskazań ucia na wilgotnej pościeli, pozachwycały się huśtawką „mit uzik” i rozstały się pokrzepione na duchu.

Fela, stojąc pod zimnym prysznicem, postanowiła sobie nie iysleć o niczym, zasnąć jak najszybciej i rano namówić Celinę na )acer z małym. Miała szlachetny zamiar, aby w czasie ich nie-liečności doprowadzić do ładu kuchnię, umyć głowę, uprasować clinie sukienkę, a może nawet pozwolić sobie na luksus poszki-uwania trochę w małym, twardym zeszycie, który przywiozła sobą. Z tym zacnym postanowieniem ułożyła się wygodnie i za-

138

139

snęła prawie natychmiast. Ten mocny, pokrzepiający sen nie trwał jednak zbyt długo. W środku nocy obudziła się nagle, z uczuciem, że stało się coś niedobrego. Z otwartymi oczami nasłuchiwała przez chwilę, ale w mieszkaniu było ciemno i cicho. Słyszać było tylko świszczące pochrapywanie Celiny, a blisko tap-czana spokojny oddech małego. Śpia – pomyślała z nieuzasadnioną pretensją. – Zamknęła oczy, ułożyła się jak najwygodniej i próbowała zasnąć, co jej się udało tylko częściowo. Był to właściwie pół sen, a pół pamięć, o czymś, co miało miejsce bardzo niedawno, tak niedawno, że cały czas, dzielący ją od tamtego zdarzenia, jakby przestał istnieć.

Szła więc w stronę domu dobrze sobie znaną ulicą, która jednak wyglądała trochę inaczej, była szersza i pustawa, a domy po obu stronach wyglądały trochę jak narysowane. W oknach tych domów na tle firanek stały doniczki z kwiatami, a niżej jakieś wystawy sklepowe, zwieńczone staroświeckimi szyldami. Niebo nad dachami miało barwę stalowego błękitu, przydymionego rdzawymi obłokami. Było jasno, szarawą jasnością świtu, nie mającą żadnego źródła, ale mimo to mijający ją przechodnie, dziwnie szczupli i wysocy, rzucali wyraźne, ostre cienie. Jakie to wszystko smutne – pomyślała w tym śnie. – W dodatku gnębiła ją panująca dokoła cisza, którą przerywał tylko od czasu do czasu daleki zgrzyt niewidocznego tramwaju. W dłoniach czuła metalowy pręt wózka i z otuchą pomyślała, że ma przynajmniej jakieś miłe i rozweselające towarzystwo. Ale Adaś spał. Spał spokojnie w swym wózczyku, który wydawał się trochę za mały dla niego, bowiem Adaś wydawał się jakby trochę starszy, a może tylko większy i jakby odbarwiony w tym szarawym świetle.

„Adaś”! – zawołała, chcąc go obudzić, ale jej głos zabrzmiał cicho i

chrypliwie. „Jak można krzyczeć na ulicy”, powiedział z wyrzutem ktoś, idący obok niej, ramię w ramię. „Proszę się nie wtrącać”, powiedziała ze złością, tak samo cicho i chrypliwie, bo wiedziała, nie wiadomo skąd, że to jest ojciec Adasia, chociaż także był odmieniony, wysoki, cienki i jednobarwny jak stara fotografia. Kątem oka widziała, że co jakiś czas wzrusza ramionami, jakby prowadził sam ze sobą jakąś rozmowę. To wszystko wydawało się jej po prostu głupie i w dodatku męczące, więc przyspieszała kroku i w końcu zaczęła biec, co jednak nic nie zmieniło, ponieważ w tym biegu nie posuwała się ani o krok dalej. Spojrzała na swego towarzysza, który znajdował się ciągle obok niej, szeptał coś i wzruszał ramionami.

„Co pan tam opowiada?”, krzyknęła niecierpliwie, nie wiedząc, czemu tak się do niej przyczepił, o co mu właściwie chodzi, i może by tak sobie poszedł do diabła.

Przystanął, więc i ona przystanęła, i obrócił w jej stronę twarz, która wyglądała także jak jednobarwna, rozmyta fotografia. Zaszeptał coś znowu, trochę głośniejsze, ale równie niewyraźne. „Co!” – krzyknęła. „Zastanawiam się”, zaszeptał wyraźniej, „zastanawiam się, co by pani powiedziała...”

- Z kim ty rozmawiasz, Felinko? – rozległ się nagle głos Celiny i Fela odwróciła się, sądząc, że Celina mówi z któregoś z okien, ale wszystkie były zamknięte. Spojrzała dokoła i wtedy cały ten obraz razem z towarzyszącym jej cieniem zaczął się zwijać od brzegów, oddalać i błednać, czemu towarzyszyło w dodatku przeraźliwe dzwonięcie.

Dzwonek u drzwi dzwonił dalej uparcie, kiedy Fela zerwała się z tapczana, ale wyprzedziła ją Celina, już ubrana i niezwykle ożywiona. Dzwonek do drzwi nie oznaczał niespodziewanego gościa. Po prostu do Sabinki przyniesiono wielki dywan, zakupiony na uroczystość i z racji ciasnoty podestu oparto go beztrąsco o drzwi, nie omijając dzwonka.

- Pójdę sama po rogaliki – zawołała Fela, naciągając tak zwane byle co. – Konstancja ma tam dosyć bałaganu. – W gruncie rzeczy jednak nie powodowała nią troska o Konstancję, tylko nie otrząsnęła się jeszcze całkowicie ze snu, i miała mgliste wrażenie, że kiedy wyjdzie z domu, znajdzie się znowu na tej ulicy, która była jednocześnie tą jej znana i zupełnie inną. Oczywiście na ul-ry oprzytomniała do reszty i poczuła się doskonale. Dzień był pogodny, prześwietlony blaskiem słońca, którego dymy kominów nie zdołały jeszcze rozpylić bladobrunatną mgłą. Rzeźwe powietrze

140

141

pobudzało do ruchu oraz wznagało uczucie całkiem zdrowego apetytu.

Fela wbiegając przyspieszonym krokiem do piekarenki spotkała na progu Konstancję, wychodzącą właśnie z koszyczkiem rogalików, z jednym takimże rogalikiem w zębach.

- Przyszłaś sama? To doskonale – powiedziała niewyraźnie gryząc chrupiący rogalik. – Ja mam dziś trochę urwania głowy! Ach, jaka ja jestem głodna! Nie miałam nawet czasu na śniadanie!

- Ja też – zdziwiła się Fela. – Daj kawałek! – Umówiły się szybko, że pójda zamówić tort dla Sabinki u znajomego cukiernika i Fela, cała nie tyle w skowronkach, ile może raczej we wróbelkach, pobiegła do domu.

Celina wróciła ze spaceru z małym Dudkiem niezmiernie zadowolona. Wyglądała teraz o wiele lepiej, a w jasnej, letniej sukience i z gładko zaczesanymi bujnymi włosami nawet zupełnie młodo.

- Czy wiesz – powiedziała do Feli – że jeden taki babiszon w ogrodzie powiedział do mnie: „Pani synuś taki do pani podobny, będzie miał szczęście do panienek!” – No?

- Bo pani bardziej dziś wygląda na mamę tego Adasia niż tamtego! – odrzekła Fela, trochę dlatego, żeby jej zrobić przyjemność, a trochę nawet z przekonaniem, bo Celina naprawdę w niczym nie przypominała matki staruszki.

- Wystarczy mi ten jeden – westchnęła ze śmiechem Celina. – Nie

masz pojęcia, Felinko, jaki to trudny, choć urozmaicony zawód, być matką syna!

Takiego syna! - dodała w duchu Fela, ale w gruncie rzeczy nie miała zamiaru śmiać się z Celiny. Sama przyłapywała się na tym, jaka czuła się dumna i zaszczytnie wyróżniona, kiedy nieraz na ulicy chwalono urodę Dudka. Właściwie - pomyślała - jest to trochę zabawa lalkami dla dorosłych dziewczynek. Oczywiście -• przypomniała sobie - jeśli wszystko dobrze idzie i synek nie ma zwyczaju łamać nóg na szosie. Przed wieczorem, kiedy obie panie zajęte były miłą pogawędką na temat Sabinki, której surrealistyczne opowieści zawsze dostarczały dostatecznie dużo podniecającego materiału, a mały Dudek spał już błogo z ukochanym obecnie misiem w objęciach, wpadła z pośpiechem Konstancja, aby zabrać Felę na wyprawę do cukiernika.

P

- Dzwoniłam do Lucynki - powiedziała. - Jest jak najlepiej. Zresztą ona sama opowie, bo chce jutro wpaść i podziękować za małego.

- Bardzo nam będzie miło - powiedziała powściągliwie Celina. - Co prawda spodziewałam się trochę wcześniej choćby telefonu od niej.

- Lucynka to dziewczyna wąskotorowa. Nie potrafi myśleć o kilku rzeczach naraz. I nawet trudno się dziwić. Dostała niezłą porcję do przełknięcia - a to przecież jeszcze biedne szczenię! No, lećmy. Sprawę u cukiernika dało się załatwić bez przeszkód. Nie ustalono tylko, jaka figura ozdobi szczyt uroczystego tortu, ponieważ mistrz nieco urażony oświadczył, że chyba wie, co zrobić na taką okazję. W drodze powrotnej Konstancja urwała się na pocztę i Fela szła sama, rozmyślając rzeczowo nad swoim wczorajszym wypadkiem na jezdni. Właściwie dopiero teraz uświadomiła sobie jasno, jak to wszystko mogło się skończyć, gdyby nie było na miejscu tego, który potem krzyknął do niej: „idiotka“!

No i głupio - pomyślała. - Może by na mnie i nie najechał, może by wyminął, bo przecież ludzi na jezdni było niewiele i mógł mnie swobodnie ominąć, ale czy to aby pewne? Uratował mi życie - czy nie? Uratowałam jej życie. Czy zrobiłem z siebie durnia? - myślał w tym samym czasie najstarszy z Prandotów, pijąc ze wstrętem brunatną lurę w hotelowej kawiarni. Rysował przy tym w notesie małe ludziki w najdziwniejszych pozach i udawał bardzo zajętego, ażeby zniechęcić wszelkich przypadkowych znajomych. Czuł przejściowy wstręt do swojej przystojnej osoby i uważał, że nic go już chyba w życiu nie czeka. W dodatku on sam był temu winien. Sytuacja życiowego bankruta jako taka wydawała mu się przez chwilę nawet dość zajmująca, ale pomyślał, że jest to pomysł ze złej powieści i zniechęcił się. Czuł, że w ostatnich dniach zachowuje się jak głupiec. W dodatku ten jego ostatni występ w roli bohatera na jezdni! Oczywiście, że tamten wcale by ich nie przeje-

142

143

chał! Jezdnia była pusta i swobodnie by ich wyminął. Właściwie dopiero ten mój wyskok mógł spowodować wypadek. Dlaczego właśnie ją zwymyślałem? Wzruszył ramionami, co pilnie obserwowały siedzące przy niedalekim stoliku dziewczyny. Od dłuższego czasu miały niezłą zabawę, obserwując, jak robi miny, wzrusza ramionami i w ogóle odgrywa jakąś scenę.

- Rzuciła go! - zawyrokowała brunetka w amarantowej bluzie. - Gośka, idź, pociesz go!

Ale „najstarszy” spojrzawszy właśnie przypadkiem na zegarek i zorientował się, że musi lecieć do swej zwykłej roboty. Diabli nadali jakiś mecz. Wstał, omiół salę wraz z niedoszłymi pocieszycielkami wyniosłym, zamyślnym spojrzeniem i wyszedł szybko, przyspieszając coraz bardziej kroku, aby chwilę potem zawołać swym pięknym, młodzieńczym głosem, który dzięki sieci radiowej zabrzmiał aksamitnie w całym kraju:

- Dobry wieczór państwu! Znajdujemy się właśnie...

Czy ludzie dlatego krzyczeli, że mnie i małemu groziło niebezpieczeństwo, czy dlatego, że ten wariat wbiegł na jezdnię nie

wiadomo po co? Przecież byli i tacy, którzy się po prostu śmiali! Zamyślona i niepewna Fela wróciła kilka kroków i podeszła do budki z gazetami, która znajdowała się na wprost miejsca wypadku.

- Proszę pani - zagadnęła, kupując pierwszą lepszą gazetę i wybierając mydełko - wczoraj tu był zdaje się jakiś okropny wypadek! Mówili mi znajomi...

- To pani ma nerwowych znajomych - przerwała gazetowa dama - to nie był żaden wypadek, tylko kryminalna historia. Jakaś dziewczyna dziecko z wózkami widać porwała, może spod sklepu, i leciała z nim na złamanie karku przez ulicę. Ale daleko widać nie uciekła, bo zaraz za nią na jezdnię wyskoczył jakiś taki, nawet już starszy trochę i przyłapał! A tak na nią krzyczał, tak jej wymyślał! A potem poszli oba razem, z dzieckiem, może on ją do komisariatu zaprowadził. Nie wiem.

- Znajomi mówili, że samochód o mało jej nie przejechał! Że ten facet ją uratował!

Kioskarka spojrzała na nią drwiąco. - Samochody tu ciągle jeżdżą, od tego jest ulica. Ale żeby który chciał naumyślnie...

No i tak. Rzeczywiście poszli na razie „oba razem”, ale zaraz za rogiem jej zbawca przystanął, powiedział: „No, to do widzenia pani. Przepraszam” - i odszedł szybko, wzruszając kilkakrotnie ramionami. Ona też wzruszyła ramionami i tak się to skończyło.

Późnym wieczorem Gucio, który dbał bardzo o swoje zdrowie, jak mówił „dla szczęścia swoich pacjentów”, wstał niechętnie z miękkiego tapczana, bo przypomniał sobie, że nie podlał kwiatów w salonie, na co dał Malince uroczyste słowo honoru. A Ma-linki bardzo się bał. Schylając się pod liśćmi wielkiej palmy przypomniał sobie wizytę Feli i mimo woli, stojąc przy oknie z małą polewaczką, wyjrzał na ulicę, gdzie w dniu wczorajszym rozegrała się cała wielka scena, którą obserwował ze zdziwieniem.

Co za ludzie! - pomyślał. - Sami sobie komplikują życie, a to wszystko skutki niedoboru różnych składników w organizmie. Nerwy! Każdy ma nerwy, ale trzeba przecież wiedzieć, jak nad nimi panować. Mówiłem temu człowiekowi: „Jak pan się tak denerwuje, to pan się po prostu spala! Trzeba wtedy nawodnić organizm. Szklanka wody z miętą albo kilkoma kroplami waleriany... A pan zapala papierosa! No i są skutki!” Tu Gucio oczyma swej pogodnej duszy zobaczył szaleńczy skok swego pacjenta na jezdnię i roześmiał się pogodnie.

Lucynka przyszła z wizytą do Celiny Łabędzkiej i zrobiła dobre wrażenie. Przyjechała taksówka, która czekała na nią, więc czas wizyty był ograniczony. Przyniosła dwa bukietki kwiatków, rzuciła się na szyję obu paniom, rozczuliła się widokiem Adasia, i usiadła wreszcie grzecznie, z miną roztargnioną i niepewną.

- Dobrze się już czujesz, moje dziecko? - zagaiła Celina, chcąc jej jakoś pomóc. Odruchowo mówiła jej ty, ponieważ Lucynka naprawdę nie wyglądała na zupełnie dorosłą osobę.

- Doskonale! - zapewniła Lucynka, ożywiając się nagle. - Tylko teraz jeszcze będę musiała pojechać na parę tygodni na rehabilitację - dodała zdecydowanie. - Różne masaże, gimnastyka i tak dalej.- Mówiła to z dumą i zachwytem, jakby

144

(i            Odpowiednia dziewczyna

145

ta rehabilitacja była jakimś upragnionym szczęściem i nagrodą. Celina już miała na końcu języka pytanie: „A co wtedy z Ada-siem”?, ale powstrzymała się, myśląc, że to pytanie należy chyba zadać raczej doroślejszej osobie. Tymczasem Lucynka spojrzawszy ukradkiem na zegarek stała się niespodziewanie wymowna i zaczęła opowiadać o udanej operacji Daniela, używając przy tym masę ściśle medycznych terminów, jakich się pewnie w tym czasie nasłuchiwała.

- I wie pani - paplała rozjaśniona - kiedy się obudził po operacji, mnie tam wpuścili na chwilę, to zrobił taką chytrą minę i zapytał, bardzo cicho naturalnie: „No, to kogo będę grał? Hamleta czy Ryszarda Trzeciego”? Bo pani wie, Ryszard Trzeci...

- Tak, wiem. Ryszard Trzeci był kulawy. I co doktor?

- Doktor Witkowski był bardzo z siebie zadowolony i powiedział: „Byłeś się nie jakał, to co tylko chcesz”! Lucynka powiedziała to śmiesznie grubym głosem, odgrywając niby to doktora i wypadło to tak śmiesznie, że Adaś swoim cienkim głosikiem powtórzył zaraz: „cesz, cesz” – podskakując z radości.

Lucynka spojrzała na niego z rozstargnieniem. Widać było, że już się bardzo spieszy, ale opamiętała się i wzięła małego na ręce. - Tak się cieszę, że przynajmniej ty wyszedłeś z tego cało!

Fela wzięła od niej małego i odprowadziła ją do wyjścia. Nagle w korytarzu Lucynka objęła ją mocno i chlipnęła z nosem na jej ramieniu. - Ty nie myśl, że ja nie kocham Adasia! Gdyby mu było źle, tobym zrobiła wszystko, no, wszystko! Ale ty nie wiesz, ile ja mam zmartwień!

- Wiem, wiem – powiedziała uspokajająco Fela.

- Ach, to nie tylko ta operacja, ale i tata, tata...

- Proszę pani, czy ja mam dłużej czekać? – zapytał tęgi młodzieniec, który wszedł właśnie na klatkę schodową i spojrzał na numer mieszkania.

- Nie, nie! Już idę – przestraszyła się Lucynka i schodząc już ze schodów odwróciła się jeszcze do Feli. - Bardzo się martwię o tatę! Naprawdę.

Martwi się? - myślała Fela, wracając do pokoju, gdzie Celina stała przy oknie, machając jeszcze Lucynce dłonią na pożegnanie. - No, więc znamy już całą rodzinę Adasia, tylko nie wiemy, co z nim dalej ma być – powiedziała z namysłem. - Nie myśl, Felinko, że chcę się pozbyć małego, ale i dla niego to chyba nie jest dobrze. Im więcej się do nas przyzwyczai, tym trudniej mu będzie znowu zmieniać warunki.

Fela spojrzała na małego. Siedział na tapczanie, patrząc niespokojnie na drzwi, na Felę i znowu na drzwi. Biedny mały piesek.

- No, dzieci bywają w żłobku, w przedszkolu... – powiedziała bez przekonania Fela.

- Ale co dzień ktoś je zabiera do ich własnego domu. Mówił mi ten pan Prandota, że mają jakąś cudowną gospozię, która jest bardzo życzliwa dla małego, ale ona jest teraz na urlopie u rodziny w Bieszczadach.

- Kiedyś przecież wróci.

- Oczywiście. Ja tylko myślę, że to jakaś dziwna rodzina!

- Poznałyśmy ich w warunkach nietypowych – powiedziała wyrozumiale Fela, myśląc jednocześnie o swojej własnej rodzinie, w której warunki nietypowe były regułą.

Celina potrząsnęła z powątpiewaniem głową, ale nic już nie powiedziała. Przyzwyczaiła się już do tego trybu życia, a nawet można powiedzieć, że go polubiła. Czuła się już zupełnie dobrze, właściwie żadna opieka nie była jej już potrzebna, ale odwykła od samotności. Poza tym – Sabinka. Przedtem Sabinka Celinę denerwowała, a teraz zaczęła ją bawić. Obecność Feli i Konstancji zamieniła uciążliwe stosunki z Sabinką w cykl zabawnych wydarzeń. Ona sama nigdy nie dostrzegała w nich tego uroku śmieszności, który teraz ją tak bawił. Tylko czasem, czasem odczuwała nagle jakiś cień, jakieś echo niepokoju. Adam, który może przyjechać nagle, tak jak wtedy. Wchodzi do mieszkania i co? Jego święty pokój zamieniony w coś w rodzaju żłobka. Fela w kuchni pitrasi jakieś kaszki, w łazience suszą się pieluchy. Gdyby to chodziło tylko o Felę, to ostatecznie w jakimś sensie sam ją zaprosił, nawet zdaje się dziękował jej za opiekę nad matką, ale to dziecko! - iw rezultacie, czując się w jakiś sposób również odpowiedzialna za tę powikłaną sytuację, stała się niezmiernie czuła dla najmłodszego członka tak surowo przez nią osadzonej rodziny.

- Ta mała, no ta Lucynka, wcale nie jest taka głupia – powiedziała Konstancja, kiedy udało się jej wpaść na minutkę do Feli. - Ona tylko jest skołowana tym wszystkim. Wiem od jej

I

brata, że bardzo świetnie dawała sobie radę z domem i z małym w Warszawie. Ale wtedy czuła się w domu. Miała mocne oparcie w tym swoim tatuśku, który tutaj nagle zwariował i urządził sceny, które z kolei godziły pośrednio i w nią. To był dla niej absolutny szok. Przecież dla niej ten jej piękny tata, to był święty Jerzy, który przyjedzie i zrobi porządek ze wszystkimi smokami! No i przyjeżdża – i co my widzimy, proszę wycieczki? Tatuśko staje sztorcem, parska, pluje, zionie ogniem jak smok pierwszej klasy, smok wyborowy! No i jak ma się czuć taka młoda osoba z nadłamanym sercem? Znikąd, ach, znikąd pociechy!

– Ależ, Kociu – powiedziała śmiejąc się Celina – mnie tata Prandota wydał się bardzo miły, spokojny, może trochę zgaszony, ale...

– Pewnie właśnie taki jest, w stanie normalnym oczywiście! Ale tutaj ogarnął go amok, a jeśli na co dzień jest spokojny, to tym gorzej to wypadło, bo nie wiedział, jak się robi prawdziwą awanturę! Biedaka. Mój tata to umie. Rzadko, ale dobrze.

– Nie wierzę! – wtrąciła się Fela, której pogodny, ociężały ojciec Konstancji wydawał się wcieleniem dobroduszości.

– Bo to sprawa nie na co dzień. A teraz szczególnie nie na czasie! Tata szykuje mi macochę!

– Nie?! – krzyknęła zdumiona Fela, a Celina podniosła brwi do góry, nie wiedząc, czy to żarty, czy też może należy współczuć biednej sierocie.

– Moja przyszła macocha jest idealną żoną dla szanującego się mistrza piekarskiego. Fela powiedziała, że przypomina świeżą, rumianą, pachnącą bułeczkę.

– Flora?!

– Właśnie. Fajna dziewczyna i bardzo się cieszę. Należało się to tacie.

– Panna Flora pracuje u państwa? – zapytała Celina tonem życzliwym i dystygowanym.

– Florka jest daleką krewną mamy. Kiedy mama zachorowała, Florka przyjechała do nas, żeby pomóc trochę i potem już została. Bardzo nas wtedy poratowała. Ale Florka nie jest panną, tylko wdową, od dwunastu lat. Była mężatką dwa miesiące – <|> się chyba mało liczy.

– Słuchaj, pasierbico, mogę wpaść i pogratulować?

– Pewnie! Ale posłuchaj, Felutko! Czy nie mogłabyś wpaść jutro do szkoły i zobaczyć, czy nie wywiesili listy? Prawda! .

W tym samym mniej więcej czasie Hanna Fistacka, aktorka o ustalonej pozycji i niestety matka dorosłego syna, siedziała przed niedużym lustrem i starannie zmywała resztki charakterystyki dziennej. Rozmyślała przy tym rzeczowo i precyzyjnie nad sytuacją, w jakiej znalazła się ona i jej syn. Była do niego naprawdę głęboko przywiązana i potrafiła odłożyć wszystko na bok, aby trzeźwo zastanowić się nad jakimś rozsądnym planem. W tej chwili zupełnie nie przypominała słodkiej, roztrzepanej idiotki, jaką od wielu, wielu lat reprezentowała w życiu prywatnym na użytek przyjaciół i znajomych. Wszyscy zresztą traktowali ją pobłażliwie, bo przecież niewiele ich to kosztowało. Niemniej w ostatnim czasie zaczęła zauważać oznaki jakby znudzenia typem, który od tylu lat reprezentowała. Od wielu miesięcy żadnej roli! Zakręciła się koło filmu i zaproponowano jej dubbing! To był cios. I wtedy właśnie wydarzyła się ta katastrofa Daniela. Nie było jej właśnie w Warszawie, bo inaczej zawiozłaby ich sama, bo kierowca /, niej – żelazny. Ale cóż, stało się. Trzeba ratować, co się da. Przede wszystkim ratować Daniela. Prosto ze szpitala na rehabilitację. Pojechać, poczarować, podpiąć gdzie trzeba i pilnować, pilnować. Dla pewności dać na mszę, żeby i z tej strony miał opiekę. Ta mała na szczęście będzie tam na miejscu, a na niej można polegać. Czy to odpowiednia dziewczyna dla Daniela? Miłe dziecko z tej Lucynki, a na pewno da się pokierować. W tej chwili bardziej odpowiednia byłaby Konstancja. Co za dziewczyna! Energiczna,

zaradna! No, ale cóż, niechże ten biedaczek ma prawo wyboru. Mógł trafić gorzej. Lucynka? Niech będzie Lucynka. Ojciec dziennikarz, też nie najgorzej. To zawsze pożyteczna znajomość, a tym bardziej pokrewieństwo. Nawet go lubię, mimo tego cyrku mi początku. Teraz nawet mi to na rękę, bo zajął się wozem Daniela jak swoim. Po prostu wstyd mu tych hec, które urządził, a ja je-< \* m dobra i wyrozumiała. Jezus Maria, co ten wóz będzie kosztował! •'•! Może go sprzedać? Nie. Co to, to nie. To byłby początek koń-

148

149

Zacisnęła mocno usta i spojrzała mimochodem w lustro. Widok, który w nim ujrzała, zainteresował ją tak bardzo, że powtórzyła ten wyraz twarzy, obracając lustro, patrząc na siebie z profilu i en face. – No tak – powiedziała sobie – to jest to! – Te dziewczyny miały rację. To jest twarz Fedry, lady Makbet, Gertrudy. Trzeba oczywiście trochę obniżyć głos, stopniowo go przestawić. Przyjąć propozycję Kalisza, ale wybrać sobie rolę i wypłynąć w Warszawie już ze zmienionym emploi. Cierpliwości! Trzeba masę cierpliwości, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli nie potrafię! Przecież jestem jeszcze zupełnie młoda! W małym mieszkanku na Zarzewskiej najmłodszy z Prando-tów pograża się z wolna w sen, a potem znów się z niego wynurza, niespokojny i niezadowolony. Ledwie zamknie powieki, po krótkiej chwili miłej, przytulnej ciemności wypływają nagle tuż obok niego bardzo duże oczy, nosy i mokre pyszczki, które go oblizują, chociaż on tego nie lubi. Pyszczki ruszają szybko wargami i wykrzykują coś jakby – „aszka! brabra aszka”! A potem wydłużają się w ryjek i szeleszczą: „pać, pać...” Uciec! Uciec, zwinąć się mocno w kłębek i schować głowę w poduszkę. Wtedy też można natrafić na kogoś, kto nie ślini człowiekowi policzków, nie wykrzykuje wesoło okropnych rzeczy, milczy, jest miękki, ciepły i człowiek czuje się przy nim zupełnie bezpieczny. I z misiem w ramionach młody Prandota zasypia wreszcie mocno i błogo.

Rozdział siedemnasty

Nazwisko Konstancji widniało na tablicy przyjętych – czytelnie i pewnie. Fela przeczytała je jeszcze raz, ażeby już nie mieć żadnych wątpliwości. I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że o-prócz nazwiska Konstancji nie natrafiła na żadne znajome! A przecież chyba zauważyłaby swoje?

Przeczytała jeszcze raz – nie ma. Po prostu nie ma. Jeszcze nie mogła w to uwierzyć, ale tłocząca się przed tablicą grupka wy-rolowała ją spomiędzy czytających i Fela znalazła się na zewnątrz małego tłumu, mając nieuzasadnione wrażenie, że jednak przeczytała listę niedokładnie, że to po prostu przeoczenie, albowiem taki fakt nie miał prawa zaistnieć.

- Przepraszam – powiedziała energicznie i zanurkowała w tłum. Ktoś stojący tuż przy tablicy czytał głośno nazwiska na użytek tych, którzy się nie dopchali.

- Uszycki Dariusz, Walińska Felicja. Zielak Teresa... Walińska Felicja, zdała! Zdała, tylko przegapiła. No, naturalnie!

-- Oj, nie pchaj się tak – powiedziała niecierpliwie długowłosa dziewczyna, zapisująca na kartce nazwiska z listy. – Jak się nazywasz?

- Walińska. Ten chłopak mnie wyczytał, a ja nie mogę znaleźć.

- Bo pewnie jesteś na drugiej liście. Czekaj... No tak. Na ilrugiej.

- Na jakiej drugiej? – krzyknęła Fela, która dopiero teraz /.Hiważyła krótką listę nazwisk na boku arkusza.

- To znaczy, że zdałaś, ale nie jesteś przyjęta z braku miejsc.

Z braku miejsc – powtórzyła skrupulatnie Fela. -\ha. rozumiem. No to przepięknie.

151

- Nie wygłupiaj się. Zawsze jest jakaś szansa. A nuż ktoś się nie zgłosi, wtedy ty wskoczysz. To jest takie miejsce stojące.

- Dziękuję, postoję - odpowiedziała głupio Fela i zawróciła na pięcie.  
Szła szybkim krokiem, chociaż wcale się nie spieszyła z powrotem. Oczywiście - trzeba jak najszybciej zawiadomić Konstancję, ale jak uniknąć pytań w swojej sprawie? Będą się nad nią użalać, będą jej współczuć! Obrzydliwość! Powiedzieć, że ma to wszystko w nosie i chichotać jak głupia? Też idiotyczne. Była po prostu zupełnie nie przygotowana do takiej sytuacji - to jedno Jej nie przyszło do głowy. Trzeba coś wymyślić, trzeba opóźnić powrót do domu. Przystanąła i rozejrzała się. Była na Piotrkowskiej.  
Zatelefonuję do Konstancji - pomyślała. - Zawsze mogę udawać, że rozmowa się urwała, kiedy zapyta, co ze mną. - Ale chętnych do rozmowy było więcej i trzeba było poczekać. Zajrzała przez oszklone drzwi do kawiarni, z myślą o małej niby-kawie i Wtedy przy stoliku naprzeciw drzwi zobaczyła najstarszego z Prandotów, skrobiącego coś w małym notesie. W tym momencie Podniósł jednak głowę i zauważył ją. Na jego twarzy odbiło się żywe zainteresowanie.  
No, tego mi było jeszcze trzeba! - pomyślała z uczuciem, z jakim patrzy na zjawiającego się niespodzianie karalucha.  
Tymczasem karaluch wstał szybko od stolika, zgarniając swoje kartki i gazety i wyraźnie kierował się w jej stronę.  
- Proszę bardzo - mruknęła - no, proszę bardzo. Nie znaczyło to bynajmniej, żeby była zachwycona, ale była w zupełnie fatalnym stanie ducha i to spotkanie dawało okazję częściowego wyładowania gnębiących ją uczuć.  
- Jakże się cieszę... - zaczął, ale nie dała mu skończyć, bo w tej chwili błysnęła jej pewna praktyczna myśl.  
- To dobrze. Ale ja mam kłopot i może pan...  
- Ależ oczywiście! Cóż mogę...  
- Może pan. Zna pan Konstancję? Oczywiście. Zatelefonuje Pan do niej, tu jest numer, i powie, że jest na liście, że została przyjęta. I to wszystko. Gdyby o cokolwiek pytała - to po prostu nic pan nie wie.  
152  
- Tak jest. Zaraz zatelefonuję. Z recepcji, bo tu jest tłok. Ale pani zaczeka?  
- Przecież chcę wiedzieć, czy się pan dodzwonił - rzekła sucho Fela. - Niby dlaczego miałabym uciekać?  
Pobiegł. Właśnie nie poszedł, ale pobiegł, co chyba było jego przyzwyczajeniem w tej ruchliwej pracy. Ma dobrą figurę - stwierdziła obiektywnie Fela - chociaż sam pewnie sportu ani liznął. Siedzi, skrobie i wygłasza aksamitnym głosem! Zresztą co to mnie obchodzi? Niech tam sobie żyje.  
- Pani przyjaciółka chyba bardzo się wzruszyła tą wiadomością. Tak sędzę.  
- Co powiedziała?  
- Powiedziała: „O, cholera!”  
- To nie było eleganckie - zauważyła Fela spoglądając z dystygowaną miną na swego rozmówcę.  
- Nie, dlaczego? - zapytał naiwnie, ale zaraz potrząsnął głową i rzekł poważnie: - Proszę sobie nie kpić ze mnie, panno Feluniu. Mnie też zdarzyło się ostatnio kilka niemiłych rzeczy, ale nie odbijam sobie tego na pani.  
- Dlaczego pan myśli, że zdarzyło mi się coś niemiłego?  
- A nie zdarzyło?  
Fela spojrzała na niego z ukosa i wzruszyła ramionami. Powiernik! Pocieszyciel! Ponieważ nie należało dać się wyprowadzić z równowagi, skinęła uprzejmie głową i wyszła na ulicę.  
Po dobrej chwili zauważyła, że jednak idzie obok niej, starając się dostosować swoje długie kroki do jej - krótszych, co sprawiało takie wrażenie, jakby wahał się, czy towarzyszyć jej, czy nie.  
- Ja idę prosto do domu i spieszę się - powiedziała, żeby mu ułatwić sytuację.  
- Panna Konstancja pytała mnie, czy to wszystko, co mam jej



powiedzieć. Powiedziałem, że wszystko i nic więcej nie wiem. Była... była zdziwiona.

- Ma pan do mnie cierpliwość - westchnęła Fela. - Naprawdę wcale nie chciałam się wygłupiać. Dziękuję i przepraszam.

Powiedziała to możliwie najłagodniej i najuprzejmiej, nie  
153

chciała go obrażać, w ogóle nic od niego nie chciała. Ogarnęło ją uczucie delikatnego., prawie przyjemnego smutku, jak wspomnienie bólu zęba po zażyciu proszka. Określenie „z braku” miejsc wydało jej się teraz czymś niemal pomyślnym, stawiało ją poza wszelkimi planami i obowiązkami. Stała w jakimś punkcie pustej przestrzeni, z którego można było ruszyć w każdym kierunku, gdyby tylko było wiadomo po co. Ale o tym teraz nie chciała myśleć i przedłużała to poczucie beztroskiej nieodpowiedzialności. Nie zwróciła nawet najmniejszej uwagi na to, że jej towarzysz nie odstąpił jej, jak się spodziewała, ale idzie razem z nią, teraz już krok w krok, z miną zatroskaną, rzucając na nią od czasu do czasu spojrzenia, świadczące zarówno o chęci nawiązania rozmowy, jak o braku zdecydowania.

Ryło to już niedaleko domu i towarzystwo tego cienia stało się dla niej niedogodne, gdyż chciała sobie w spokoju obmyśleć, co powie Celinie i Konstancji o tym braku miejsc. Musi to być w miarę optymistyczne, żeby nie zaczęły jej pocieszać i w ogóle, żeby nie stało się tematem dnia. Czegóż on się wlecze za mną? pomyślała, czując, że jednak nic jej nie uratuje przed tymi rozmowami i żalami, które, choćby nie wiem jak przez nią zbagatelizowane i osłodzone, będą jednak sporo ją kosztować. Zwolniła kroku, a w końcu przystanęła niezdecydowanie. Czy lepiej po prostu pożegnać się, czy też przeciwnie, niespodziewana wizyta zajmie Celinę na tyle, że odsunie i pomniejszy całą sprawę egzaminu. Jej cień nie zorientował się i poszedł jeszcze krok dalej, po czym przystanął.

Zaproszę go - zdecydowała Fela i spojrzała na niego, przybierając możliwie przychylny wyraz twarzy. Najstarszy z Prandotów patrzył w bok swymi pięknymi oczyma bohatera i ze strapionym wyrazem twarzy mówił coś, płacząc się, z czego Fela zrozumiała tylko słowo: „myślałem”.

- Co pan myślał? - krzyknęła, bo właśnie przejeżdżała załadowana żelastwem furgonetka.

- Myślałem... - wrzasnął - co pani by powiedziała, żebym się z panią ożenił?

Usłyszała, ale tak była zaabsorbowana czekającymi ją komplikacjami, że sens zdania umknął jej zupełnie. Natomiast coraz bardziej ponętą wydała jej się myśl tej niespodziewanej wizyty.

154

- Niech pan wpadnie teraz do pani Celinie - powiedziała zachęcająco. Zdziwił się.

- Żeby ją prosić o pani rękę? - zapytał niepewnie i wtedy dotarł do niej sens jego poprzedniego zdania.

Co za szczęście, że idąca naprzeciw staruszka potknęła się i rozsypała im pod nogi wszystkie swoje zakupy! Odruchowo rzucili się do pomocy i po chwili staruszka, narzekając na ich niezdarną pomoc oddaliła się z koszem, lżejszym o parę jajek, które spływały z bezradnych dłoni zawsze gotowego do pomocy prawdziwego dżentelmena.

- Jak pan wygląda! - krzyknęła Fela. - Idziemy do nas, zaraz się pan umyje. Lecę naprzód.

Rzeczywiście pobiegła parę kroków, a potem statecznie zwolniła, żeby nie przestraszyć Celinie nagłym wpadnięciem do domu. Wesoło opowiedziała o zabawnym przypadku i gorliwie zajęła się małym, zostawiając Celinie troskę o niespodziewanego gościa.

- Miły człowiek - stwierdziła z przyjemnością Celina, kiedy po odejściu gościa siadły spokojnie do obiadu. - Zrównoważony, rzeczowy, a jednocześnie pobłażliwy. Bardzo jest przywiązany do małego, ale i o starszych dzieciach mówił niezmiernie serdecznie.

- Zwłaszcza ta heca w szpitalu świadczy o jego równowadze - mruknęła Fela.

- Nerwy, moja droga, nerwy. Zresztę nie mówiliśmy o tym. Opowiadał mi o swoich sprawach zawodowych, o zamiarach na przyszłość. Nawet byłam zdziwiona, że tak mi się zwierza, ale zdaje mi się, że po prostu czuje się bardzo samotny! Ale wiesz, że te pierożki udały się fenomenalnie... - rozmarzyła się Celina płacząc opowieść czułego serca z czułym podniebieniem. Miała już tę właściwość, że wyszukane, delikatne smaki wywoływały u niej nastrój pogody i życzliwości dla świata. Teraz też, patrząc wilgotnym okiem na sprawczynię tego błogostanu, bredziła łagodnie.

- Tak sobie myślę, Felinko, czy też te wszystkie zwierzenia pana Prandoty nie miały jednak czegoś na celu. Czy on nie liczył na to, że ja to komuś powtórzę!

Chytry! - pomyślała szyderczo Fela, kiwając mimo woli głową.

- Bo zauważ - ciągnęła Celina w miłym podnieceniu - tak mimochodem wspomniał, jak wiele Lucynka zawdzięcza opiece Konstancji, jaka to energiczna i zaradna panna. Czy ci się nie zdaje, Felinko, że może on o niej myśli poważnie? Że właśnie taka dziewczyna byłaby dla niego odpowiednia?

Fela początkowo słuchała Celiny z niejakim zdziwieniem, ale w końcu wszystkie te niespodziewane i w większości tak przykre przeżycia minionego przedpołudnia tak jej pomieszały w głowie, że nie była już niczego pewna. Zreszta, przecież mniejsza o to!

- Playboy dla ubogich - powiedziała przez ramię do Celiny, zabierając do kuchni zebrane ze stołu talerze i całą swoją urażoną godność. W gruncie rzeczy wcale jej przecież nie zależało na tym dziwacznym... jak go nazwać? Podrywaczku? Wielbiciele? Epuzerze? Tak. Epuzer to właściwe słowo. Chodzi przecież o małżeństwo, inaczej mariaż, o rzecz poważną. Oczywiście inna rzecz, że to idiotyzm, a inna, że zupełnie poważnie ktoś chce się z nią ożenić, chociaż ta, pożał się Boże, deklaracja miała niestety dość wariacką formę. I oto - Celina, dobroduszna Celina, spokojnie i obiektywnie w swych matrymonialnych kalkulacjach skierowanych w stronę Konstancji stwierdza, że nawet w takich błahych podejrzeniach dla niej, dla Feli, po prostu nie ma miejsca!

- Felinko, dajże spokój z tym zmywaniem - zaprotestowała Celina, wchodząc do kuchni. - Teraz to już naprawdę moja robota, odpocznij chwilę.

Ale to parne i duszne popołudnie nie sprzyjało jakoś niczyje-mu wypoczynkowi, a ponadto wielu uprzytomniło jeszcze różne zaniedbania i komplikacje, jakie należałoby jak najszybciej naprawić. Taki właśnie niepokój trapił i ojca Prandotów, który w swoim ciasnym pokoiku hotelowym próbował pisać na maszynie zamówiony od dawna błyskotliwy artykuł, a jednocześnie na leżącej obok kartce kreślił jakieś nieokreślone figury i łącznie je kreski, co miało być obrazem jego rozterek duchowych. Pisanie artykułu napawało go wyraźnym wstrętem, więc coraz częściej nachylał się nad kartką, aż w końcu odsunął maszynę na brzeg

156

stołu i zamyślił się głęboko. Potem nagle tknięty jakąś myślą wstał zdecydowanie, przeczesał palcami włosy i wyszedł.

Należy to może złożyć na karb tej fatalnej pogody, ale cała ta długa rozmowa z Lucynką była jednym wielkim nieporozumieniem.

- Ja wiem, że to wszystko moja wina - miauczała, przyklejona do jego ramienia. - To ja wrzasnęłam na szosie! To przeze mnie Daniel jest kulawy, a Adaś chowa się jak podrzutek u obcych ludzi! To z mojej winy rozbił się samochód i pani Hania, żeby móc go naprawić, jedzie grać na prowincji! A ty, tatku? Nie wmawiaj we mnie, że ciebie to też nie kosztowało! Czy ja nie widzę, że siedzisz tu i jesteś taki smutny. Przecież powinieneś być teraz chyba w jakimś Madrycie albo Tokio! Powiedz od razu - wyrzucili cię z radia? Przeze mnie oczywiście!

Nieszczęsny ojciec, który wyobrażał sobie, że odbędzie rozsądną rozmowę ze swoją kiedyś rozsądną córką, rozmowę, która zakończy to całe głupie nieporozumienie, dzięki któremu Lucynka zachowywała się

jak przestraszony ptaszek, a on uciekał, teraz głaskał tylko bezradnie jej rękę, daremnie starając się przemówić jej do rozumu. Widać przecież było od razu, jak dalece gustuje ona we wszystkich wymyślonych przez siebie nieszczęściach, ba, jaka jest dumna ze swojej fatalnej roli.

Przejdzie jej to - pomyślał. - Nie jest przecież jeszcze zupełnie zdrowa i jeśli sprawa jej to trochę przyjemności...

Westchnął ze zniecierpliwieniem i poklepał jej rączkę. - Tak, tak, moje dziecko, to wszystko jest bardzo smutne. Ale o mnie się nie martw! Ja wcale nie straciłem pracy. Naprawdę.

- Naprawdę? - spojrzała na niego swymi rodzinnie pięknymi oczami.

- Oczywiście. Ale poza tym - dodał z pośpiechem, żeby ją jakoś zadowolić - wszystko to jest dosyć smutne.

Kiedy w pokoju Celiny zadzwonił telefon, Fela rzuciła się w jego stronę, ale Celina była bliżej, wobec czego Fela została na progu kuchni, nasłuchując trochę niespokojnie.

157

- Dzień dobry, Kociu. Nie! Wyobraź sobie, że zupełnie zapomniałam. Taki był dzisiaj dzień trochę rozerwany. Co ty mówisz - Celina umilkła i słuchała pilnie, spoglądając kątem oka na Felę, która podeszła na środek pokoju. - Wiesz na pewno? Ależ to byłoby bardzo smutne!

- Konstancja? - zapytała Fela wyciągając rękę po słuchawkę i uchylając się zrećnie od ewentualnego współczującego uścisku. - No i co, Konstancjo? Zadowolona? Ja też! O czym ty mówisz? O egzaminie! To mi zupełnie wyleciało z pamięci. Oczywiście, że to było dość ważne, ale w międzyczasie zdarzyło się coś dla mnie ważniejszego. Po prostu wychodzę za męża.

Celina otworzyła szeroko usta, jakby chciała coś zawołać, ale Fela mrugnęła do niej wesoło i uspokajająco i Celina przysiadła na brzegu tapczana, wpatrzona w nią, jakby nie chciała stracić ani słowa z tak niezwyklej nowiny.

- Za kogo? - Fela przetrzymała trochę to pytanie, wcale jednak nie dlatego, aby chciała być tajemnicza, tylko po prostu nie mogła sobie przypomnieć, jak też ma na imię ten jej konkurent i czy w ogóle ma jakieś imię. - Za Prandotę! Prandotę ojca -dodała, żeby nie było żadnych nieporozumień. - Tak, to już zdecydowane.

Celina bezdźwięcznie klasnęła w ręce gestem, który mógł wyrażać zarówno zdumienie, jak zawód czy rozczarowanie i Fela poczuła, że jednak winna jej jest jakieś wyjaśnienie. Konstancja to inna sprawa, a Celina... Ku zdumieniu Feli Celina wydawała się nie tylko zaskoczona, ale jakby zmartwiona. Co jest grane? - No to, pa! - powiedziała do Konstancji, która umilkła, przetrawiając widocznie tę wiadomość i odwróciła się do Celiny.

- Felinko, czy ty tak opowiadasz tylko Koci, czy mówisz to serio?

- Oczywiście.

- I rzeczywiście pan Prandota...

- Jasne. Przecież pani sama mówiła - dodała z nagłą satysfakcją - że odniosła pani wrażenie, że mówiąc pani tak wiele o sobie, mógł mieć coś na celu, że mógł liczyć na to, że pani to komuś powtórzy.

- No właśnie! - wykrzyknęła Celina. - Ale ja byłam pewna, że to chodzi o Kocię!

158

Delikatne ni to pukanie, ni to drapanie do drzwi przerwało rozmowę i zaraz rozległ się zdyszany szept Sabinki, która przybiegła, żeby się dowiedzieć, na ile krzeseł może liczyć, inaczej, ile krzeseł jej Celina pożyczy.

- Dla młodych mam nowy dywan i poduszki - poinformowała z dumą. - Za granicą w eleganckich domach zawsze siadają na podłodze, ale dla starszych osób to niewygodne. Pięć krzeseł -i będę zadowolona.

Ustalono, które będą krzesła, i cichutki osobnik zwany mężem Sabinki miał je zabrać w dniu uroczystości. Ale to widać nie było jeszcze wszystko. Chodziło o to, żeby pani młodsza zajrzała na minutkę do Sabinki w celu ostatecznych porad konfekcyjnych. - Co do

czego i w ogóle – określiła to zwięźle Sabinka.

- Za minutkę wpadnę, pani Sabinko.

Kiedy Sabinka wyszła wreszcie, Celina popadła znowu w swoje strapione zamyślenie.

- Tak sobie myślę, Felinko - zaczęła ostrożnie - jak to będzie, jeśli trafi ci się ktoś odpowiedniejszy?

- Odpowiedniejszy? - zdziwiła się Fela. - Niby jak?

- No młodszy, bezdzietny, z piękną przyszłością... Może będzie ci się bardziej podobać...

Należało uspokoić biedną Celinę. Przecież wcale nie chciała tych nowych rozważań o swoim losie. Po prostu chciała uciąć łeb sprawie egzaminu i mieć spokój.

- Ojej! - powiedziała lekko. - Przecież istnieją rozwody! - i nie patrząc już na Celinę wybiegła do Sabinki, aby z przyjemnością posłuchać o cudzych kłopotach.

Rozwody! - myślała z cieniem goryczy Celina. - To nie jest dobry pomysł. - Nie, to zupełnie nie jest dobry pomysł. Ale czy mogę jej to wytłumaczyć, nie mając absolutnej pewności? Pewności, czy Adam uważałby, że jest to dla niego odpowiednia dziewczyna. Pewnie, że Adam może trafić na dziewczynę zupełnie niezwykłą, odpowiednią na żonę niezwykłego człowieka. Ale jeśli nie trafi? Jeśli będzie spotykać tylko takie Marzeny? On jest taki naiwny, tak od razu każdej wierzy. Fela przynajmniej jest sprawdzona. Ma wszelkie zalety domowe, jest pracowita, lubi dzieci... I nie jest głupia! Nawet dobrze, że nie dostała się do tej szkoły, bo to jej nie będzie odrywać od domu.

- Tu Celina westchnęła ciężko. -

159

Tak myślę, jakby sprawa była jasna. A nie jest! A jeżeli Adan zgrymasi, ja jej wybije z głowy tego Prandotę i dziewczyna zostanie na lodzie? Przecież między nami mówiąc, to dla niej znakomita okazja! Człowiek jeszcze młody, przystojny, z pozycją. Dzieci odchowane, tylko ten jeden mały, a ona za nim przepada, jak za własnym. Ma gotowy dom i rodzinę i jeszcze przy takim mężu może trochę świata zobaczyć. Dlaczego to nie Konstancja mu się spodobała?

A Konstancja w tym czasie, odłożywszy na bok wszelkie rozważania na temat losu Feli, zasiadła do pisania długiego i w miarę uczuciowego listu, w którym w oszczędnych słowach donosiła

o swoim egzaminacyjnym sukcesie i zapewniała o dobrym zdrowiu i samopoczuciu Celiny. Również w tym czasie Sabinka świszczącym szeptem zaklinała Felę o pomoc w bardzo ważnej sprawie.

- Czy pani to może pojąć, w jakiej ja się znalazłam sytuacji? Ani rusz w żadną stronę! Pani słyszy, jakiej ja chrypki dostałam? To nerwy! Żeby taki łobuz uchlał się przed samym świętem w rodzinie!

- Kto?

- Darek. To jego jest ten biały mercedes. On go sobie przywiózł z zagranicy już będzie rok i na wszystkie śluby nim ludzi wozi. A teraz mercedes stoi sobie w garażu, a Darek może się najwyżej na słoneczku opalać.

- Bo co?

- Drogówka go przyhaczyła i na miesiąc mu prawo jazdy wzięli. Przysięgał, że cały tydzień będzie na nasze rozporządzenie, tu za niecały tydzień chrzciny, pojutrze Dominik przyjeżdża i też do niego trzeba pojechać - i kto to zrobi?

- No, a jakiś kolega tego Darka?

- On żadnego ze swoich koleśków na mercedesa nie puści. Powiedział mi tak: „Znajdź - mówi - inteligentnego człowieka, co ma swój wóz i wie, co to dobra maszyna, to sam z nim pogadam

1 puszczę go. Ale taki wóz trzeba umieć uszanować i delikatnie do niego podchodzić. Byle komu wozu nie dam"! A tam, trzeba pani wiedzieć, już nawet aniołek jest na dzióbku przywiązany. Do ślubu Darek daje lalkę w białej sukni, ale do chrztu lepiej idzie aniołek.

160

1

M

m

i

i ii

I', '1

- Lepiej - zgodziła się Fela. - No więc, co pani zrobi?

- Ja nie mogę nic. Ale pani może. I pani mi to zrobi, moja złota! Pani ma na pewno tyle znajomości, ciągle ktoś z wizytą przychodzi! Niech pani pogada, czyby kilka razy tym mercedesem dla mnie nie obrócił! Uczciwie zapłacę, pani wie, że to duży pieniądz.

- Dlaczego ja? Przecież ten inżynier z drugiego ma wóz i kto wie, może by się zgodził? Jest tyle wozów na podwórku, niech pani pogada! Sabinka skrzywiła się. - Jak by tu pani wytłumaczyć? Darek się nie zgadza! Jemu się rozchodzi, żeby to był ktoś obcy. Inteligentny i obcy.

- Inteligentny i obcy? - powtórzyła ze zdumieniem Fela.

- A jak? Obcy przyjdzie i pójdzie. Swoją dolę dostanie, jeszcze pięknie mu się podziękuje i więcej go nie bawi. A taki, co się go zna na co dzień, to na prawo i lewo będzie potem opowiadał, dlaczego Darek szukał zmiennika. A po co mu to?

- Rozumiem - powiedziała poważnie Fela. - Ale skąd ja pani wezmę takiego inteligentnego i obcego?

- A ci panowie, co panie odwiedzają? Tego starszego, to nawet widziałam w takim małym fiaciku. Jak był u pani starszej, to go postawił aż tam, za rogiem. Dzisiaj, proszę pani, to nikt groszem nie pogardzi! Niech go pani zapyta? A nie on, to może kto inny?

Feli oczy zabłysły. - A wie pani, że to racja! Zapytam! - I nie wróciła do domu, tylko cichutko wymknęła się na ulicę. Przez chwilę zawahała się, ale potem poszła szybko w stronę najbliższego automatu. Przez drogę myślała, że jeśli popełniła już jedno wariactwo, opowiadając Konstancji i Celinie niestworzone rzeczy, oparte być może na wariackim żarcie, to dziwaczna propozycja Sabinki będzie bardzo dobrym pretekstem do jakiegoś wyjaśnienia tej głupiej sytuacji. Nagle uświadomiła sobie, że w głębi duszy wcale nie uważa tych oświadczeń za wariacki żart. Że właściwie czeka na ich potwierdzenie, na... - mniejsza o to.

Przekona się przynajmniej, czy ma poczucie humoru - u-sprawiedliwiała dodatkowo samą siebie za nagłą chęć tej rozmowy. Bo cóż wart jest człowiek bez poczucia humoru? Przypomniała sobie również, że ani razu nie widziała go śmiejącego się, bo nie

należy brać pod uwagę uprzejmych uśmiechów podczas rozmowy z Celiną. Zawsze był jakiś strapiony, nieobecny, a może po prostu zły. Obiecała wtedy na kredyt, że go pobłażliwie poklepie po ramieniu przy pierwszej okazji. Jakoś wydało się jej teraz to dość głupie. Przecież chyba nie był osłem, jeśli to do niej właśnie do niej skierował te słowa na ulicy, i nie odwołał ich ani nie zamienił w żart, kiedy szedł potem za nią potulnie z rękami ubabranymi rozbitymi jajkami. Poznał się na niej. Po prostu poznał się na niej i ofiarował jej to miejsce, które uważał za szczególnie ważne i dla siebie cenne.

Miejsce, które tylko ona mogła zająć.

Dobiegła do automatu i szybko nakręciła numer fotelu. O dziwo, nie był zajęty.

- Z panem redaktorem Prandotą proszę - powiedziały wesoło, mając już prawie na języku wiele ciepłych i zabawnych powiedzonek dotyczących Sabinki i nie tylko...

- Pana redaktora nie ma. Wyjechał.

Umilkła na chwilę. - No? - odezwał się niecierpliwym głosem z hotelu. Odchrząknęła i przybrała znowu wesoły wyraz twarzy, aby jej głos zabrzmiał możliwie niefrasobliwie.

- Zupełnie wyjechał?

- Nie wiem. Pewnie wróci, bo zostawił rzeczy. Hąot - zawołał niecierpliwie, bo w aparacie odezwały się jakieś trza-

- Halooo? Cest le numero... - odezwała się międzygodowa i Fela odwiesiła słuchawkę.

Wróciła szybko do domu, gdzie odbyła krótka, wesoła rozmowę z

Celina na temat uroczystych toalet, które Sabinka je; prezen-towała, po czym położyła się spać.

162

r

Rozdział osiemnasty

Nazajutrz na miasto spadła mgła gęsta jak mleko, rozmywając obraz ulicy i głuszając dalekie odgłosy tramwajów. Adaś zasnął i Fela, która obudziła się wcześniej, wyspana i z niespodziewanie dobrym samopoczuciem, zapatrzyła się na zawoalowane mgłą okno niemal z zachwytem. Szyby powleczone były na zewnątrz jakby błękitnopozielatym puchem, w którym rozbłyskiwały obramowane tęczą światelka. Stojące na oknie doniczkowe rośliny rysowały się na tym tle ostrą, ciemną zielenią i robiły wrażenie małego lasu, czy też fantastycznej dżungli, odcinającej pokój od reszty świata miękko i przytulnie. Tu było zupełnie bezpiecznie i człowieka nie mogły osiągnąć iadne nieprzewidziane, przykre zdarzenia. Fela wstała szybko i pobiegła do kuchni, aby sprawdzić, czy ta przyjazna zaciszność ogarnia całe mieszkanie.

Okno w kuchni wyglądało jeszcze piękniej, gdyż nie było za nim żadnej bliskiej zabudowy, natomiast tuż za szybą rysowały się delikatną szarością gałązki rosnących pod oknem krzewów. Na płycie kuchenki palił się błękitnym płomieniem gaz - jasny dowód, że Celina wstała pierwsza, co się jej nigdy nie zdarzało, a więc niewykluczone, że źle spała, że czuje się niedobrze, jednym słowem, że najwyższy czas, aby pomyśleć o życiu.

Celina powitała Felę nikłym, bolesnym uśmiechem. Tapczan zasłany, stół przygotowany do śniadania, a ona sama całkowicie ubrana miała tę swoją dzielną minę, która prowokowała do zadania pytania: „Co ci jest, kochanie? Na pewno źle się czujesz”?

Nie! - pomyślała z buntem w duszy Fela. - Nie zapytam o nic. I z zimną krwią powiedziała: - Ślicznie pani dziś wygląda!

Celina kiwnęła boleśnie głową i znękanym głosem zapytała: - Co to dziecko tak dzisiaj długo śpi? On już wczoraj wydawał mi się trochę niewyraźny!

I znowu nic nie potoczyło się tak, jak powinno. Mały odezwał się nagle nader rażnym głosem, a jakby to nie wystarczyło, dla potwierdzenia jego sił żywotnych rzucił gumowym kotkiem we wchodzącą Felę. Potem jednak był niezwykle grzeczny i nie nastęrczał najmniejszego pretekstu do gorzkich uwag. Rogaliki na śniadanie przyniosła nowa, nieznamoma praktykantka, wszystko układało się pomyślnie. Celina na czas śniadania jak gdyby odwiesiła na bok swój bolesciwy nastrój i dość zwawo chrupała rozkosznie pachnący rogalik, ponieważ w gruncie rzeczy bardzo gustowała w smacznym jedzeniu i nieraz jakiś przysmak ratował ją przed upadkiem ducha.

Adaś jadł swoje śniadanie siedząc na kolanach Feli, na co Celina patrzyła bez zwykłej przychylności.

- Zanedbałaś się przez to dziecko, Felinko - powiedziała smutno - nie szcztokujesz włosów, a takie miałaś piękne...

- Ale mam dobry charakter i jestem pracowita! - roześmiała się Fela. - A to są cnoty też nie do pogardzenia, jak to widać na załączonym obrazku. Była trochę zła na Celinę za tę uwagę, która prawdopodobnie miała być zręcznym nawiązaniem do spraw, o których dziś nie chciała ani mówić, ani myśleć. Na to będzie czas, kiedy ten niewierny, niepoważny, a może Bogu ducha winny, będzie osiągalny i cała sprawa jakoś się wyjaśni. Na razie trzeba się migać i nie dać się zwariować. Trzeba przecież również obmyślić sobie starannie jakąś postawę wobec każdej z trzech ewentualności: a) niewierny, b) niepoważny, c) Bogu ducha winny. Wobec każdej z tych tymczasem nie do' odgadnięcia twarzy trzeba będzie jakoś się zachować. Wszystko to najlepiej można ob-myśleć w czasie spaceru z małym. Oczywiście trzeba też zrobić zakupy, ale to nie jest żadna przeszkoda! Każde zakupy są teraz iry-tujące, a irytacja pobudza krew do szybszego krążenia i wzmaga ostrość dowcipu.

Ku południowi mgła opadła i pokazało się słońce, blade i rozpylone.

Było gorąco i parno. To ta pogoda - pomyślała Fela -lak rozstraja Celinę, która znowu straciła swoją zwykłą rozmowność i miała minę zgaszoną i niezadowoloną. Brała od niechcienia udział w porannych porządkach, ale widać było, że myśli o czymś innym. Ożywiła się dopiero, kiedy Fela, już gotowa do wyjścia, zawieszała zakupowy koszyk na rączce wózka.

- Gdzie jest mój list? - zawołała.

164

165

- Jaki list - zdziwiła się Fela, wchodząc do pokoju. Celina szukała czegoś na swoim stoliku przy tapczanie, wytrząsając książki i podnosząc serwetki. - List! - powiedziała niecierpliwie. - Sabinka wczoraj oddała mi list, który przez pomyłkę wrzucono do jej skrzynki. Leżał tutaj jeszcze przed chwilą!

Fela ogarnęła wzrokiem kąt pokoju, uklękła i zajrzała pod stół. - Ależ nie tam! - zaperzyła się Celina. - On leżał na stoliku! Jeszcze w tej chwili!

- Ten? - zapytała flegmatycznie Fela, wyciągając zza tapczanu białą kopertę.

Celina chwyciła list, zaglądając szybko do środka. - Tak, rzeczywiście ten. Ale w jaki sposób on mógł się tam znaleźć? Przecież położyłam go na pewno na stoliku... Była zmieszana, nieszczęśliwa i nieufna.

Czy ona się boi, że ja czytam jej listy? - przemknęło przez myśl Feli. - Co za idiotyzm. Czy ma jakieś kłopoty? Coś się stało z Adamem? Znowu jakaś dziewczyna? Zmartwychwstała Marzena? Ale co ja mam do tego?

- No, to ja idę! - powiedziała wesoło, ażeby zakończyć sprawę. Celina stała przy oknie z listem w ręku, niepewna i zdesperowana.

- Nie wyobrażam sobie - powiedziała patrząc na podłogę - żeby Adam mógł się ożenić z rozwódką. Po czym pożegnała Felę życzliwie i radziła, żeby wrócili niedługo, bo może być deszcz.

Acha - pomyślała Fela. - Ta Marzena jest rozwódką! No, nie wiem, kto biedniejszy!

Celina, zostawszy sama, westchnęła i postanowiła zabrać się do jakiejś roboty, która pozwoliłaby jej opanować zdenerwowanie. Taką mogłaby być na przykład robota na drutach, więc wyciągnęła szufladkę, w której znajdowały się jej mogące przydać drobiazgi, czyli tak zwane przydasie. Wyciągnęła torebkę, w której znajdowała się zaczęta robota na drutach, i spojrzała na nią z żywą niechęcią. Miał to być maleńki dziecięcy sweterek z poma rańczowej wełny. Celina pociągnęła za nitkę i spokojnie, systematycznie spruła swoje dzieło, nawijając wełnę porządnie na kłębek

To jej przyniosło ulgę. Spojrzała na list, leżący między kłębuszkami na stole i pomyślała, że postąpiła słusznie. Dzwonek do drzwi sprawił, że zastanowiła się przez chwilę, czy w ogóle otworzyć. Jeśli to znowu jakieś cudze sprawy, to, na Boga, nie ma na nie ochoty! Ale to może być również Sabinka, a ona wie, że Fela wyszła z małym, więc Celina jest w domu. Z Sabinką zaś lepiej nie zadzierać. Westchnęła i otworzyła drzwi. To była Konstancja.

- No i co pani powie na tę naszą Felinkę? - zaczęła wesoło, ale widząc nieszczęśliwą minę Celiney zapytała: - Czy coś się stało?

- Nic, nic. Cóż by się mogło stać? Tak po prostu mnie to wszystko bardzo dziwi. Wydaje mi się to jakieś... No, po prostu, moja Kociu, czy ty uważasz, że Fela wie, co robi?

Konstancja spojrzała na Celinę szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego?

Celina wzruszyła ramionami, spoglądając na Konstancję mniej przychylnym okiem.

- Tobie się to nie wydaje dziwne? Tak ni stąd, ni zowąd: „wychodzę za mąż"! Ja przecież bardzo dobrze życzę Felince i naprawdę chcę dla niej jak najlepiej, ale żeby się chociaż zastanowiła, chociaż poradziła! Ja nic nie mówię przeciw temu człowiekowi, ale... Żeby zostawiła sobie jakiś czas do namysłu...

- Mówiła o tym tak zdecydowanie, może się już dostatecznie namyśliła! Przecież, pani Celinko kochana, Fela jest spokojną, rozsądną dziewczyną!

- No właśnie! - potwierdziła Celina z pretensją w głosie. - Spokojna, rozsądna, pracowita i ma dobry charakter! - dodała z naciskiem. - I co? Szast-prast - i zdecydowała się! Ale i temu człowiekowi się dziwię!

- Czemu mu się pani dziwi, jeśli pani uważa Felę...

- Dlatego mu się dziwię! - wskoczyła jej w słowo Celina. - Przecież powinien się zastanowić, że dziewczyna nie ma takiego doświadczenia jak on, powinien dać jej trochę czasu, poradzić się kogoś, choćby mnie...

Konstancja spojrzała uważnie na Celinę i położyła rękę na jej splecionych dłoniach.

- Niech się pani tak nie przejmuje, droga pani Celinko! Nie trzeba! Wszystko będzie dobrze, a nawet jeszcze lepiej.

166

167

- Ja się przecież wcale nie przejmuje! - obraziła się nagk Celina.

- Ja tylko mówię, że to nie jest w porządku. No, po prostu nie jest w porządku!

- Młodym wiele trzeba wybaczyć! - powiedziała namaszczonej tonem Konstancja, ale Celina nie podchwyciła żartu, tylko ciągnęła dalej, rozżalona: - Moja Kociu! Ja to wszystko dobrze rozumiem, ale i młodzi też nie muszą być tacy bezmyślni! Weź na przykład Adama.

Młody, prawda? Nawet o parę miesięcy młodszy od Felinki - dodała z niechęcią - a pisze mi właśnie - sięgnęła z ożywieniem po list - że chciałby ze mną porozmawiać o dziewczynie, którą... która go interesuje, o której chciałby myśleć poważnie, i chciałby, żebym ja również spojrzała na nią jako na ewentualną...

Konstancja słuchała uważnie, nie przerywając, i Celina, zachęcona jej milczeniem, ciągnęła dalej.

- Bo widzisz, moja Kociu! Mnie ten list Adama bardzo daje do myślenia. Jeżeli on pisze, że jest to dziewczyna niezwykle utalentowana, wrażliwa i skromna, jeżeli pisze to wszystko tak, jakbym ja ją dobrze знаła - to twoim zdaniem, kogo on ma na myśli? - I widząc życzliwe zainteresowanie Konstancji tryumfująco podniosła palec: - Jasne, że Felinkę! Felinkę, która nic o tym nie wiedząc, ot tak - wybiera się wyjść za mąż!

- Okropne! - zgodziła się Konstancja.

- Lekkożylnie! - poprawiła ją Celina. - Przecież gdyby znała sprawę od tej strony, może zmieniałaby zdanie. Przecież i tego człowieka stawia w dziwnej sytuacji, jeśli teraz tak się zgadza stanowczo, a potem powie mu nagle - nie!

- Myśli pani, że tak powie?

Celina spojrzała na nią z politowaniem, nawet nie odpowiadając, a Konstancja szybko postarała się naprawić swój błąd.

- Dobrze. Ma pani rację. Pomówię z Felą. Oczywiście to trochę potrwa... Ale jeszcze raz mówię - niech się pani nie martwi. Adam do pani tak ładnie napisał - to też coś warte!

Celina rozczuliła się nagle. - No widzisz, Kociu! Z tobą to ja się zawsze dogadam. Bardzo mnie uspokoiłaś. Bardzo.

Konstancja biegnąc do domu raz po raz parskiła krótkim śmiechem. Głupi - myślała, wkładając w to słowo wszelkie możliwe wzniosłe uczucia. - Ach, jaki głupi!

- No i co będzie, Sabina, z tym wozem? - pytał niespokojnie Dariusz N., kierowca ukarany dość srogo, ale sprawiedliwie. - Ja już swoje powiedziałem, byle komu wozu nie dam. Żałuję, siostró, ale jak nie będzie odpowiedzialnego człowieka, to pojedziecie taksą. Nic nie poradzę!

Niespokojne oczy Sabinki śledziły zza firanki powracającą do domu Felę, ale ta rozłożyła tylko ręce, a potem zrobiła porozumiewawczą i uspokajającą minę, mającą oznaczać, że co prawda trzeba poczekać, ale wszystko jest w najlepszym porządku.



W domu też wszystko było w najlepszym porządku. Celina pogodna i uśmiechnięta pochwaliła zakupy Feli, zakrzętnęła się koło przygotowań do obiadu, a potem, kiedy Fela stanowczo oświadczyła, że nie ma nic w kuchni do roboty, usiadła w swoim pokoju, wydobyła kłębek pomarańczowej włóczki i zaczęła na nowo robotę małego, dziecinnego sweterka. Biedne dziecko - myślała - kto tam się nim zajmie! Niech ma chociaż co na siebie włożyć.

Młodociany Adam Prandota lub Dudek, jeśli kto woli, był co prawda zbyt jeszcze niedoświadczony, aby zastanawiać się nad przyczynami zjawisk psychologicznych, występujących w jego otoczeniu, ale za to bez żadnych zbytecznych dociekań korzystał z niebywalej pobłażliwości i pieszczotliwych starań, jakimi go nagle otoczono. Nie tylko bowiem Celina widziała czarno jego przyszłość, ale i Fela.

Znajdowała się bowiem na tym etapie rozważań na temat swojej niepewnej sytuacji, na którym postać jej kandydata na dozgonnego towarzysza wydała jej się zgoła niepoważna. A co się u boku takiego ewentualnego samotnego ojca stanie z małym? A jeżeli to był tylko nieprzemysłany wybryk, to małego lada dzień zabierze do Warszawy jego, pożałuj, Boże, rodzina. Co prawda, jak na razie, do chwili wypadku chyba jakoś tam o niego dbali, ale teraz? Z dbałości i żalu nad małym obcięła mu starannie paznokcie, bo cóż więcej mogła zrobić? I w dodatku on wcale tego nie docenił.

168

169

~ Czasem zdaje mi się, że mam okropnie dużo dzieci i zupełnie nie mogę dać sobie z nimi rady - rzekł bezradnie przedmiot rozterki Feli do doktora Gucia, którego spotkał na szpitalnym korytarzu. - A mam ich przecież tylko troje, a właściwie dwoje, bo Witek jest już zupełnie dorosły, a nawet chwilami wydaje mi się doroślejszy ode mnie!

~ Niech pan odliczy jeszcze jedno, bo o małego nie musi się pan w tej chwili martwić. Więc co? Chodzi o córkę?

~ Właśnie. Chodzi o Lucynkę. Co się z nią dzieje? Zupełnie jej nie poznaję. Zawsze byliśmy w przyjaźni i rozumieliśmy się doskonale, a teraz... - machnął ręką - nie wiem, co się stało.

Gucio spojrział na niego wyrozumiale i jego różowe oblicze przybrało wyraz skupiony. Nawet jego głos brzmiał zupełnie inaczej - stracił swoje niefrasobliwe brzmienie, które tak podnosiło na duchu małych pacjentów. Guccio teraz nie mówił - Guccio wygłaszał.

- Mówi pan o braku zrozumienia między panem, człowiekiem zdrowym, a pana córką, osobą chora. Choroba jako taka wprowadza w organizmie człowieka nie tylko zmiany fizyczne -ale również, poprzez oddziaływanie wewnętrzne uszkodzonych organów, szczególne stany psychiczne. Psychoza pourazowa charakteryzuje się wyraźnym utrudnieniem kontaktu z otoczeniem, zaburzeniami nastroju jak stany lękowe, płaczliwość...

~ Ależ to straszne! - krzyknął Prandota. - Psychoza pourazowa?

Gucio oprzytomniał i spojrział na niego normalnie. - Ech, niech pan tak tego nie bierze do serca! Do psychozy jeszcze daleko, takie stany pourazowe leczą się same. Niech pan się nie przejmuj, jeśli panienka popłacze sobie trochę bez powodu. Niech pan jej na to pozwoli. To przecież tak, jakby wypociła nadmiar płynu w organizmie. Niech jedzie do tego sanatorium, a jak wróci, wszystko będzie dobrze.

Strapiiony ojciec zajrzał jeszcze na chwilę do kancelarii szpitala i wreszcie z wahaniem przystanął na chwilę pod drzwiami pokoju Daniela.

~ Dzisiaj nie ma odwiedzin! - powiedziała stanowczo, ale nie za bardzo stanowczo, okrągła pielęgniarka, zdążająca do tegoż pokoju z tacą medykamentów.

170

- Wiem - westchnął - ale to sprawa rodzinna - dodał szybko, myśląc o Lucynce.

- Pan jest bratem chorego? - przyjrzała mu się i widocznie uznała to za możliwe, gdyż dodała: - No, to na minutkę! I niech pan zabierze z sobą tę panienkę.

Brat! pomyślał tata Lucynki. No, to nie najgorzej! -dzięki czemu wszedł z tak promiennym obliczem, że siedząca przy łóżku Lucynka zdziwiła się.

- Co się stało? - zapytała niepewnie.

- Dzień dobry. Same dobre rzeczy. Przede wszystkim: zdałaś! Coś ty opowiadała, że nie ma cię na liście! Przecież listę wywieszono po twoim wyjeździe z Warszawy!

- Lucyna! - krzyknął Daniel, ale Lucynka ani nie klasnęła w ręce, jak by należało na tak radosną wiadomość, ani nie rzuciła się na szyję nikomu z obecnych. Lucynka splotła rączki, zrobiła smutny ryjek i nagle chlipnęła boleśnie.

- To znaczy - wyjąkała - to znaczy, że wszystko stracone! Przecież jak zacznie się rok akademicki, to ja będę w sanatorium! I skreśla mnie! A na drugi rok na pewno nie zdam! To była jedyna szansa! - i tu zaskomlała cicho, lecz przejmująco.

- Lucyna! - powtórzył Daniel, ale tym razem ze zgrozą.

- Wszystko już załatwione, zgłosisz się do akademii po sanatorium

- rzekł nagle zniechęcony Prandota. - Ale jak chcesz, to popłacz sobie, popłacz! Proszę bardzo!

- A to co za histerie? - wykrzyknęła gruba siostra, wchodząc nagle ze swoją tacką. - Mówiłam, że tylko na minutkę! Nie wolno denerwować chorego!

- Siostrzyczko! To ze szczęścia ten płacz! - zawołał Daniel, tłumiąc śmiech na widok obrażonej miny taty Prandoty.

- Ze szczęścia to się najlepiej płacze na korytarzu - oznajmiła nieugięcie - no, dalej, dalej...

Daniel bezradnie rozłożył ręce, podnosząc brwi w górę. Gość odsygnalizował porozumiewawczym mrugnięciem i wyciągnął rękę do Lucynki, ale ta zerwała się i sama wybiegła na korytarz.

- Dlaczego wy, wy obaj, nie traktujecie mnie poważnie? - zaskomlała, kiedy szli już w kierunku wyjścia.

- Obaj? Daniel też? - zapytał z zainteresowaniem ojciec.

171

Spojrzała na niego z uraza, ale łzy jej obeschły. Powiedziała coś niewyraźnie i przyśpieszyła kroku.

- Co mówisz? - zapytał, doganiając ją.

- Nic, nic. Właściwie strasznie się cieszę z tej akademii. Tylko jak ja dam radę? Łodzian przychodzi tylko co drugi dzień, a co będzie z Adasiem?

- Chyba będzie dobrze. Zostaw to mnie.

- Ach, jak to dobrze! - westchnęła Lucynka. - Jak to dobrze usłyszeć „zostaw to mnie"! To zupełnie, jak kiedyś... Wiesz co, tato?

- powiedziała rozglądając się, bo właśnie wyszli na ulicę:

- Chodźmy na lody! Żeby było zupełnie jak kiedyś!

Spojrzał na zegarek. Jeszcze nawet nie był w hotelu, nie miał czasu nigdzie zatelefonować. Prosto zajechał do szpitala. No, trudno. Dziś Lucynka jest najważniejsza.

- Dziś już muszę wiedzieć, co jest z tym wozem - szepcze demonicznie Sabinka, zastępując drogę wychodzącej z domu Feli.

- Właśnie idę się dowiedzieć - odpowiada Fela i wcale nie kłamie.

Właściwie bardzo jej zależało na tym, żeby wyskoczyć na chwilę i spokojnie zatelefonować, ale zupełnie zdumiewające wydało jej się zachowanie Celiny.

- Idź się trochę przewietrzyć, Felinko! To niemożliwe, żebyś ciągle siedziała w domu. Możebyś zajrzała do Koci? Ona teraz siedzi jak przykuta w tej piekarni, wypada, żebyś do niej zajrzała. Może ją też namówisz na spacer? Nie śpiesz się z powrotem. Ja tu sobie świetnie radzę i nawet chętnie bym dziś sama położyła małego spać. Nigdy mi na to nie pozwalasz, a mnie to naprawdę bawi!

Fela przez chwilę zastanawiała się, o co naprawdę chodziło starszej pani, ale zbyt jej dogadzała myśl o parogodzinnej swobodzie, aby warto było poświęcić więcej czasu tym roztrząsaniom. Pobiegnęła najpierw do telefonu, ale dowiedziała się, że co prawda pan redaktor wrócił i telefonował, ale będzie trochę później.

Już ja go przyłapię! – pomyślała i szybko porozumiała się z Sabinką, ażeby Dariusz, zazdrosny kierowca, czekał w swoim garażu na dystyngowanego zmiennika.

Pozostało jeszcze tyle czasu, że można było wpaść do Kon-  
172

stancji, po pierwsze, żeby dowiedzieć się, jak to wygląda z tymi brakującymi miejscami, bo niewątpliwie zaradna Konstancja to wie, a poza tym, żeby przeczekać czas do następnego telefonu.

Konstancja urzędowała za ladą i nie było mowy, żeby mogła się urwać. Można było jednak usiąść przy niej i udawać, że się pomaga.

- Mam ci mnóstwo rzeczy wybić z głowy! Sześć rogalików – powiedziała jednym tchem Konstancja. - Razowy będzie, proszę pana, za godzinę. I poza tym powinnaś jeszcze zrozumieć wiele rzeczy. Wyдай resztę z pięćsetki, nie pomyśl się!

- Wybijaj! - rzekła z rezygnacją Fela. - Ile mam przyjąć?

- Trzydzieści sześć. Więc pomyśl, czy nie jest za stary?

- Pytel? Stary? A mówiła pani, że jeszcze ciepły! - zaniepokoiła się klientka.

- Bo ciepły. Czterdzieści pięć złotych. Uważaj! I ta gromada dzieciaków.

- Dzieci samych w domu nie zostawię! - mruknęła młoda matka.

- Nie do pani mówię! Masz się zastanowić poważnie, co będzie jeżeli, chała z maczkiem, jeżeli potem spotkasz kogoś, czterdzieści z setki, kto ci się bardziej spodoba.

- Aj ej ej! - zmartwiła się fałszywie Fela.

- Pomyliłaś się? Nie? No to jedziemy dalej. Więc na przykład, jeżeli ten ktoś, dziesięć bułek, napisze do swojej mamy, że żyć bez ciebie nie może, sześćdziesiąt cztery i piętnaście, a ty już będziesz po ślubie.

- A napisał?

- Napisał. Napisał, że bardzo blisko go obchodzi dziewczyna niezwykle utalentowana, wrażliwa i skromna... Dwie paryskie, cztery rogaliki! - krzyknęła ze złością.

Fela nie odpowiedziała nic i bardzo starannie przeliczała resztę, spoglądając spod oka na Konstancję, która gwałtownie zmiatała z lady okruchy na szufelkę dla wróbli. Tłumek kupujących zatrzymał się na chwilę, ale ich cierpliwość szybko się wyczerpała.

- No?! - zawołał ktoś. - Może dosyć tych porządków?

- Dosyć! - potwierdziła Fela. - Co za idiotyzm! Ona naprawdę myślała?... Osiem złotych, proszę.

173

- Cztery chały, oczywiście! Skromne i wrażliwe dziewczę!

- Ach! - zawołała Fela, jak jej to teraz wytłumaczę, że trzysta dwadzieścia pięć, że nie jestem niestety skromna i wrażliwa!

- Jeden pytel, cztery rogale. No, klops absolutny. Wiesz, co mi napisał? Sześć rogalik. Że wymagam opieki.

- Zamiast tych chichotów niech panie uważają, co dają! Prosiłam o chałę z makiem, a dostałam maślaną.

Fela spojrzała na zegarek. - To ja lecę. Ale błagam cię, zadzwoń i chociaż trochę wyjaśnij. Powiedz, że to wszystko jest jeszcze bardzo mgliste i niepewne. A zresztą - naprawdę tak jest.

Wszystkiego mogła się Fela spodziewać, tylko nie tego, że jej chyba nie do końca zdeklarowany konkurent wręcz ucieszy się na propozycję zastąpienia pechowego Dariusza. - Ależ to doskonale - powiedział - bardzo mi się to podoba. Gdzie mam przyjść? - I rzeczywiście po niezbyt długim czasie już rozglądał się po dużym podwórku, w głębi którego znajdował się szereg boksów. Wyglądał na zmęczonego i był mizerny, ale rozpromienił się na jej widok i zamiast pocałować ją w rękę, poklepał ją przyjacielsko po ramieniu. - No, to jestem! - powiedział. - Gdzie to jest?

Darek, czekający już przy otwartych drzwiach garażu, zmierzył go od stóp do głów szacującym spojrzeniem i lekko skinął głową.

- To jest ten wóz! - powiedział krótko. Weszli obaj do boks, zostawiając Felę jako osobę zupełnie zbędną przy poważnej męskiej

rozmowie. Wcale jednak jej to nie dotknęło. Zbyt wiele uciechy dostarczał jej widok tych dwóch prawdziwych mężczyzn, oglądających, otwierających maskę wozu i zaglądających z szacunkiem, kopiących delikatnie opony, naciskających guziczki na tablicy i wreszcie kiwających głowami nad tym cudem. Oczywiście obaj mieli ręce umazane smarem i myli je jak starzy kumple pod kranem garażu, a potem wycierali brudną szmatą, każdy ze swego końca. Nie, nigdy w życiu nie należało im przeszkadzać!

W końcu jednak czar prysł i przypomnieli sobie o niej.

- Zgoda - powiedział Dariusz. - Niech pan powie Sabinie, że daje wóz! To o której pan będzie?

No i dobrze, no i pięknie. Poszli razem w stronę domu Celiny.

Pomilczeli sobie, popatrzyli na niebo, na którym blady księżyc na ledwie ciemniejącym niebie zaczął się już rozpląwać w podnoszącej się znowu mgle.

Do licha - pomyślała Fela - powiem chyba, że ładną mamy pogodę. - Ale kiedy już byli parę kroków od domu, jej milczący cień przystanął nagle i podniósł oczy w górę, gdzie na popielatym niebie rozpyłał się blady krążek księżycy. Był to bardzo zręczny moment, żeby wreszcie coś powiedzieć, coś wyjaśnić, coś obiecać. Cień westchnął. - Mgła - powiedział. - Nie daj Boże, znaleźć się teraz na szosie! W sam czas zdażyłem.

Fela kiwnęła głową. - Proszę wybaczyć - ciągnął dalej - pójdę sobie teraz do tramwaju. Jestem bardzo zmęczony, miałem dosyć ciężki dzień. Spokojnie się jutro, będę punktualnie. - Wyciągnął do niej rękę i trzymając jej dłoń pocałował ją w czoło szybkim, roztargnionym pocałunkiem, jak się całuje dzieci. Po czym odszedł nie oglądając się.

Jednak ten blady księżyc miał okazję tego wieczoru oświetlić choć jedną prawdziwie romantyczną scenę. W weneckim oknie salonu pod rozłożystą, pierzastą palmą Guccio trzymał w ramionach Malinkę, jakby bał się, że kiedy ją puści, ona znowu jakimś sposobem zamieni się w niematerialny głos w telefonie, pytający, czy podlewa kwiaty i odżywia się dobrze. Cichym i namiętnym szeptem opowiadał jej, że naprawił zepsuty elektroluks, że przychodząca sprzątaczką umyła okna, ale marnie, że w lodówce są zachowane dla niej przysmaki. Opowiadał o wszystkich trudnych wypadkach w szpitalu i wszystkich udanych kuracjach, powtarzał plotki o znajomych i przestrogi hydraulika na temat wanny - i to był prawdziwy hymn miłosny Guccio.

Sabinka z widoczną ulgą i radością przyjęła wiadomość o łaskawej zgodzie Dariusza.

- Pani popatrz jeszcze raz na fotografię, żeby pani go od razu poznała. Aby do hotelu go dowieźć z bagażem. Z hotelu do nas to już stary go taksą dowiezie, żeby dużego szumu nie robić. On też pewnie nie będzie się spieszyć do nas, tylko spać się rzuci.

174

175

Zresztą sam pani powie, co i jak. No, to dziękuję, złociutka, i lece do roboty, bo czasu to tak jakby nie było.

Rzeczywiście z mieszkania Sabinki dobiegał stały, stłumiony harmider, brzęki i stuki, przerywane krótko wydawanymi rozkazami. Przez uchylone drzwi dużego pokoju widać było oślepiający blask kryształowego żyrandola, mieniaącego się barwami tęczy, a podłogę pokrywał purpurowo-granatowy dywan, ponakrywany ścieżkami z gazet. Tu miał być nazajutrz uroczyste przyjęcie ojciec chrzestny Dominik z zagranicy.

- Naprawdę ta Sabinka trochę przesadza! - wzruszyła ramionami Celina, wysłuchawszy opowiadania Feli. - Czegóż jeszcze jej się zachce! I jeszcze jechać na ten dworzec, szukać tego człowieka!

- Ależ to dla mnie świetna zabawa! - zawołała Fela. - Tylko mnie martwi, że muszę wyjść tak rano! Ale postaram się wrócić, nim się mały obudzi. No i jak tam Adam?! Dobrze się spisał?

- Co? - zapytała ostro i podejrziwie Celina i Fela wybuchnęła śmiechem. - Adaś! Adaś! - wyjąkała. - Czy nie dał się pani we znaki

przy kolacji?

– Był bardzo grzeczny – odrzekła zmieszana Celina. – To dziecko jest bardzo zgodne.

Na szczęście w tej chwili zadzwonił telefon i Malinka zagarnęła Celinę całkowicie w obręb pytań i nowinek. Fela poszła przygotować wieczorną herbatę, rozmyślając nad jutrzejszym spotkaniem i nad tym, czy Konstancja zdążyła i miała odwagę wyjaśnić Celinie, o kogo naprawdę chodziło w liście Adama.

– Ależ nie! Mnie to dziecko naprawdę nie przeszkadza, to takie biedactwo... – mówiła ciągle jeszcze do telefonu Celina, kiedy Fela weszła z herbatą. – Adam na pewno mnie uprzedzi, jak będzie miał przyjechać i wtedy będzie dość czasu, żeby pomyśleć. A jak tam dzieciaki? No tak, na powietrzu to wszystko szybciej przechodzi. Niech tam jeszcze zostaną, oczywiście. Ale kiedy ja panią zobaczę? Doskonale, ale już na pewno! No to do widzenia, do widzenia! Potem wypily spokojnie herbatę i Fela usiłowała zabawić Celinę opowiadaniem o gipsowym aniołku, który miał zdobić dziób chrzestnego samochodu. Ale Celina, jakkolwiek uprzejmie zaciekawiona i mile uśmiechnięta, dość blado reagowała na normalne dowcipy na temat Sabinki. W końcu rozmowa przygasła i obie doszły do wniosku, że czas spać.

Kiedy Fela miała już zniknąć w łazience, Celina leżąca już w łóżku podniosła głowę znad książki, której nie czytała.

– Felinko – powiedziała – jeśli tak się złoży, że będziesz kiedyś wychowywać chłopca, to pamiętaj, że najważniejsze jest to, żeby się nigdy niczemu nie dziwić. Niczemu, a niczemu.

176

i

Rozdział dziewiętnasty

Deszcz siąpił od najwcześniejszego rana i bure niebo, zaciągnięte kłębiastymi chmurami, nie obiecywało nic dobrego. Najstarszy z Prandotów wraz z Dariuszem gospodarowali już przy wozie, ale nie wyprowadzali go jeszcze z boksu, nie chcąc czekać na deszczu.

– Psi czas! – powiedział Darek do Feli w charakterze powitania, ale to nie znaczyło wcale, żeby miał do niej pretensję. Troszczył się tylko o wóz.

– Pojedziecie państwo na pokrowcach. Płaszczki lepiej zdjąć i położyć na kocyku z tyłu. Zdażą wyschnąć, bo ten pociąg zawsze się spóźnia. Uważajcie państwo na nogi – kładę drugie wycieraczki.

– A aniołek?! – krzyknęła Fela.

– O jasny...! – zmartwił się Dariusz. – Zapomniałem o aniołku!

– Może lepiej go zdjąć?

– Jak zdejmę; to drugi raz nie założę! To jest sztuka na raz. Ale żeby pani dała kapturek...

Fela podniosła wahaj aco rękę do niezgrabnego, plastikowego kapturka.

– No, daj – rzekł niecierpliwie jej wielbiciel, ściągając z szyi jedwabną chustkę w kolorze czerwonego wina. – Tak nawet będzie lepiej – mruknął, zawiązując ją zręcznie na głowie Feli.

– Duża znajomość rzeczy! – stwierdziła z podejrzanym u-znaniem.

– Wszystko się w życiu może przydać – odparł sentencjonalnie. – No i co z aniołkiem?

Aniołek prezentował się wspaniale pod przezroczystym, błękitnym kapturkiem i można było jechać. – Szerokiej ulicy! – życzył frasobliwie Darek. – Ale ta Sabina ma pomysły! No!

Jechali już dłuższą chwilę, kiedy najstarszy z Prandotów przestał się na chwilę delektować pożyczoną zabawką i zapytał: – Włączyć radio? Fela potrząsnęła głową. – Wolałabym porozmawiać.

– Rozmawiajmy! Ale jeśli to ma być rozmowa poważna, to może lepiej zaczekać, aż będziemy na dworcu. Nie lubię rozmawiać o rzeczach poważnych ani wzruszających, kiedy mam pod kołami mokrą jezdnię!

– Dobrze. No to na razie małe pytanie ani poważne, ani wzruszające. Dlaczego pan się tak łatwo zgodził na tę wariacką eskapadę?

– Dla tego samego powodu, dla którego ty mi ją zaproponowałaś. Żeby

trochę spokojnie pogadać, bo jak dotąd to się nam nie układa. Zadowolona? Odpowiedź może nie jest szczególnie wzruszająca, ale już zaznaczyłem, że kiedy jezdnią...

- Wiem, wiem. Ale już zaraz dojedziemy i następne pytanie zadam, kiedy będziemy stać.

- Takie wzruszające?

- Nie. Ale poważne.

Westchnął, a ponieważ byli już rzeczywiście blisko dworca, zaczął ze zmiennym szczęściem szukać kawałka miejsca dla wozu. Wreszcie znalazł. Nie było ono może najbliższe, ale za to nie groziło stłuczka ze strony wozów już stojących dokoła. Należało chronić skarb Dariusza. Ale zmiennik tegoż Dariusza nie zwracając uwagi na godną minę Feli, która szykowała się do zapowiedzianego pytania, najspokojniej, otworzył drzwi i próbował wysiąść omijając kałuże.

- Płaszcz! - zawołała Fela, bo lało bezlitośnie.

- Już biorę płaszcz. I w ten sposób, jak się zdaje, załatwiliśmy następną poważną kwestię. Ty dbasz o mnie jako o swoją własność, ja zaś kładę uszy po sobie, ponieważ uznaję twoje prawa. Pomyśl nad następnym poważnym pytaniem, a ja przez ten czas dowiem się, o której naprawdę będzie ten pociąg.

Ale Feli odechciało się myślenia. W gruncie rzeczy w wozie było zupełnie przyjemnie. Przez strugi deszczu widziała aniołka, który pod niebieskim kapturkiem tak niefrasobliwie przysiadł na białej masce wozu, i śledziła, jak niektórzy przechodnie przystają na chwilę, żeby na niego popatrzeć. Może ootem będą o tym opo-

178

179

wiadać w domu, między narzekaniami na ogonki i pogodę. Anioła w deszczu zobaczyć - tak mogłoby być napisane w senniku - o-znaczą - co oznacza? Chyba pomyślność?

- Na razie mamy tylko siedemdziesiąt dwie minuty spóźnienia - oznajmił chwilowy zmiennik Dariusza, usiłując jednocześnie ściągnąć mokry płaszcz i wsiaść w stanie suchym do wozu. - Czyli że możemy omówić wyczerpująco mnóstwo spraw, interesujących obie strony. Na czym stanęliśmy?

- Na deszczu. A poza tym nie mam więcej pytań. Przynajmniej teraz.

- Rozumiem. Można zapalić? Dziękuję. Ale biorąc pod uwagę, że mamy tylko siedemdziesiąt minut... Więc może ja zadam te kilka pytań, które bardzo chętnie byś zadała, ale uważasz je za niegodne siebie. I potem już to będziemy mieli z głowy. Pytanie pierwsze będzie brzmiało: - Dlaczego właśnie ja? Dlaczego właśnie mnie...? Nie rzucaj się, nie rzucaj. Moja odpowiedź na to pytanie powinna być szeregiem krótkich opisów czaru twojej urody i niezwyklej indywidualności. To stworzyłoby korzystną atmosferę do dalszej rozmowy, a poza tym, moje biedactwo, dodałoby ci nieco pewności siebie, na której brak wyraźnie cierpisz.

- Dlaczego więc nie stworzyć tej korzystnej atmosfery? Dlaczego nie dodać mi nieco pewności siebie?

- Bo to podobno miała być poważna rozmowa, a nie ćwierkanie.

Dlatego na to nie zadane pytanie odpowiem uczciwie: nie wiem. Mam tylko głębokie, niepodważalne przekonanie, że to jest słuszne. Wyobraź sobie - żadnych racjonalnych powodów! A mimo to, mam takie przekonanie.

Fela pomilczała chwilę, poprawiła się wygodnie na foteliku i spojrzała na zegarek. - Jak ten czas leci... - powiedziała. - Więc, o co jeszcze miałabym zapytać?

- Ależ o wiele rzeczy zapytasz i dostaniesz wyczerpującą odpowiedź. Ale w tej chwili mówmy tylko o jeszcze jednym pytaniu, którego mi pewnie nie zadasz. Właściwie to nawet nie pytanie, ale wątpliwość.

- Wiem. Właśnie wątpliwość.

- A ja nawet wiem, dlaczego wyraziłabyś tę wątpliwość. Ze strachu. Tak. Ze strachu przed wszystkimi życzliwymi ci osobami,

180

które będą ci tą wątpliwością wiercić dziurę w brzuchu. Możliwe

zresztą, że mnie też. Chodzi oto, że: „...ależ, Felinko, wy się wcale nie znacie! Felinko, co ty wiesz o tym człowieku? Czy nie lepiej byłoby poznać się najpierw trochę”?

- Czy to takie głupie?

- Ach, nie. Tylko nie dopasowane. Do nas, do naszego życia, do naszych czasów. Jak my się mamy poznać bliżej? Listy pisać? Czy spotykać się w kawiarni patrząc na zegarek i zachwalać się nawzajem? A potem w domu będziemy zupełnie inni, aż do następnego występu. No i jak się poznamy?

- A jak potem, kiedy już klamka zapadnie, przekonamy się, że jednak wcale do siebie nie pasujemy? To co?

- Moja droga – rzekł niecierpliwie – kiedy Robinson na bezludnej wyspie znalazł wreszcie Piętaszka, mógł też łatwo zauważyć, że się zupełnie nie rozumieją. Mógł go więc odesłać z reklamacją. Oczywiście plotę. Robinson nie jest dobrym przykładem, to był nadęty kupczyk, ale bezludna wyspa...

- Piętaszek nie jest dobrym przykładem, to typowy oportunistą. Był potulny w zamian za wygodne życie! A nie wątpię, że mógł równie wiele Robinsona nauczyć! Oczywiście gdyby obaj pozostali na bezludnej wyspie. Wydaje mi się poza tym, że oboje bredzimy!

- Niestety. Ale za to oboje!

- I mamy już oboje tylko kwadrans na dalsze, poważne wyjaśnienia!

- Chyba nie potrafię tego wyjaśnić – powiedział zniechęcony. – Jak ci tu wytłumaczyć, że jeżeli mam do kogoś niepodważalne przekonanie bez żadnych racjonalnych powodów – to jak sobie wyobrażasz, że będę go ważył, mierzył i śledził, żeby mieć pewność, że mi się to opłaci! Po prostu opłaci! Przecież

0 własnym dziecku też nie wiemy, jakie będzie miało skazy  
1 braki, a czy chcemy je wtedy wymienić na inne? Znowu powiesz, że bredzę!

- Nie. Ale ojciec chrzestny może już wjeżdża na peron.

Okazało się, że ojciec chrzestny jest na razie najwyżej w Kuluszkach oraz że można podjechać bliżej do wyjścia z peronu, gdzie się właśnie zwolniło miejsce. Fela przezornie milczała przez

181

cały czas manewrowania wozem, nawet najbardziej bowiem niezłomne uczucia nie ostoja się wobec ćwierkania i miauczenia nad uchem, kiedy człowiek ma wpasować wóz (cudzy!) między dwa inne, najgłupiej ustawione. Kiedy już stanęli na dobre, spojrzała na aniołka i zaczerpnęła tchu.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Poważne? – zapytał dość zgnębionym tonem.

- Myślę, że nawet dość zasadnicze. Jak ci właściwie na imię?

Zdziwił się tak, że oparł niechętnie łokieć na klaksonie, który zawył dość głośno. Czekaający w sąsiednich autach, jak również stojący przed maską, odwrócili mimo woli twarze w tę stronę, co wyglądało tak, jak gdyby wszyscy czekali z niecierpliwością na odpowiedź. – Naprawdę nie wiesz?

- Nie. Nie złożyło się.

Sięgnął do portfela, wyłuskał bilet wizytowy i podał jej.

- Witold – przeczytała z odcieniem rozczarowania – to tak jak syn, prawda?

- Nie. Nieprawda – powiedział niechętnie. – Ale powiem ci. Powiem, chociaż nawet moje dzieci tego nie wiedzą.

- Ale dlaczego? – zdziwiła się.

- Naprawdę mam na imię Apollo. No i co ty na to?

- Dosyć niezwykle... – powiedziała ostrożnie.

- Właśnie! To był jeden z niezwykłych pomysłów mojej matki. Byliśmy wtedy biedni i niezbyt-ustosunkowani, ale w rodzinie tłuła się legenda o pokrewieństwie z Conradem. Rzeczywiście byli tam jacyś dziadkowie Korzeniowscy. Więc żeby to pokrewieństwo jakoś wyeksponować, mama wpadła na pomysł o-chrzczenia mnie rodzowym imieniem. Ale jakim? Józef? Tego nikt nie skojarzy. Konrad? Tak samo. Ale ojciec Conrada miał na imię Apollo. I to było właśnie to! Można

było powiedzieć: mały ma imię po pradziadku! Na drugie imię dano mi Witold, po ojcu, i to imię mam wpisane do dowodu. Ale w metryce jestem Apollo.

- Mnie się to podoba - powiedziała w zamyśleniu. Przecież ten twój prawdziwy, czy fałszywy pradziadek uważał je chyba za imię piękne i godne. I był człowiekiem wartościowym i utalentowanym. Przecież to była piękna postać! Nie podoba mi się to, że się go wyrzekasz!

182

PK.F

e»»»<

»»«! \*\*

•!

- Ach, tak na to patrzysz?

- A dlaczego miałabym patrzeć inaczej? Przecież to chyba rozsądne. Nie razi cię, że twój zmiennik nosi imię króla perskiego? A imię polskiego powstańca i pisarza cię razi? Przecież nawet gdyby wziąć pod uwagę jego mitologicznego poprzednika, to był on opiekunem sztuk pięknych - bardzo ładny zawód - a nie uroczym playboyem! Uroczy był Ganimed, Narcyz i jeszcze kilku innych. Jesteś nie douczony, mój drogi!

- Jest! - krzyknął nagle nowo odkryty Apollo. - Lecimy! Istotnie na tym nowym miejscu było słyhać dobiegający z głośnika bełkot: „...z Paryża przez Warszawę, Koluszkę wjeżdża na tor...”

Dobiegli zdyszani, kiedy pociąg dopiero stawał. Pierwsi wysiadający podróżni wsiedli zapewne do tego pociągu raczej w Koluszkach niż w Paryżu, ale ci późniejsi mogli już jako tako pasować do Paryża. - Patrz na bagaż! - pouczał A. Prandota - po bagażu najłatwiej się zorientować!

- A twarz? - upomniała się Fela, trzymając w wyciągniętej ręce fotografię. - Chyba twarz jest ważniejsza!

- Twarz to detal! Mógł się zmienić. A z tą fotografią wyglądamy jak tajni agenci, poszukujący terrorystów.

Na szczęście tuż przed pojawieniem się właśnie barwna i opalona wersja fotografii oraz wielka waliza, tak gęsto oklejona kolorowymi reklamówkami hoteli, że chyba nie pochodziła z Koluszek.

- Mamy go! - krzyknęła Fela, wymachując fotografią i podbiegła do okazałego podróżnego, który najpierw się zdziwił, a potem bez namysłu chwycił w objęcia i ucałował ją głośno w oba policzki.

- Nie byłbym cię poznał, Joluniu! - powiedział zadowolony - - Bardzo wyrosłaś!

Sprawa wyjaśniła się szybko i ku ogólnemu zadowoleniu.

- Sabina naprawdę zwariowała - westchnął ojciec chrzestny - ale dzięki temu mogłem zrobić tak miłą znajomość - dodał z galanterią. Przyjemność była obustronna i z zadowoleniem przyjęto zaproszenie na chrzciny. Chrzcinki - poprawiła Fela.

- Dlaczego chrzcinki?

- Tak się przyjęło. Prawdopodobnie oznacza to, że uroczy-

184

stość nie będzie miała sztywnego, oficjalnego charakteru, że będzie bardziej niefrasobliwa, po prostu coś w rodzaju małego festynu rodzinnego.

- Rozumiem - powiedział z zadowoleniem ojciec chrzestny - zupełnie mi to odpowiada.

Odstawiono go do hotelu, a Dariusz obejrzał starannie wóz i wyraził swoje zadowolenie. Ponieważ deszcz przestał padać, utajony Apollo i Fela poszli teraz spokojnie w stronę ulicy Zarzewskiej nie wracając już do żadnych poprzednich tematów.

- Czy mam cię odprowadzić do domu? Czy nie będę tam niemile widziany?

- Jeśli nawet - to nie zdołasz tego zauważyć. Ale myślę, że Konstancja znalazła dość czasu, żeby przedstawić sytuację w najbardziej pojętym świetle! Ach, bo przecież ty nic nie wiesz! -I w



krótkich słowach opowiedziała historię listu. Roześmiał się.

– Nie szkoda ci takiej teściowej?

– Szkoda. Naprawdę okropnie ją lubię. Ale ona się pocieszy! To naprawdę nie był z jej strony dobry pomysł! Wszystko w porządku, pani Sabinko! – zawołała do wyglądającej przez uchylone drzwi Sabinki. – Ojciec chrzestny już na miejscu!

Konstancja była tak energiczna i zaradna, a zarazem skromna i wrażliwa, że Celina w duchu dziwiła się samej sobie, jak nawet mogła myśleć o zmarnowaniu tylu zalet u boku człowieka, bądź co bądź, starszego i obciążonego dziećmi. A dla Feli to przecież los! Człowiek poważny, z pozycją, będzie miała dom! Tak u-spokojona po wszystkich burzach i rozterkach zajęła się z upodobaniem własną osobą, i w rozmowie z „człowiekiem z pozycją” rozwinęła tyle czaru, że to go nawet nieco zaniepokoiło. Gorsze było to, że jej chwilowe zadowolenie z życia wzbudzało w niej chęć uszczęśliwienia również i innych, co przejawiało się w dawaniu Feli wielu cennych rad. Ale cóż robić? Jeśli to jej było tak potrzebne do szczęścia...

Były to dni takiego zamętu, że na szczęście nie było czasu na żadne rozmowy wyjaśniające, a zresztą, co tu było wyjaśniać?

Nie będę się do niczego wtrącać – myślała Celina – Adam

185

m

ma rozum, o ma! Cóż by on robił z tą bidulą? Pocziwe to i pracowite, ale jemu jest potrzebna zupełnie inna dziewczyna. Fela mówi, że Kocia ma wielki talent – to dobrze. Niech się uczy, niech dojdzie do czegoś. Malarze dziś dobrze zarabiają, a cóż dopiero, jeśli ktoś jest energiczny i zaradny! Adam jest człowiekiem nauki, wiadomo, że ludzie nauki są bardzo marnie wynagradzani, a tak, we dwoje, dadzą sobie radę. I między ludźmi to lepiej wygląda, jak ma koło siebie osobę, która coś znaczy, a nie taką sobie dziewczyniną. Dobrze się stało. Adam mi jeszcze podziękuje, że tak tę Kocię przygarnęłam, ośmieliłam. Jak to nigdy, mój Boże, nic nie wiadomo!

Chyba jednak Celinka ma naprawdę dobry charakter! – myślała Fela, wracając ze szkoły z wszelkimi papierkami, niezbędnymi do dostania się na studia w przyszłym roku. – Przecież już nie jestem dla niej przyszłym szczęściem Adama, a jest dla mnie tak miła, że zimno się robi. Chyba... chyba, że chce mi wynagrodzić to upośledzenie!

Ciekawe, że do Konstancji odnosi się zupełnie inaczej. Dba o nią!

– Fajnie będzie mieć w domu na zawsze tę Felę! – mówi Lu-cynka do Daniela, podnieconego tym, że w dniu jutrzejszym miał odbyć się na fotelu pierwszy spacer po korytarzu. – Jakie to śmieszne, że będzie na studiach o rok ode mnie niżej!

– Myślę, że twój tata ma dobry gust, co?

– Nie zawsze. Czasem wręcz okropny! Ale to już tak jest, kiedy ma się w domu młodego tatę. Ale teraz mam nadzieję, że się ustatkuje. Żona, dziecko... Ja się wcale z taty nie śmieję, ale jestem ciekawa, czy spoważnieje? Mam jednak nadzieję, że nie!

Tymczasem A. W. Prandota wraca ze swojego krótkiego wypadu do Warszawy smutniejszy od kosyniera na torcie. Patrzy na Felę tak, jakby był humanitarnie nastawionym katem, który ma właśnie wykonać na niej wyrok śmierci.

186

Rozmyślił się – myśli Fela – aleja się nie rozmyśliłam, więc to nie ma większego znaczenia. Wybiję mu to z głowy, oczywiście!

Ale nim do tego mogło dojść, do akcji wkroczyła Celina. Jako osoba doświadczona, a przy tym odgórnie życzliwa dla obojga, uważała za swój obowiązek dania Feli małej lekcji, jak należy postępować, kiedy bliżej nie znane przeciwności losu ściagną czarną chmurę na czoło głowy rodziny. A. W. Prandota został momentalnie otoczony tylu staraniami, obstawiony tylu przysmaczkami i zagadany tylu delikatnymi pochlebstwami, że wśród tych pie-szczotek zachowanie owej chmury na czole byłoby niewybaczalnym grubiaństwem. Wzniósł swoim zwyczajem oczy do góry i westchnął, co oznaczało, że zmiękł i jest gotów do zwierzeń.

- Kłopoty... - powiedziała z troską w głosie Celina. Nie było to, broń Boże, pytanie! Po prostu stworzyła atmosferę.

- Lucynka!... - jęknął A. W. - Lucynce wymówili hotel! Jest zjazd drobiarzy, wszystkie pokoje zamówione. Ona ma tu jeszcze naświetlania, a nawet gdyby nie miała, nie mogę jej wziąć teraz do Warszawy!

- Może by Kocia... bąknęła Celina.

- Dlaczego? Konstancja jest zbyt wrażliwa na takie sprawy! Ja to załatwię. Dzwoniła do pani Malinka i chciała wziąć do siebie Adasia. No, to weźmie Lucynkę.

- Nie wiem, czy możemy... wtrącił A. W., odzyskując nieco męskiej energii. - Poza tym, to chyba ja powinienem pójść i zapytać... Lucynka... - myślał A. W. - Czy wezmą Lucynkę! Przecież to idiotyczne! Gucio będzie do niej wygłaszał przemowy psychoterapeutyczne! Nie. Nie pójdę do nich. Tylko dokąd?

- Sądzę, że istotnie będzie najlepiej, jeśli pan do nich pójdzie - zaczęła mówić Celina, kiedy Fela przerwała jej: - Nie, nie chodź nigdzie. To był głupi pomysł. Przepraszam!

- Ale przecież coś trzeba z tą dziewczyną zrobić! - zirytowała się w końcu Celina.

- Chwileczkę? Dlaczego nie można zabrać Lucynki po prostu do Warszawy? Przecież tam też mogłaby brać te naświetlania?

- Przecież tak właśnie chciałem zrobić! Nim się jeszcze dowiedziałem, że ją wyrzucają z hotelu! Ale wszystko na nic! Po prostu - nie ma w tej chwili mieszkania w Warszawie! Jest zalane!

187

- Zalane?

- Kompletnie! Strażacy, pompy, co kto chce! Ja nocowałem w łazience, bo tam jeszcze najmniejsza ruina. Ale Lucynka! Cóż oni myślą? - zastanawiała się Celina, zachowując swoją uprzejmą i zainteresowaną minę - że ja wezmę tutaj jeszcze i tę małą? Ach, żeby tu była Kocia. Ona zawsze coś wymyśli! Wytłumaczyłaby im, że mnie też przecież należy się trochę spokoju. Biedna swoją drogą ta Fela! Taka gromada cudzych dzieci... Jak to dobrze, że Adam o niej nie myślał... rozważała dalej, zapominając, że gdyby Adam myślał, to nie byłoby tych dzieci.

- Najmocniej panią przepraszam - powiedział wstając A. W. Prandota - to ja już pójdę.

- Dokąd? Do Guciów?

- Na razie do Lucynki.

- Masz rację. Idź do niej i czekaj na mój telefon. Ja skoczę na chwilę do Konstancji i zaraz wracam.

Do Konstancji! - myślała ponuro Celina po ich wyjściu. -Naturalnie! Jak bieda to do Konstancji! Nikt się nie liczy z tym, że ona może mieć swoje własne sprawy. Że może ma coś właśnie załatwić dla Adama? Że chciałyby wpaść tu do mnie i dowiedzieć się, jak się czuję? A poza tym, przecież to artystka! Przecież musi pomyśleć i o tej swojej pracy! Przecież ta jej kariera tak się z niczego nie weźmie!

Po dłuższej chwili postanowiła zadzwonić do Konstancji. Ale telefon był zajęty, co ją dodatkowo zirytowało. Pewnie Felicja (Felicja - nie Felinka!) dzwoni do tego hotelu i oczywiście zajmuje mi telefon! No, biedni ludzie, ale ostatecznie ja też mam rodzinę i muszę się o nią troszczyć!

Przysiadła na brzegu tapczana i patrzyła bezmyślnie na otwarte drzwi drugiego pokoju, w którym Adaś miał grzecznie siedzieć w udawanym kojcu, zbudowanym z przewróconych krzeseł. Nagle wzrok jej odzyskał ostrość: krzesła były rozsunięte, a mała osoba w niebieskich majteczkach stawiała dumnie grube nóżki, idąc, a przynajmniej zamierzając iść, prosto do niej. - Uważaj! - krzyknęła, co tak zdumiało Adasia, że siadł z rozmachem na pupie, ale zaraz, nim podbiegła, podniósł się i postawił duży krok.

Celinę to rozczuliło, ale jednocześnie ogarnęły ją poprzednie pretensje. - Mój Boże, takie ładne, udane dziecko i nikt o nie nie

188

dba! Felicja już nie pamięta, że ma dziecko, tylko lata za sprawami tego człowieka, który przecież mógłby sam dbać o swoją córkę! – Podniosła się z klęczek, bo ktoś dzwonił do drzwi. To była Konstancja.

– Nie przeszkadzam? – zawołała wesoło. – Fela mnie prosiła, żebym zadzwoniła, ale wolałam wpaść. Ona zaraz tu będzie, ale chce pomóc Lucynce się zapakować i potem przyjedzie razem z nią.

– Do mnie? – zapytała lekko urażona Celina.

– Nie. Do mnie. Jest u nas na górcie dawny pokoik Flory. Odkąd Flora wyszła za tatę i sprowadziła się na dół, pokoik stoi pusty i Lucynka może tam spokojnie mieszkać. Nawet myślę, że będzie jej lepiej niż w hotelu.

– A nie lepiej byłoby u Guciów? Miałaby opiekę, lekarza na miejscu...

– Przecież ona jest zdrowa! Właśnie dobrze jej robi, jak wyjdzie z tego hotelu i zacznie żyć normalnie. Tego jej było potrzeba.

– Moja Kociu, czy ty nie bierzesz na siebie za dużo obowiązków? Nie przeczę, że to biedne dziecko, ale przecież...

– Jakie obowiązki? – wykrzyknęła zdumiona Konstancja. – Lubię tę małą, mamy właśnie wolny kąć – i to wszystko!

Celina zamyśliła się. – Może to' i lepiej, żeby nie ubierać w tę gościnność Guciów? Może by potem mieli jakieś pretensje? A Guciów trzeba sobie cenić. Życzliwy lekarz to skarb. Jednak Konstancja dobrze to obmyśliła. I czując się trochę podniesiona na duchu wskutek częściowego posiadania takiego skarbu, zagadnęła już prawie wesoło: – A cóż tam z tymi chrzcinkami u Sabinki? To już jutro, tak? A co z tą moją palmą?

– Pani palma jest najzupełniej bezpieczna! Palmę daje pani Malinka. Zna całą historię od Gucia, wpadła dziś do mnie po gorące rogaliki i powiedziała, że da palmę, bo już i tak czują się w salonie jak na pustyni z własną oazą. Sabinka już kombinuje transport! No, uciekam! Celina po jej wyjściu poczuła się rażnie i nawet dziwiła się, co ją właściwie tak martwiło. Spojrzała na Adasia, który w dalszym ciągu próbował spacerować przy przewróconym krześle i postanowiła, że pójdzie z nim na spacer.

189

– Pani Łabędzka! – usłyszała przez drzwi głos Sabinki, któremu towarzyszyło energiczne pukanie – ja tylko na chwileczkę!

– Chciałam tylko przypomnieć o krzeselkach! Bo palmę już będziemy mieć od jednej doktorowej. Większą! Mój stary z Darkiem ręcznym wózkiem przywiozą razem z tortem. A co pani? Na spacer? Ja pani zaraz wózek na schody wystawię!

Kiedy Fela wróciła, nikogo nie było w domu, co jej pomogło zebrać myśli, jak porozrzucane po pokoju ubranka Adasia. Zdawało jej się, że kiedy w mieszkaniu zapanuje ład – taki sam ład nastąpi w jej myślach. Miała niejasne wrażenie, że Celina nie była zadowolona z jej przedłużającej się obecności, z przenoszenia kłopotów rodziny Prandotów na jej teren. Bo w gruncie rzeczy, dlaczego tę biedną Celinę ma obchodzić czyjeś zalane mieszkanie w Warszawie? A może spodziewa się przyjazdu Adama? Co prawda Celina zabrała małego na spacer i jak zapewniała Konstancja, była w najlepszym humorze, ale Celina była dobrze wychowana i jej złe humorki krążyły w powietrzu jak małe nietoperze ponad jej mile uśmiechniętą twarzą. – Właściwie, dlaczego nietoperze? Przecież nietoperze mają sympatyczne pyszczki! Ale trudno, niech już będzie nietoperze!

Na początku wszystko było proste! – myślała Fela – byłam skromną panią, którą ona przygarnęła, a skromna panią o nią dbała. Pomysł Gucia z małym trochę skomplikował sprawę, ale jeszcze ciągle była to przejściowa akcja dobroczynna, której ona patronowała. Ale teraz? Teraz to jest cały klan Prandotów, który nagle spada na kark biednej wdowy. No, może przesadzam, ale nie jestem tak zupełnie daleka od prawdy.

Wprawdzie Celina wróciła ze spaceru w brylantowym humorze i gorąco wyrzucała Feli, że niepotrzebnie się męczyła przy wielkich

porządkach, ale jednak dawna niefrasobliwość Feli znikła. Po obiedzie szybko położyła małego spać i zajrzała na chwilę do Sabinki, aby jej doręczyć ów podarek „mit muzik”, który otrzymała od Gucia.

Zachwył był nadspodziewany. Sabinka oświadczyła, że gówniara dostanie to tylko na chwilę, do potrzymania, a potem skarb zajmie należne mu miejsce na komodzie. Siedząca na honorowym fotelu matka chrzestna, dziewięćdziesięcioletnia zasobna łowiczanka z bystrymi, niebieskimi oczkami, pokiwała głową z uznaniem.

- Na Wielkanoc - powiedziała cienkim głosem - to Sabina powinna dać do kościoła tę muzykę. Nasz proboszcz to nawet klatki z ptaszkami na Wielkanoc w kościele wiesza.

Nawet siedemnastoletnia Jolanta, ze śladami nieporozumień rodzinnych na twarzy, łaskawie akceptowała podarek, ale zaraz potem zniknęła w kuchni mrużąc jakiś buntowniczy monolog.

- Nie! Ja muszę pani starszej sama podziękować! - oznajmiła Sabinka i omijając Felę wtargnęła do Celiny, rozglądając się po drodze po pokoju, czy wszystkie obiecane jej krzesła są na miejscu. - Jak ja mam mojej pani dziękować za tyle grzeczności dla mojej rodziny - zaczęła i dodała z praktycznym uznaniem - i że się pani tak dla mnie wykosztowała!

- Ale, pani Sabinko - usiłowała przerwać Celina - nie ma za co, nie ma za co...

- A jak tam ten tort się udał? - wtrąciła Fela, żeby zmienić temat.

- Tort? Gmach nie tort! Pięknie przystrojony, róże, lilie, dokoła koronka z kremu, a na środku piramida i na piramidzie ani panie zgadną - kosynier!

- Kosynier? - zdziwiła się Celina. - Dlaczego kosynier?

- No właśnie? Ja też się najpierw zdziwiłam, ale na przykład Dominikowi to się bardzo podobało! I chrzestnej też.

- Czemu Jola taka zmartwiona? Przecież słyszałam, że jej pani sprawiła piękną suknię!

- O majtki! To o majtki jej chodzi!

- Jakie znów majtki?

- Czarne. Bo ona tylko czarne majtki nosi. A tego, to już ja jej zabroniłam. Na chrzciny siostry wszystko białe musi na sobie mieć! Żaden gość ani na chrzcinach, ani na weselu nie śmie mieć nic czarnego, bo to nieszczęście wróży. No to kazałam jej, żeby włożyła moje majtki, a ona na to, że za luźne, że będzie grubo wyglądać... Takie dziecko nieusłuchane!

- A jak kto ma włosy czarne, to co ma zrobić? Ogolić głowę?

- Pani żartuje, a sprawa jest taka, że nic czarnego nie można mieć! Ani guziczka!

190

191

I

- Pan Prandota nie zajrzy dziś do nas? - zapytała w jakiś czas później Celina, która wydobyła znowu pomarańczową włóczkę i robiła już drugi rękawek małego sweterka.

- Nie - odpowiedziała Fela, która siedząc na podłodze w drugim pokoju podziwiała coraz pewniejsze kroki Adasia. - Poszedł do Gucia z Lucynką. Gucio chce ją jeszcze zbadać przed wyjazdem do sanatorium.

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła Celina, aby w ogóle coś powiedzieć. Zdawało jej się, że Fela jest jakaś nieswoja i podejrzewała, że może przyczyną było jakieś nieporozumienie z A. W. Prandota. Było jej niezręcznie pytać o to wprost - a przecież mogłaby jej na pewno udzielić wielu dobrych rad. Płoneła taką chęcią.

Ale Fela nie przejawiała najmniejszej ochoty do zwierzeń, niewdzięczna! - Konstancja obiecała, że przyjdzie wieczorem i przyniesie placek z kruszonką własnej roboty - powiedziała i zabrała się do kolacji i kąpieli małego.

Celina pomyślała chwilkę i zaczęła nakrywać stół do kolacji, ustawiając lepsze filiżanki z cienkiej porcelany i płócienne serwetki zamiast bibułkowych. - Gala! - powiedziała z uznaniem Fela, podejrzewając, że może jest to maleńka lekcja ładnego nakrycia stołu

w wypadku niespodziewanej wizyty zaprzyjaźnionej osoby.

- Placek z kruszonką wymaga oprawy! - stwierdziła Celina i kiedy niebawem wpadła Konstancja z obiecany placikiem, od razu sytuacja stała się jasna. To było przyjęcie u Celiny, ona była miłą panią domu i dbała o swoich gości. Czy chodziło jej o to, aby je trochę praktycznie pouczyć, czy też o to, żeby wykazać, że jest już najzupełniej zdrowa i sama sobie doskonale daje radę -nie wiadomo. Zapewne i o jedno, i o drugie. W każdym razie jej gościom, jakkolwiek było dla nich jasne, że to przedstawienie ma jakieś ukryte cele, nie popsulo to w najmniejszym stopniu apetytu. Placek był świetny i godny tego, aby towarzyszyła mu lekka konwersacja na najwyższym poziomie. Ale ponieważ w każdej rozmowie, jeśli tylko nie dotyczyła bieżących kłopotów, wypływała jak kropla oliwy sprawa chrzcin Sabinki, więc i teraz Konstancja wysłuchiwała sprawozdania z niedawnej wizyty. Zmartwiła się słysząc o tragedii Jolanty. - Ja jej pożyczę białe, koronkowe

f

i

figi - oświadczyła wielkodusznie. - Nie wtrącaj się w sprawy rodzinne - zaprotestowała Fela - fałdziste majtki Sabinki mają tu znaczenie wychowawcze. - I tu wypłynęła sprawa strojów. Było jasne, że żadna z nich nie uniknie złożenia choćby krótkiej wizyty na salonach Sabinki. I nic czarnego!

- Spodnie odpadają... - rzekła w zadumie Konstancja.

- Matka chrzestna nie wygląda na tolerancyjną. Bezspornie Sabince zawdzięczały najmiłsze chwile tego wieczoru, bo cóż jest piękniejszego, bardziej wypoczynkowego, a zarazem podniecającego od wyciągania łańców, przymierzania, zestawiania i odrzucania, zachwyty i niesmaku, uczuć wzniosłych i abstrakcyjnych, jak każde obcowanie ze sztuką.

Kiedy oprzytomniały, Konstancja krzyknęła nagle: - A nasz zmiennik od białego mercedesa! Czy powinien być również w białym ubraniu?

- Zmiennik ma przyzwoite popielate ubranko i nie należy do orszaku, więc ujdzie!

- Ale krawat! Krawat jest z dzianiny popielatoczarnej, z dużą przewagą czarnego! To fatalnie! Trzeba koniecznie zmienić.

- Bieda w tym, że zmiennik odwiózł już swoje mienie do Warszawy i przyjechał tylko z neseserkiem. Jego też wylewają z hotelu, bo jest sympozjum asystentów pocztowych. Ubrał się w swoim mniemaniu galowo i odpowiednio, nie wiedząc, jakie czarne chmury ściga na głowę neofitki.

- Trzeba kupić nowy!

- Nie kupisz nigdzie, Kociu. Sklepy już zamknięte! Może pożyczyc?

- Ale od kogo? Tata na co dzień nie nosi, a od święta tylko muchę! Wykluczone. Gucio?

- Nie wypada. Zresztą... krawaty Gucia! Ale mam tu przecież krawaty Adama.

- Cudownie! - zawołała z niedowierzaniem Fela. - I wybierze pani coś...

- Niech Kocia wybierze - rzekła Celina namaszczonym tonem - idź ostrożnie, moje dziecko, żeby nie obudzić małego. Krawaty wiszą w szaszetce, po wewnętrznej stronie drzwi szafy.

Była to wyraźna nobilitacja, i tak ją odczytały, nie pozwalając sobie na świętokradczy uśmiech. Krawaty owszem, przedsta-

192

193

wiały się pięknie, ale wybrały najskromniejszy, popielaty, nie robiący wrażenia, iż jest najbardziej ukochany. Przecież nie o to chodziło, jaki on jest, tylko o to, że odgrywał rolę czegoś w rodzaju Orderu Podwiązki.

Rozdział dwudziesty

Było to piękne sobotnie południe, słoneczne, ale z lekką mgiełką, kiedy na podwórku bloku przy ulicy Zarzewskiej zdarzyło się coś, co sprawiło, że nieliczni przechodnie przystanęli jak wryci, a w oknach

ukazały się liczne twarze, wyrażające ni to zdumienie, ni to mistyczne wzruszenie. Mianowicie na środku podwórka ukazała się nagle nie wiadomo skąd mała i wiotka postać w długiej białej szacie, z zielonym liściem palmowym w dłoni, z wieńcem srebrnych lilii na rozwianych lokach. Postać ta podniosła w górę ręce, powiewając palmową gałązką i kto wie, czy nie uniosłaby się w przestworza, gdyby nie druga postać, roślejsza od niej i w sukni błękitnej, która podbiegła nagle i padła przed nią na kolana, chwytając rąbek białej sukni zjawiska.

– Czyś ty zwariowała, Klepka, taką suknię po prochu szargać! – wrzasnęła z gniewem i rozpaczą, podczas kiedy białe zjawisko wymachując palmowym liściem krzyczało ku górnym piętrům: – Mariola! Popatrz na mnie! Mariola!

W tej chwili jakby na odsiecz niewiniątka wtoczył się cicho na podwórko biały mercedes z aniołkiem. Sabinka oprzytomniała. Przy kierownicy siedział A. W. Prandota w popielatym krawaciku i miał minę smutnego, gipsowego kotka.

– Wsiadaj! – krzyknęła na Klepkę Sabinka, dokładając jej dla pewności po karku.

– A Jola?

– Jola jedzie taksą z innymi. Tu tylko ty i chrestni! Rzeczywiście za mercedesem wtoczyły się dwie taksówki i cały orszak ruszył wolno i godnie.

Pani Sabinka popatrzyła z satysfakcją na znikający orszak, po czym w swej błękitnej, połyskującej srebrną nitką sukni wróciła do pustego mieszkania.

– Pani nie pojechała? – zdziwiła się Fela, stojąc w otwartych drzwiach.

195

– ^ Matka przy chrzcie nie asystuje, tylko czeka w domu, aż JeJ Przyniosą ochrzczone dziecko – objaśniła. – A poza tym, to najlepsza pora na koperty.

– Koper...

Sabinka zrobiła niecierpliwy gest w stronę Feli i przybrała twarz w miły i skromny uśmiech. Fela spojrzała w kierunku jej wzroku i zobaczyła, że ze schodów zbiega pospiesznie lokator z trzeciego piętra.

– Wszystkiego najlepszego dla córeczki – wyjąkał, podając Sabince rękę w jakiś niezręczny sposób. Po czym zawrócił i równie szybko podbiegł na górę. Sabinka otworzyła dłoń, na której leżała zgnieciona niebieska koperta i zajrzała do środka.

– Tak zanadto to się nie spięli – wzruszyła ramionami – ale niech będzie. Ci z drugiego, to się znaleźli! Ale ja do nikogo nie mam pretensji. Niech tam już będzie po uważaniu.

– Pani Sabinko... – zaczęła z wahaniem Fela.

– A nie, nie! – zamachała rękami Sabinka. – Od pań, to ani grosza bym nie wzięła, złociutka! Taki prezent! I krzesła! Nie i nie! Fela wycofała się do mieszkania, aby nie być krępującym świadkiem kopertowego sezonu i rozejrzała się po pokoju, z którego znikły wszystkie krzesła. Adaś dreptał przy tapczanie tam i na powrót, a Celina siedziała wyprostowana w swoim uszatym fotelu, który na szczęście nie uległ porwaniu. – Wyjdźmy trochę z małym – zaproponowała.

– Musisz iść na ten obiad do pani Łabędzkiej – powiedziała stanowczo Konstancja do Lucynki, obliczając jednocześnie ka-SC- ~ Byłoby to głupio i niegrzecznie, gdybyś nie poszła.

– Myślę, Guciu, że trzeba by wpaść do tej biednej pani Ce-hnki. Może by wolała dziś przespać się u nas?

– Poczekaj, Malinko. Za godzinę będę w domu, zastanowimy się.

196

– Już wychodzę! – zawołał młody człowiek z aparatem fotograficznym do swojego pomocnika. – Dawaj flesz!

– Nie trzeba! Nie trzeba! – zamachała energicznie rękami matka chrestna. – Będę chciała, to pójde do fotografii, a tak to nie

trzeba!

- Babciu! - wrzasnął Darek. - To już zapłacone! Nic babcię nie będzie kosztować!

- To do gazety? Ale za zgodę zapłacicie?

- Gdzie to dziecko? - ryknął fotograf. - Ile czasu mam tu tkwić?

- Tak sobie myślę, Felinko, czy to nie było lekkomyślne z naszej strony, żeby właśnie dziś ten obiad...

- Ale to przecież nie jest żadne ważne przyjęcie! Ja wszystko zrobię.

W tej chwili na podwórko wtacza się biały mercedes. Sabinka wybiega i chwytając w objęcia wysiadającą Klepkę. Odsuwa ją na długość ręki i przygląda się jej tak bacznie, jakby spodziewała się, że chrzest naprawi nie tylko jej krnąbrny charakter, ale i różne usterki jej urody. Matka chrzestna przy pomocy Dominika wyłazi z wozu w swoich wspaniałych kieckach, sięga pod zapaskę, wydobywa wielką chustkę do nosa z grubym supełkiem na rogu. Z tego supełka wysypuje na dłoń pieniądze, wybiera błyszczącą pięcioletówkę i wręcza siedzącemu przy kierownicy A. W. Prandocie.

- Na wódkę! - mówi wielkodusznie.

Fela w oknie parska śmiechem, ale Prandota, światowiec i bywalec wie, jak się znaleźć i całuje dłoń chrzestnej, co widząc Sabinka rozpromienia się. Wiedziała, kogo zaprasza! Niejeden z kolegów Darka obraziłby się i sklął dobrą wrózkę rodziny.

- A. W. był wspaniały! - mówi rozpromieniona Fela.

- Awu? Co to znaczy Awu? To imię?

- To jego mama tak go nazywała - wyjaśnia, niezupełnie mijając się z prawdą Fela. - Zresztą jemu się to bardzo podoba - dodała niepewnie.

- To brzmi ładnie: d vous...~ powiedziała w zamyśleniu Ce-1 lina, i to małe nieporozumienie wydało się Feli pełne wdzięku, i Rozgwar za ścianą poderwał je do roboty przy obiedzie. Wtedy nieśmiało zapukała Lucynka, przynosząc kruche słone pierożki do obiadu, własnej roboty, jak zapewniła. Był to na pewno

198

praktyczny pomysł Konstancji i od razu stworzył atmosferę wesołej zażyłości, która zwykle towarzyszy twórczości gastronomicznej. Teraz Celina mogła mówić: - No, dziewczynki, pokażcie, jak to robicie! - i poprawiać dobrotliwie ich błędy, wynikające ze zbyt małego doświadczenia.

A. W. Prandota powrócił z garażu po odprowadzeniu mercedesa i mimo zaproszeń Darka ukazał się we właściwym momencie z kwiatami, zwykłymi wiejskimi kwiatami, które kupił nie w kwaciarni, ale na targu. Mimo bowiem radosnych wydarzeń w swoim życiu uświadamiał sobie jasno, że jego sytuacja finansowa nie była w tej chwili najweselsza. Być może wcale nie uważał tego za żart, kiedy chuchnął na pięcioletówkę od matki chrzestnej!

Tymczasem w sąsiedztwie szumiało, drzwi do sieni chwilami pozostawiano otwarte i goście wchodzili i wychodzili swobodnie, jak się tam komu podobało. Na podwórku stały dwa obce samochody i motocykl, przybrany, nie wiadomo dlaczego, zielonymi gałązkami. Na ławce pod chudym drzewkiem siedziała Klepka, ochrzczona dziś na Klementynę, w swojej białej, połyskującej tu i ówdzie srebrnym szychem sukni, podpiętej chytrze szpilkami, żeby nie dotykała ziemi. Otoczona była dość ciasno koleżankami, które płonąc na zmianę podziwem i zazdrością, zachwytem i szyderstwem chwaliły lub wyśmiewały jej toaletę i ogólny wygląd. Ale prawdziwe podniecenie wywoływała tak naprawdę laleczka Barbie, laleczka, której posiadanie dopiero czyniło Klepkę - Klementynę pełnowartościową obywatelką klasy.

- Wszystkie mają Barbie albo najmarniej Fleur! - płakała gorzko ówczesna Klepka. - Tylko ja nie mam! - Nawet na wywiadówce słyszała Sabinka delikatne aluzje na temat upośledzenia Klepki, które to upośledzenie może wypaczyć charakter dziecka, ba! pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Sabinka gryzła się tym, ale nie ustąpiła. Przed nią rysowały się jak zmora wielkie koszty chrzcin. Zagraniczna

laleczka, plus jej toalety kosztowała tyle, ile ów wspaniały dywan. Dopiero kiedy Klepka krzyknęła, iż nie życzy sobie być ochrzczona za cenę Barbie - wtedy Sabinka złamała się i poprosiła w liście brata Dominika o to чудо. No i dobrze się stało.

199

Tę bajeczkę o laleczce Barbie opowiedziała Celina ze śmiechem i zgorzeniem przy kończącym się obiedzie. Zamyśliła się potem i westchnęła, bo uprzytomniła sobie, że nie tylko dziewczynki są skłonne do szaleństw, żeby dostać laleczkę Barbie!

- Uwaga! Ktoś puka... - zawołała spłoszona Fela. - A my już nie mamy więcej krzeseł! To ja porozmawiam z Sa-binką! Ja! Ale w drzwiach stał Gucio z Malinką i bardzo z siebie zadowoleni trzymali cztery campingowe, składane krzeselka. Przydadzą się! - oświadczył Gucio. Oczywiście, że się przydały, tak jak przydał się wczorajszy placek z kruszonką. - A Kocia? - upomniała się Celina. - Przecież Kocia miała przyjść zaraz po obiedzie!

- Przyjdzie! - uspokoił ją Gucio. - Kiedy tu jechaliśmy, widziałem pannę Konstancję, jak wychodziła z domu.

- "No, to dlaczego nic nie powiedziałaś? Bylibyśmy ją zabrali!

- W żaden sposób, Malinko, nie masz racji - oświadczył uroczyście Gucio. - Ja szanuję indywidualną wolność człowieka. Jeśli taka młoda osoba wychodzi z domu, w dodatku pośpiesznym krokiem, to może mieć jakiś cel, z którym nie chciałaby się zdradzić. Uważam, że stawianie jej w sytuacji, w której czułaby się zmuszona do wykrętnych odpowiedzi, byłoby niewłaściwe i nawet nieżyczliwe.

- Pleciesz, Guciu - powiedziała pobłażliwie Malinka. - Co ty tam wiesz o młodych osobach!

Gucio zasepił się i na pociechę zaczął poważną rozmowę z A. W. o wpływie stanów nerwowych młodzieży na późniejszy rozwój chorób gastrycznych u ludzi starszych. A. W. słuchał z powagą i zrozumieniem i zadawał tyle pytań, ile starczało, aby podtrzymać zapal Gucia. Na szczęście wykład przerwało nagłe wtargnięcie Konstancji. -

Słuchajcie! - powiedziała do Feli i Lucynki. - Tort jest stanowczo za słodki! Byłam u Sabinki, złapała mnie na schodach!

- Nie smakuje im? - zmartwiła się Fela.

- Wprost przeciwnie! Są zachwyceni! Co prawda nie doszło jeszcze do zbiorowej degustacji, ale Sabinka wydlubowała kawałek z boku i orzekła, że to nareszcie uczciwe ciasto. - Widać, że cuk-

200

I

ru nie żałowano! - powiedziała. Ona was zaprosi, więc uważajcie, bo tego się nie da jeść!

- Ale jeśli Sabinka jest zadowolona!

- Uprzejmie proszę państwa kochanych na szklaneczkę wina z tortem - powiedziała uroczyście Sabinka, stając w progu. - Proszę się nie krępować! Po sąsiedzku proszę!

No cóż! Powstali uroczyście i skierowali się do drzwi. - Może by zabrać krzesła! - szepnęła praktycznie Konstancja.

Ale krzesła nie okazały się potrzebne, bo i tak prawie wszyscy stali, co ze względu na szczupłość miejsca było dużo praktyczniej-sze. W ciasno stłoczonej grupie Fela zauważyła paru znanych sobie z widzenia lokatorów. Byli to zapewne spóźnieni „kopertowi-cze”, których Sabinka wielkodusznie zatrzymała na chwilę. Po kątach pętało się sporo dzieci, ubranych białą i niewygodnie.

O ile w tym pokoju panowało coś w rodzaju uroczystej ciszy, o tyle z sąsiedniego, mniej reprezentacyjnego, dobiegał gwar wesoły i nieskrępowany. Fela domyśliła się, że właściwa, rodzinna część uroczystości odbywa się w warunkach skromniejszych dekoracyjnie, ale za to bardziej trafiających do przekonania, gdyż przez uchylone drzwi przesączał się delikatny aromat potraw mięsnych zaprawionych bogato cebulą.

Sabinka miała na wszystko gospodarskie oko i wprowadziwszy nowych gości, pchnęła od razu w ich kierunku Jolantę z tacą, na której stały kieliszki z winem i talerzyki z tortem. - Pomogę ci! - powiedziała



Fela i podała Celinie i Lucynce przeznaczone dla nich porcje. - Ładna masz sukienkę! - Jolanta unosząc wyżej tacę prześlizgnęła się wzrokiem po swej śledziowato chudej figurce. - Zdjęłam te majtki - szepnęła konspiracyjnie. - Nie mam w ogóle żadnych! Dlatego to leży! - Jolka - szturchnęła ją nagłe Sabinka. - Już się tu z państwem obłatwiłaś? Nie gap się! Matka chrzestna nie ma wina! Skocz po butelkę!

Chrzestna siedziała w złoconym fotelu pod zwisającymi liśćmi palmy. Zdawało się, że drzemie, ale jej półprzymknięte niebieskie oczka z poczuciem wyższości lustrowały zbitą gromadkę, zatrzymując się od czasu do czasu na twarzy usiłującego ją bawić Dominika, który jako chrzestny siedział obok niej wprawdzie też na fotelu, ale dużo skromniejszym.

Był jeszcze pełny dzień, ale w pokoju tęczowymi blaskami

202

I

lśnił kryształowy żyrandol, otoczony delikatną mgiełką dymu i pary. Postanowiono otworzyć okna, a Sabinka jednak zaprotestowała ze względu na nowe firanki, które mogłyby się podrzeć. To przecież nie zabawa - to uroczystość!

- Możemy już chyba pójść? - szepnęła Celina, chociaż dostało się jej względnie honorowe miejsce na własnym krześle. Ale w tej chwili trzasnęły drzwi wejściowe i wkroczyli młodzi ludzie obładowani aparatami i kablami.

- Miejsce proszę zrobić! Miejsce, miejsce! Pani gospodyni, jak tu jest z kontaktami?!

Gromadka przejściowych gości zafalowała i zaczęła topnieć. Ale w zamian z sąsiedniego pokoju wysypywali się właściwi goście, pełni animuszu po uczciwym poczęstunku, zaciekawieni przygotowaniami fotografów i złaknieni prawdziwej zabawy. Zaczęło być wesoło.

- Odstapcie, ludzie! - krzyknęła nagle chrzestna cienkim głosem. - Teraz będą mnie fotografować!

Posłuchali od razu. Ale za to platali się w kablach i oblepiali ściany, zakrywając miejsca kontaktów. Aż zniecierpliwiona Sabinka zaproponowała, żeby, komu gorąco, poszedł się przechłodzić na podwórku. - Proszę, proszę - zachęcała, bo przecież chyba i podwórko należało do jej włości. - A do pana redaktora mam słóweczko! Darek się do pana zaraz zgłosi i będzie wszystko regulowane. - Co będzie regulowano? - zapytał zaskoczony A. W., ale Sabinka już rozmawiała w kącie z jednym z lokatorów, ściskając go za rękę i mrugając porozumiewawczo. - A państwa wszystkich proszę pięknie do fotografii, kto będzie łaskawy.

Celina szybko wymknęła się do domu, gdzie czekali cierpliwie Guccio i Malinka, ale dziewczęta chciały jeszcze zostać chwilę na powietrzu. Słońce już zaszło i powietrze zbłękitniało, było chłodniej i liście na drzewach poruszał idący górą wiatr. Od rzęsiście oświetlonego okna Sabinki padał na podwórko złocisty kwadrat światła, w którym, jak na scenie, ukazywały się spacerujące grupki gości, przystawały, patrzyły w okno i znowu rozplywały się w gęstniejącym zmroku.

Guccio i Malinka gorąco namawiali Celinę, żeby przenocowała u nich.

- Nie zmrzyj pani oka! - mówił wieszczym tonem Guccio,

203

podnosząc wskazujący palec. - Właściwa zabawa dopiero się zacznie! W końcu Celina obiecała, że w razie gdyby sytuacja była nie do wytrzymania, zadzwoni i Guccio po nią przyjedzie. Na razie odjechali, zostawiając swoje cztery krzeselka i torebkę proszków na sen.

- Wpadniemy pożegnać się z panią Celiną i idziemy już - zdecydowała Konstancja. - Bądź co bądź, Lucynko, był to w tym sezonie twój pierwszy występ w wielkim świecie! I zrobiłaś konkietę! Prawnuk chrzestnej wypytywał Sabinę, czy mieszkasz w tym domu! Uważaj, bo sypnę cię przed Danielem. Przerzuci się z Ryszarda na Otella!

Lucynka patrzyła na nich uszczęśliwiona. Były to takie sobie naiwne żarciki, ale dla niej oznaczało to jakiś powrót do normalnego życia. Dopiero teraz ucieszyła się naprawdę zdany egzaminem. Nie jest tak

źle - pomyślała - to sanatorium też minie!

Kiedy już wypili obowiązkową herbatkę u Celiny i wychodzili, żeby odprowadzić Konstancję i Lucynkę, już na podwórku zatrzymał ich Darek.

- Panie redaktorze kochany, ja tu mam taką sprawę, a słyszałem, że pan jutro wyjeżdża, więc może załatwimy tak od ręki! Zaraz, niech pan poczeka. - Wyjął portfel i odliczył starannie: ...dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć? No? Zgoda między nami?

- Nie rozumiem...

- Sabinka z panem rozmawiała? Rozmawiała. Więc to jest pana dola za te dwa kursy. Fifty fifty, pa pałam! Jedne pół dla mnie za wóz, drugie pół dla pana za jazdę i czekanie. No?

- Ale... - wyjąkał A. W., niepewny, czy nie należy się oburzyć w ogóle - ja...

W tej chwili syknął mimo woli, bo Fela uszczypnęła go bez litości w łokieć. - Nie jest to dużo - powiedziała łaskawie - ale rozumiemy, że pani Sabinka miała takie wydatki...

Darek zmrużył oko. - Wydatki wydatkami. Już je sobie odbiła, a kto wie, czy nie wyjdzie na zysk. Same koperty pokryły żarcie, a podarki?

- Podarki?

- No, na pniu opchnęła już większość podarków. Palmę kupili do kościoła, kryształ od tych z góry biorą na prezent ślubny na

I

wieś, nawet to cacko, co jej pani dała, kupuje jeden sąsiad, bo mu się w sam raz nadaje na prezent dla doktora za operację.

- O Boże - jęknęła Fela. - To piękne!

- No, ma główkę. Komu szkoda? Nikomu. Sprawili jej radość?

Sprawili. To o co chodzi?

A. W. trzymał w ręku trochę bezradnie zwinięte banknoty i słuchał uważnie. Wyraz jego twarzy przypominał wyraz pierwszoklasisty, który po raz pierwszy dowiaduje się, że dwa i dwa to cztery. Radość zrozumienia opromieniła jego rysy.

- Ależ o nic nie chodzi! O nic. W porządku, panie Darku!

- No właśnie. Słyszałem, że pan ma zmartwienie z zalany mieszkaniami?

- Tak. Ale to w Warszawie.

- Wiem. Ale Warszawa też nie za morzem. Mam w Warszawie szwagra. Hydraulik. Daj pan adres Sabinie, ja do niego napiszę i on się zgłosi. Załatwi się jak w rodzinie.

Feli zapało dech w piersiach. - Panie Darku! - zawołała. - Pan jest po prostu...

- O co chodzi? - powtórzył Darek. - Ja, proszę pani, śpiewam w chórze filharmonii i czuję się obowiązany pomóc każdemu artyście. Koleżeński obowiązek!

- Zaczyna się nam dobrze powodzić... - powiedziała rozmarzonym głosem Fela, kiedy wracali po odprowadzeniu Konstancji i Lucynki. - Zarobiłeś parę groszy uczciwą pracą, cudowny hydraulik uratuje nas z powodzi... Same cuda!

- Nie żartuj! Akurat tyle mi brakowało, żeby móc zlikwidować wszystkie rachunki w Łodzi. Kamień mi spadł z serca, bo teraz zaczynam wszystko na nowo.

- Zaczynamy - upomniała się Fela.

- Zaczynamy. To oświadczyły, tak? Dobrze, żeś mi przypomniała, bo byłbym zapomniał ci powiedzieć. Słuchaj - musimy wziąć ślub najpóźniej za dwa tygodnie. Wszystko załatwiłem. Przyjadę po ciebie za tydzień i zabiorę ciebie i Lucynkę. Kiedy Lucynka będzie już urządzona w sanatorium, my też sobie wyjedziemy.

- Dokąd?

- W zupełnie staroświecką podróż poślubną. Do Maroka.

204

205

Mam jechać tam służbowo jako sprawozdawca radiowy na tydzień. Trochę mi koledzy pomogli i mam zgodę na zabranie ciebie. No i Dudka, bo chyba powinien rozejrzeć się w świecie!

Warto na głowie stanąć, żeby zobaczyć, jak ona się cieszy! -myślał po powrocie do hotelu. - Ale czy ona wie, jak ja się cieszę? Chyba jej wcale tego nie powiedziałem... Wstał z twardego hotelowego tapczanika, ubrał się i postanowił powiedzieć jej to koniecznie jeszcze dziś.

Nie było mowy o zatelefonowaniu, bo a nuż Celina już śpi? Więc wsiadł w tramwaj. Kiedy zbliżał się już do domu na Zarzewskiej, usłyszał dogasający już gwar chrzciniek u Sabinki. Ale w oknach sąsiedniego mieszkania było ciemno. Przystanął i podniósł głowę. Na perłowym niebie przesuwały się szybko chmurki delikatne jak dym, odsłaniając chwilami niepełny księżyc. Szum wiatru wzmagął się, rozpraszając i unosząc w górę zmieszane głosy ludzkie, muzykę i dalekie szczekanie psa. A. W. odetchnął-głęboko i ruszył wolnym krokiem. Przemknęło mu przez myśl, że kiedyś już chciał tak chodzić nocą pod czyimiś oknami. Dlaczego wtedy do tego nie doszło? Dlaczego teraz...?

W ciemnym pokoju, przy oknie za firanką, Fela myśli. Otworzyć okno? Powiedzieć coś? Nic, cokolwiek powiem, nie będzie się równać z tym niebem, z tym wiatrem i ciemnością. Dlaczego dotychczas nigdy....

Dlaczego właśnie teraz? \*

MSDSKABIBLIOTEKA™ y ,  
41-806 Zabrze, ul. ^yncv.- -  
FILIA nr 1 te!.: 271-48-11

Printed in Poland

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1988 r. Wydanie I. Nakład 39 700 + 300 egz. Ark. wyd. 11,6. Ark. druk. 13. Papier offset kl. III, 70 g, 84 cm (rola). Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. nr 1990/87 U-67